

Philip K. Dick

Na terenie Milтона Lumky'ego

(In Milton Lumky Territory)

Przełożył Radosław Kot

Od autora

W gruncie rzeczy to bardzo zabawna i do tego jeszcze dobra książka, gdyż wszystkie osobliwości, które są udziałem jej bohaterów, na co dzień przytrafiają się też prawdziwym ludziom. I ci ludzie w niej ożywają. I ma ona jeszcze szczęśliwe zakończenie. Co więcej może powiedzieć autor? Co więcej może zaofiarować?

Rozdział 1

Z zachodem słońca od jeziora powiało zgnilizną i nad pustymi ulicami Montario w stanie Idaho zaroilo się od żółtych muszek. Rozbijały się na przednich szybach przejeżdżających samochodów i choć kierowcy włączali wycieraczki, niewiele to pomagało. Kiedy na Hill Street zajaśniały latarnie, sprzedawcy zaczęli zamykać sklepy, aż w końcu otwarte pozostały tylko dwa drugstore'y na dwóch przeciwległych końcach Montario. Kino Luxor ożywało dopiero o wpół do siódmej. Było jeszcze parę kafejek, ale one w zasadzie nie przynależały do miasta. Otwarte czy zamknięte, żyły z szosy międzystanowej numer dziewięćdziesiąt pięć, która korzystała z gościnności Hill Street.

Z hukiem, szumem i stukotem pojawił się pociąg sypialny Union Pacific relacji Portland-Boise. Mknął po skrajnym, północnym torze, jednym z czternastu na stacji Montario. Nie zatrzymywał się tu, ale na wysokości krzyżówki z Hill Street zwolnił tak, że jaskrawozielony wagon pocztowy zdawał się ledwie pełznąć pomiędzy ceglanyymi magazynami. W jego otwartych drzwiach pojawiło się dwóch kolejarzy w pasiastych uniformach. Wychylili się, ręce zwiesili jak najniżej. Na chodniku czekała na nich kobieta w średnim wieku. Było chłodno, więc grubą wełnianą kurtkę zapięła po szyję. Przysunęła się o krok do toru i zgrabnie podała jednemu z kolejarzy plik listów.

Niebawem ostatni wagon zniknął w oddali, ale modulowany sygnał na przejeździe rozlegał się jeszcze przez kilka dobrych chwil, czerwone światło migotało ostrzegawczo.

Pan Hagopian siedział przy kontuarze drugstore'u, zjadał małego hamburgera z konserwową fasolką szparagową i czytał magazyn „Confidential”, który wziął ze stojaka przy drzwiach. O szóstej wieczorem nie musiał przejmować się klientami, ale usiadł tak, żeby widzieć ulicę. Pomyślał, że gdyby ktoś jednak nadszedł, to spokojnie zdaży odłożyć hamburgera i wytrzeć usta oraz dłonie papierową serwetką.

W oddali pojawił się chłopiec w czapce w stylu Davy'ego Crocketta, takiej z ogonem. Biegł z uniesioną głową i co chwila się obracał, żeby potruchtać tyłem. Krążył po jezdni, aż pan Hagopian pojął, że zmierza do jego drugstore'u.

Sztywny nieco i niezgrabny, z rękami w kieszeniach, wszedł do sklepu i zatrzymał się przed mieszanką słodczy opatrzonych napisem głoszącym, że trzy kosztują dwadzieścia pięć centów. Pan Hagopian nie przerwał sobie jedzenia ani lektury. Chłopiec wybrał w końcu pudełko milk duds, paczuszkę czekoladek M & M oraz batonik Hersheya.

– Fred! – zawołał pan Hagopian.

Jego syn Fred odsunął kotarę oddzielającą lokal od pomieszczenia na zapleczu i wyszedł, żeby obsłużyć chłopca. O siódmej pan Hagopian znów odezwał się do syna:

– Właściwie możesz już iść do domu, Fred. Nie ma sensu, żebyśmy obaj tu siedzieli. Nie dzisiaj – stwierdził nieco zirytowany. – Wygląda na to, że do zamknięcia prawie nikt się już nie zjawi. Nie będzie większego ruchu.

– Zostanę jeszcze trochę – odparł Fred. – I tak nie mam nic do roboty.

Zadzwoił telefon. Pani de Rouge z Pine Street upominała się o realizację stałej recepty. Pan Hagopian wydobyl księge, sprawdzil numer i ustalil, że pan de Rouge ma przepisane środki przeciwbólowe. Powiedział jej, że Fred dostarczy pigułki około ósmej.

Napełniał akurat kapsułki kodeiną, gdy otworzyły się drzwi i do drugstore’u wszedł młody mężczyzna w porządnym jednorzędowym garniturze i pod krawatem. Miał przyrudziały, kościsty nos i krótko ścięte włosy. Po nich właśnie pan Hagopian go poznał. Po nich i po uśmiechu. Przybysz miał zdrowe i białe zęby.

– Czym mogę panu służyć? – spytał Fred.

– Tylko się rozglądam – powiedział mężczyzna. Z rękami w kieszeniach podszedł do stojaka z czasopismami.

Ciekawe, dlaczego tak długo się nie pokazywał, pomyślał pan Hagopian. Kiedyś ciągle tu przychodził. Od dzieciństwa. Przeniósł się z interesem do Wickley? Starszy pan poczuł narastającą ciekawość. Skończył przygotowywać pigułki dla pana de Rouge, wsypał je do buteleczki i podszedł do lady.

Skip Stevens, ów młody mężczyzna, podał Fredowi egzemplarz „Life” i zaczął przetrząsać kieszenie spodni w poszukiwaniu drobnych.

– Coś jeszcze, proszę pana? – spytał Fred.

Pan Hagopian chciał się już odezwać do Skipa Stevensa, gdy Skip pochylił się ku Fredowi.

– Paczkę trojan – powiedział przyciszonym głosem. Słyszac to, pan Hagopian odwrócił się dyskretnie i zajął sobą, czekając, aż Fred zapakuje paczuszkę prezerwatyw i zadzwoni kasą.

– Dziękuję panu – odezwał się chłopak bardzo oficjalnym tonem, jak zawsze, gdy ktoś kupował prezerwatywy. Odchodząc od kasy, mrugnął do ojca.

Z magazynem pod pachą, Skip ruszył ku drzwiom, ale powoli, przyglądając się czasopismom na półkach, by zaznaczyć, że wcale nie czuje się onieśmielony. Pan Hagopian podszedł do niego.

– Dawno cię nie widziałem – powiedział. – Mam nadzieję, że u ciebie i twojej rodziny wszystko w porządku.

– W najlepszym – odparł Skip. – Chociaż ostatni raz odwiedziłem ich kilka miesięcy temu. Teraz mieszkam w Reno. Mam tam pracę.

– A, rozumiem – stwierdził pan Hagopian, chociaż nie wierzył w tę pracę.

Fred nastawił ucha.

– Pamiętasz Skipa Stevensa – powiedział pan Hagopian do syna.

– Aa, tak – mruknął Fred. – Nie poznałem pana. – Skinął głową Skipowi. – Od miesiący pana nie widziałem.

– Teraz siedzę w Reno – wyjaśnił Skip. – Jestem dziś w Montario po raz pierwszy od kwietnia.

– A tak się zastanawiałem, dlaczego pan się nie pokazuje – powiedział Fred.

– Twój brat ciągle studiuje na Wschodzie? – spytał pan Hagopian.

– Nie. Skończył studia, ożenił się.

Ten chłopak nie mieszka w Reno, pomyślał pan Hagopian. Wstydzi się powiedzieć, dlaczego naprawdę się nie pojawiał. Przepływa z nogi na nogę, wyraźnie mu nieswojo. Bez wątpienia wolałby jak najszybciej stąd wyjść.

– A w czym teraz pan robi? – spytał Fred.

– W zaopatrzeniu.

– Dla kogo?

– Dla CBB.

– To jakaś telewizja? – spytał pan Hagopian.

– Nie. Consumers' Buying Bureau.

– A co to takiego?

– Coś w rodzaju wielkiego sklepu wielobranżowego. Pobudowali akurat nowy przy czterdziestej międzystanowej, między Reno a Sparks – wyjaśnił Skip.

– A, znam – powiedział Fred z dziwnym wyrazem twarzy. – Jeden z moich znajomych tam był i trochę opowiedział. To dyskont – oznajmił, zwracając się do ojca.

Starszy pan nie od razu zrozumiał, ale potem przypomniał sobie, co słyszał o sklepach dyskontowych.

– Chcesz wyrzucić detalistów z rynku? – spytał głośno.

Skip z lekka poczerwieniał na twarzy.

– Ten sklep nie różni się w zasadzie od supermarketu. Kupuje w dużych ilościach, dzięki czemu może zaoferować klientom towar po niższych cenach. Henry Ford robił to samo, gdy rozkręcał wielkoseryjną produkcję.

– To nie po amerykańsku – stwierdził pan Hagopian.

– Ależ wręcz przeciwnie – zaprotestował Skip. – To oznacza wyższy standard życia, bo obniża koszty ogólne i eliminuje marże pośredników.

Pan Hagopian wrócił za ladę.

– Pani de Rouge znów chce pigułki przeciwbólne – rzekł do syna, podając mu buteleczkę.
– Powiedziałem, że dostarczysz je przed ósmą.

Stracił ochotę na rozmowę ze Skipem. Konieczność konkurowania z Chińczykami i Japońcami dość mu napsuła krwi, a pojawienie się nowego dyskontu pogarszało jeszcze

sprawę, przynajmniej dla niego. Udawali Amerykanów, bo mieli i neony, i reklamy, i wielkie parkingi, i jeśli ktoś nie wiedział, co to jest, myślał, że widzi jeszcze jeden supermarket. Pan Hagopian nie miał pojęcia, kto za tym stoi. Nikt nigdy nie spotkał żadnego właściciela sklepu dyskontowego. Po prawdzie starszy pan nawet takiego sklepu jeszcze nie widział.

– Panu interesu nie psujemy – powiedział Skip, podczas gdy Fred zawijał w papier buteleczkę dla pani de Rouge. – Nikt nie jeździ pięćset mil do sklepu, nawet po większe sprawunki, jak meble.

Pan Hagopian wypisywał kwit do paczuszki.

– Zresztą takie sklepy są tylko w dużych miastach – ciągnął Stevens. – Montario jest za małe. Już prędzej Boise.

Ani Fred, ani jego ojciec nie odpowiedzieli ani słowem. Fred nałożył płaszcz, wziął kwit od ojca i wyszedł.

Starszy pan zajął się zaraz sortowaniem dostarczonego tego dnia towaru. W końcu usłyszał, jak za Skipem Stevenssem zamykają się drzwi.

Jadąc nieoświetlonymi, szutrowymi uliczkami Montario, Bruce Stevens rozmyślał o Hagopianie, na którego natykał się nieustannie przez całe życie. Wiele lat temu stary przegonił go od półki z komiksami i w ogóle ze sklepu. Przez całe miesiące Hagopian dusił w sobie złość na dzieciaki, które chowały się za regałem z butelkami z naftą, żeby przeczytać „*Tip Top Comics*” albo „*King Comics*”, ale rzadko cokolwiek kupowały. W końcu zebrał się w sobie i ruszył na pierwszego, który pokazał się tego pechowego dnia. Wypadło na Bruce’a Stevensa, w tamtych dniach „Skipa” Stevensa, a to za sprawą jasnej, okrągłej i piegowatej buzi oraz rudych włosów. Stary wciąż go tak nazywał. Żeby to wszystko piekło pochłonęło, pomyślał Bruce, patrząc na mijane domy. Wkurzył się wtedy na mnie i jeszcze mu nie przeszło. Aż dziw, że nie zadzwonił po policję, gdy zażyczyłem sobie paczkę trojan.

Niemniej złość, którą wywołał u starego wiadomością, że pracuje teraz dla dyskontu w Reno, wcale mu nie przeszkadzała. Wiedział, jak mogą się czuć drobni detaliści. Tak samo było, gdy zaraz po drugiej wojnie światowej otwierano pierwsze supermarkety. W pewnej mierze wrogość detalistów nawet go cieszyła, bo to znaczyło, że ludzie naprawdę zaczynają zaopatrywać się w dyskontach, a w każdym razie z wolna je zauważają.

To nieuniknione, powtórzył sobie po raz nie wiadomo który. Jeszcze dziesięć lat i skończy się takie kupowanie, że dzisiaj żyłki, a jutro mydło. Ludzie będą robić ogólne zakupy raz na tydzień, i to tam, gdzie za jednym zamachem znajdą wszystko: od płyt gramofonowych po samochody.

Potem jednak dotarło do niego, że zamiast kupić te prezerwatywy w Reno, nabył je dopiero tutaj, w małym sklepiku, gdzie musiał zapłacić normalną cenę detaliczną. Po prawdzie nie

wiedział nawet, czy firma, dla której pracuje, ma na składzie środki antykoncepcyjne.

No i jeszcze ten magazyn, przypomniał sobie. Ale to była tylko zasłona dymna dla ukrycia zmieszania, które go ogarniało, ilekroć kupował prezerwatywy. Na dodatek sprzedawcy też go nie oszczędzali. Stawiali rozgłośnie blaszane opakowanie na ladzie w taki sposób, by wszyscy widzieli, co to jest, albo krzyczeli przez cały sklep: „O które pan prosił? O trojany czy...” no, te tam, jak się nazywały?... sheiki albo jakoś tak. Odkąd w wieku dziewiętnastu lat zaczął nosić przy sobie prezerwatywy, był wierny trojanom. To bardzo amerykańskie, powtarzał sobie, tak trzymać się jednej marki. Nie należy kupować w ciemno.

Jego podróż z Reno miała się zakończyć w Boise, ale przejeżdżając przez rodzinne miasteczko, postanowił zatrzymać się tu i wpaść do dziewczyny, z którą chodził przed laty. Boise leżało tylko piętnaście mil na północny wschód, mała przejazdka wiodącą z Nevady międzystanową numer dziewięćdziesiąt pięć. Rano też zdąży. A gdyby nic nie wyszło ze spotkania, to od razu ruszy w drogę i przed późną nocą będzie na miejscu.

Miał dwadzieścia cztery lata i lubił pracę w CBB. Nie przynosiła zbyt wiele, bo ze trzysta dolarów na miesiąc, jednak pozwalała mu często wyjeżdżać jego mercurym rocznik pięćdziesiąty piąty. Dzięki temu mógł spotykać różnych ludzi, robić z nimi interesy, wnikać w rozmaite środowiska. To ostatnie zawsze nieodparcie go fascynowało. No i lubił też swego szefa, Eda von Scharfa, który nosił okazałe czarne wąsy a la Ronald Colman, a w czasie drugiej światowej dosłużył się stopnia sierżanta w piechocie morskiej. Bruce był wtedy ośmiolatkiem.

Podobało mu się również samodzielne mieszkanie w Reno, z dala od rodziców i tego wiejskiego w gruncie rzeczy miasteczka, typowego miasteczka ziemniaczanego stanu, gdzie przy każdej autostradzie stawiano osobliwe ostrzeżenia przed podpalaczami, które od połowy dawały się odczytać tylko w tylnym lusterku. Bruce'em zawsze trzęsło, gdy trafiał na któreś z nich. Z Reno starczyło przejechać Sierras i było się w Kalifornii. W drugą stronę leżało niedalekie Salt Lake City, całkiem ciekawe miasto. Powietrze w Nevadzie było czystsze, bez tej duszącej mgły, która wiecznie spowijała Montario do spółki z muszkami. Dość już ich rozdeptał i nałykał się przez pierwsze lata swego życia.

Teraz też miał ich całe setki na masce, zderzakach, błotnikach i przedniej szybie. Wszystkie pozgniatane i martwe. Chłodnicę dosłownie oblepiły. Miniaturowe nitkowate ciała znacznie ograniczyły mu pole widzenia, tak że miał kłopoty ze znalezieniem domu Peg.

W końcu poznał go po szerokim pasie trawnika, werandzie i drzewie. W środku paliły się światła, obok parkowało kilka samochodów.

Zatrzymał wóz i wysiadł. Gdy wszedł na werandę i chciał przycisnąć guzik dzwonka, usłyszał dobiegającą z domu muzykę i głośne rozmowy. Jak nic urządziła sobie zabawę, pomyślał i zadzwonił.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Peg poznała go i zaniemówiła na chwilę, a potem uniosła

ręce, odsunęła się i wciągnęła go do środka.

– Ale niespodzianka! Za nic bym się nie domyśliła, że to ty!

W salonie siedziało kilka osób z drinkami w dłoniach. Słuchali odtwarzanej na gramofonie płyty Johny'ego Reya. Trzech lub czterech mężczyzn i tyleż kobiet.

– Chyba powinienem wcześniej zadzwonić – powiedział.

– Daj spokój, wiesz przecież, że jesteś tu miłym gościem – zaprotestowała. Twarz jej jaśniała, wciąż drobna, krągła i gładka. Miała na sobie pomarańczową bluzkę i ciemną spódnicę. Włosy rozczesała na puszyście i wydała mu się bardzo piękna. Tak piękna, że najchętniej by ją pocałował, ale parę osób już obróciło głowy i uśmiechało się niepewnie na powitanie, więc się powstrzymał.

– Dopiero przyjechałeś? – spytała.

– Tak. Wyruszyłem dziś około siódmej rano, ale jechałem głównie siedemdziesiątką i szybko mi poszło.

– Musisz być zmordowany. Jadłeś obiad?

– Zatrzymałem się koło piątej, żeby coś przegryźć – odparł. – W drodze nigdy nie jestem przesadnie głodny.

– Chcesz coś teraz? – Poprowadziła go korytarzem, minęli salon i weszli do kuchni. Na kafelkach obok zlewu stał kubełek z kostkami lodu, kilka butelek piwa imbirowego i zwykłego oraz pełna flaszka taniego burbona. Obok leżały skórki od cytryny.

– Jeśli pozwolisz, przygotuję ci coś na ciepło – powiedziała, otwierając lodówkę. – Dobrze pamiętam, że jak prowadzisz, kończy się na kanapce i koktajlu. – Zaczęła wystawiać na blat talerze z jedzeniem.

– Po prawdzie... Słuchaj – powiedział, by ją powstrzymać. – Jestem tylko przejazdem. Jutro muszę być w Boise. Mam tam sprawę do załatwienia.

Przestała wystawiać talerze.

– Jak ci idzie w pracy?

– Nieźle – odparł.

– Chodź do salonu. Przedstawię cię znajomym.

– Jestem zbyt zmęczony.

– Tylko na trochę. Widzieli, jak wchodzisz. To przyjaciele, wstąpili na chwilę. Byliśmy w chińskiej restauracji w Boise. Kaczka z makaronem, wieprzowina po wszelakiemu. Odwieźli mnie do domu.

– Nie chcę przeszkadzać.

– Nie bądź taki męczennik. Rzeczywiście szkoda, że nie zadzwoniłeś. – Zamknęła lodówkę i podeszła do niego, wyciągając ręce. Pozwoliła, by ją objął i pocałował. – Sam wiesz, jak dawno nie byliśmy razem. Może uda mi się ich pozbyć. Zresztą pewnie sami zaraz wyjdą. Przysiądziesz

na trochę, a ja zacznę narzekać, ile to jutro mam roboty.

– Nie... – zaczął protestować, ale ona już prowadziła go korytarzem z powrotem do salonu. Miała rację. Minęło naprawdę sporo czasu od ich ostatniego spotkania, a on przez te osiem czy dziewięć miesięcy w Reno nie poznał żadnej nowej dziewczyny, z nią za to był kiedyś naprawdę blisko. Bardzo blisko. Przez całe miesiące nie miał kobiety i nic się nie działo, jednak teraz, gdy już ją pocałował i poczuł jej drobne, wilgotne i gorące palce na swoim nadgarstku, pożądanie wróciło. Życie bez tego to jedno, ale odrzucać podobne zaproszenie to zupełnie co innego.

Starczyło jedno spojrzenie, by rozpoznał w gościach Peg typowych urzędników z biura, w którym pracowała. Mieli to nijakie spojrzenie bez krzty ciekawości, które nazywał spojrzeniem z Idaho. Kojarzyło mu się z wybitnie wolnym tokiem myślenia, kiedy to delikwent potrzebuje dłuższej chwili, by zrozumieć, co usłyszał. Patrząc na zebranych, nie miał wątpliwości, jak przebiegała ich rozmowa. Nie tyle toczyła się, ile pełzła. Najdrobniejsze nawet kwestie wałkowali w kółko, do upadłego, a te trudniejsze... Cóż, trudniejszych tematów w Idaho po prostu nie poruszano, więc i problemu nie było.

– To jest Bruce Stevens – powiedziała Peg. – Właśnie przyjechał z Reno, cały dzień był w drodze.

Zanim przedstawiła go ostatniej osobie, zdążył już zapomnieć, jak ma na imię pierwsza. Gdy w końcu podała mu drinka, burbona z lodem, nie pamiętał ani jednego imienia. Zresztą chwilę potem wrócili do słuchania płyty, zatem i tak nie robiło to różnicy. Rozmowa ciągnęła się swoim trybem, mówili coś o rosyjskich próbach dotarcia na Księżyc i szansach na znalezienie zamieszkałych planet. Usadowił się z drinkiem jak najbliżej Peg.

Nijacy i zamknięci w sobie urzędnicy pletli trzy po trzy i kompletnie go ignorowali, on zaś przyglądał się gospodyni, sączył burbona i zastanawiał się, co jeszcze ten wieczór przyniesie. Nagle na drugim końcu korytarza otworzyły się drzwi łazienki i po chwili do salonu weszła kobieta, której tu wcześniej nie widział. Musiała zniknąć w łazience, nim przyjechał. Była ciemnowłosa, starsza od niego i bardzo atrakcyjna. Na szyi miała białą apaszkę, w uszach wielkie pierścieniowate klipsy. Była w sandałach na bose stopy. Uśmiechnęła się do niego.

– Właśnie przyjechałem – powiedział.

– Och, Susan – ocknęła się Peg. – Susan, to jest Bruce Stevens. Bruce, poznaj, proszę, Susan Faine.

Przywitał się.

– Cześć – rzuciła Susan Faine. Tyle i tylko tyle. Pochyliwszy głowę, włączyła się do rozmowy, jakby w ogóle nie wychodziła. Najpewniej i tak nie miało to znaczenia. Patrzył, jak jej związane w koński ogon włosy kołyszą się z boku na bok. Długą spódnicę ściągnęła szerokim skórzanym pasem z miedzianą, jak się zdawało, klamrą. Nosila czarny sweter. Na prawym ramieniu jaśniała srebrna spinka. Uznał, że ozdoba jest chyba meksykańska, podobnie jak

i sandały. Im dłużej przyglądał się kobiecie, tym atrakcyjniejsza mu się wydawała.

– Susan wróciła właśnie z Meksyku – powiedziała mu na ucho Peg. – Załatwiła tam sobie rozwód.

– Aha – mruknął i skinął głową. – Niech mnie.

Wciąż ją obserwował. Uniósł na wysokość oczu szklankę z drinkiem, jakby chciał się przyjrzeć jej zawartości. W każdym razie miał nadzieję, że tak to wygląda. Kobieta gestykulowała ze zdecydowaniem i pomyślał, że zapewne wykonuje jakąś pracę wymagającą zdolności manualnych. Pod czarnym swetrem rysowały się ramiączka stanika, a gdy się pochyliła, pomiędzy spódnicą a swetrem dojrzał pasek nagiego ciała.

Nagle obróciła głowę. Wyczuła, że jest obserwowana. Spojrzała na niego przenikliwie. Bardzo przenikliwie. Nie wytrzymał, opuścił oczy i skierował je w bok. Czuł, że płoną mu policzki. Po chwili kobieta wróciła do rozmowy z tymi na kanapie.

– Panna czy pani? – spytał Peg.

– Kto?

– Ona – odparł, wskazując szklanką Susan Faine.

– Dopiero co ci powiedziałam, że się rozwiodła.

– A tak, przypominam sobie. Co robi? W czym pracuje

– Prowadzi serwis maszyn do pisania – oznajmiła Peg. – Sama też pisze i jeszcze obsługuje kopiarkę. Pracuje dla nas. – Peg miała na myśli firmę prawniczą, w której była sekretarką.

– Rozmawiacie o mnie? – odezwała się Susan Faine.

– Tak – przyznała Peg. – Bruce pytał, co robisz.

– Słyszałem, że dopiero co byłaś w Meksyku – powiedział Bruce.

– Tak, ale to nie jest moje podstawowe zajęcie. – Goście uznali to za dowcip i zachichotali. – Niezależnie od tego, co jeszcze mogłeś słyszeć.

Poderwała się z poręczy kanapy, spojrzała na swoją pustą szklankę i wyszła do kuchni. Jeden z urzędasów zaraz poszedł w jej ślady.

Znam ją skądś, pomyślał Bruce, popijając burbona. Gdzieś ją już widziałem.

Spróbował sobie przypomnieć, gdzie to było.

– Może powieszę twoją marynarkę? – zaproponowała Peg.

– Dzięki – mruknął. Odstawił szklankę, wstał i rozpiął marynarkę. Peg wzięła ją i zaniósła do szafy w korytarzu. Poszedł za dziewczyną.

– Chyba znam tę kobietę – powiedział.

– Naprawdę? – spytała Peg, poprawiając marynarkę na wieszaku, i wtedy właśnie doszło do jednej z tych nieprzewidywalnych sytuacji, które potem śnią się mężczyznom po nocach. Z kieszeni wypadła na dywan paczuszka z trojanami opakowana w torbę z drugstore’u Hagopiana.

– Co to jest? – powiedziała Peg i pochyliła się, by podnieść torebkę. – Takie małe.

Naturalnie Fred Hagopian zapakował prezerwatywy tak niestarannie, że zaraz wypadły z torby. Peg spojrzała i jej twarz nagle jakby stężała. Bez słowa wrzuciła paczuszkę z powrotem do torby, a całość do kieszeni marynarki.

– Widzę, że się przygotowałeś – powiedziała, zamykając drzwi szafy.

Pożałował, że nie pojechał od razu do Boise.

– Zawsze byłeś optymistą – dodała Peg. – Ale to się nie psuje, prawda? Może trochę poleżeć. – Wracając do pokoju, obróciła się jeszcze przez ramię. – Nie chciałabym cię narażać na zbyt duże wydatki. Ostatecznie to też jakaś inwestycja.

– Jaka inwestycja? – spytał jeden z mydlaków siedzących na kanapie.

Ani Bruce, ani Peg nie odpowiedzieli. Teraz nie próbował już siadać obok niej. Przegrana sprawa. Sącząc burbona, zastanawiał się, jak by tu wyjść.

Rozdział 2

Sposobność pojawiła się niemal natychmiast. Siedzący naprzeciwko niski i łysy urzędnik wstał z kanapy i stwierdził, że będzie już wracał do domu. Autobusem.

Bruce też wstał.

– Podwiozę pana – stwierdził. – I tak jadę do Boise.

Nikt nie zaprotestował. Peg skinęła mu głową na pożegnanie i zniknęła w kuchni. Bruce wyszedł razem z panem Muirem.

Gdy dotarli do Boise, trwało jeszcze trochę, nim znalazł ulicę pana Muira, który nie był zmotoryzowany i niezbyt potrafił pilotować. Wysadziwszy go w końcu, Bruce zawrócił ku autostradzie, by poszukać noclegu. Wypatrzył właśnie całkiem obiecujący motel i dopiero wtedy się zorientował, że zapomniał o marynarce powieszanej w szafie Peg. Ze wstydu całkiem wyrzucił z pamięci to, że ją zdjął.

Powinienem wrócić? spytał sam siebie.

Tak czy nie?

Zatrzymał się na poboczu i spojrzał na zegarek. Było po dziewiątej. W Montario będzie o dziewiątej trzydzieści. Może lepiej poczekać do jutra? Ale z drugiej strony nie mógł się zjawić na ważnym spotkaniu bez marynarki.

Jednak jutro rano Peg wstanie wcześniej, żeby zdążyć do pracy. Jeśli się z nią minie, straci marynarkę na zawsze.

Zapalił silnik i zawrócił w stronę, z której dopiero co przyjechał.

Parkujące przed jej domem samochody zniknęły, światła w środku pogasły. Ciemny i zamknięty na głucho, dom wyglądał niemal na opuszczony. Bruce przeszedł czym prędzej chodnikiem na werandę i zadzwonił.

Nikt nie otworzył.

Zadzwonił raz jeszcze. Doświadczenie podpowiadało mu, że nawet w Montario nikt nie chodzi spać o dziewiątej trzydzieści i że impreza nie mogła się skończyć tak szybko. Może wszyscy przenieśli się do kogoś innego lub poszli na Hill Street czy gdziekolwiek, żeby zjeść jeszcze jeden obiad. Albo na piwo do któregoś baru czy Bóg wie na co.

Tak czy owak, jego marynarka była w tym domu. Bruce sprawdził drzwi. Zamknięte. Przeszedł znajomą ścieżką na tyły. Okno pralni było uchylone, tak jak kiedyś. Postawił skrzynkę pod ścianą i pchnął okno, po czym wśliznął się, głową naprzód, do pralni.

Kierując się poświatą z łazienki, dotarł na korytarz i otworzył szafę. Dzięki Bogu, pomyślał. Nałożył marynarkę i wszedł do salonu.

W powietrzu unosił się zapach papierosów. Teraz, gdy goście poszli, pokój robił przygnębiające wrażenie. Zostało tylko wspomnienie ciepła, pomięte opakowania po papierosach w popielniczce, szklanki, kolczyk na stoliku... Całkiem jakby goście niczym elfy rozwiali się w dym. Gotowi znów się pojawić, gdy tylko śmiertelnicy, tacy jak on, odwrócą się plecami. Kiedy tak stał i nasłuchiwał, dobiegł go jakiś szum.

Nie wyłączyli gramofonu. Czerwone światelko wciąż jaśniało. Uniósł pokrywę i zgasił urządzenie. Albo nie zamierzali wychodzić na długo, albo wynieśli się pod wpływem impulsu, całkiem nagle.

Zupełnie jak na pokładzie opuszczonego z tajemniczych przyczyn statku, pomyślał Bruce, idąc do kuchni. Jedzenie na stole... na blacie opróżniona do połowy butelka burbona... I jeszcze kubelek ze stopionymi już kostkami lodu, skórki od cytryny, szereg brudnych szklanek. A w zlewie sarta naczyń.

Na co czekam? spytał sam siebie. Mam już marynarkę. Dlaczego nie wychodzę?

Do cholery, pomyślał, gdyby nie ta wpadka z zakupem od Hagopiana, mógłbym tu zostać na noc.

Stojąc z rękami w kieszeniach w progu kuchni, usłyszał westchnienie. Gdzieś daleko, w odleglejszym pokoju domu. Ktoś zaszeleścił czymś i westchnął.

Bruce'a ogarnął lęk.

Lepiej uważać. Bezgłośnie przeszedł korytarzem do salonu i dalej, do drzwi wejściowych. Zatrzymał się przy nich z dłonią na klamce. Czując się już bezpieczniej, znów zaczął nasłuchiwać.

Ani szmeru.

Atmosfera grozy zelżała. Otworzył drzwi, lecz się zawahał i zostawiwszy je lekko uchylone, wrócił w głąb domu. Było tak ciemno, że z pewnością nikt by go nie zauważył, a w żadnym już razie nie poznał, do kogo należy ta ciemna sylwetka. Było w tym przekradaniu się coś ekscytującego, w stylu dziecięcej zabawy z dawnych, wciąż pamiętanych dni młodości... Znów się zatrzymał, uniósł głowę i przyłożył dłoń do ucha. Wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać.

Z pomieszczenia, które rozpoznał jako sypialnię, dochodził wyraźny odgłos oddechu. Drzwi nie były zamknięte. Drżąc z niecierpliwości, podszedł powoli, krok po kroku, i przytknął oko do szpary. W środku było dość jasno, by dojrzał łóżko, toaletkę i lampę.

Na łóżku leżała Susan Faine. Zjedną ręką pod głowę paliła papierosa i gapiała się w sufit. Zrzuciła sandały. W nogach łóżka piętrzyły się rozmaite okrycia i torby należące do pozostałych gości. Susan natychmiast zdała sobie sprawę z jego obecności.

– Już z powrotem? – spytała, siadając.

– Nie – mruknął. Spojrzała na niego.

– Myślałam, że od dawna cię nie ma.

– Zapomniałem marynarki – wyjaśnił. Zabrzmiało to dość głupio.

– Masz ją na sobie.

– Teraz już tak. Gdzie wszyscy poszli? – spytał w końcu.

– Kupić jeszcze coś do picia.

– Wszedłem przez okno – powiedział. – Frontowe drzwi były zamknięte.

– Więc to był ten hałas, który słyszałam. Wydawało mi się, że to oni są na ganku i otwierają drzwi, ale zastanowiło mnie, czemu nie słyszę ich głosów. Chyba się zdrzemnęłam. Obawiam się, że złapałam jakiegoś wirusa, pewnie w Meksyku. Odkąd wróciłam, ciągle nachodzą mnie mdłości. Nie mogę pić, bo cokolwiek łyknę, zaraz wraca. No i jestem jakaś osłabiona i zamroczona. Musiałam się położyć.

– Aha.

– Ostrzegali mnie tam, że bym nie jadła żadnych liściastych warzyw ani owoców i nie piła nie przegotowanej wody, ale trudno prosić w restauracji, żeby ci wszystko gotowali. Ty byś potrafił? Ja jem, co podają.

– Może to azjatycka grypa? – spytał.

– Kto wie. Mam regularne bóle żołądka. – Rozpięła pas i pomasowała wąską talię. W końcu usiadła, zgasiła papierosa i wstała z łóżka. – Powinni już wrócić – powiedziała, wsuwając stopy w sandały. – O ile gdzieś się nie zatrzymali. Chyba zrobię sobie kawę. Też chcesz? – Przeszła obok niego na korytarz. Poruszała się zwinnie, ale z widocznym znużeniem. Dołączył do niej, gdy zapaliła już światło w kuchni i stojąc na palcach, zaglądała do szafki nad zlewem. W końcu znalazła w niej słoik kawy rozpuszczalnej.

– Dla mnie nie rób – powiedział, kręcąc się bez celu przy kuchennym stole.

– Wiesz, gdy pojechaliśmy pewnego lata do Mazatlan, mój mąż, to znaczy mój były mąż, żył w ciągłym strachu, że któreś z nas może złapać tam amebę. Podobno to bardzo poważna sprawa. Czasem wręcz fatalna. Byłeś tam kiedyś?

– Nie.

– A powinieneś.

Bruce miał pewne wyobrażenie o Meksyku dzięki paru znajomym, którzy jeździli z Los Angeles przez granicę do Tijuany. Ich opowieści pełne były dziewczyn w kostiumach kąpielowych, steków podawanych w dobrych restauracjach za jedyne czterdzieści centów i komfortowych pokoi hotelowych kosztujących dwa dolary za noc. Wspominali też o cudownych pokojówkach, nieopodatkowanej whiskey i o wszelakich przyjemnościach dostępnych na każdym rogu. Benzyna kosztowała tam tylko dwadzieścia centów za galon, co najbardziej do niego przemawiało, gdyż w nieustannych podróżach jego wóz spalał jej naprawdę wiele. A w sklepach z odzieżą można było dostać za śmieszne pieniądze pierwszorzędne angielskie wełny.

Oczywiście Susan też miała rację: należało bardzo uważać, co się je, ale starczyło unikać miejscowych potraw, a wszystko powinno być w porządku.

Susan Faine postawiła czajnik na kuchence.

– Lepiej późno niż wcale – powiedział Bruce.

– Co?

– Zagotować wodę – wyjaśnił.

– To na kawę – stwierdziła poważnym głosem.

– Wiem. Tylko żartowałem. Chociaż chyba nie powinienem żartować z kogoś, kto nie czuje się dobrze.

Usiadła przy stole i oparła łokcie na blacie. Po chwili ułożyła głowę na przedramionach.

– Mieszkasz w Montario? – spytała.

– Nie. Przyjechałem z Reno.

– Wiesz, co mi przyszło do głowy? Doleję sobie brandy do kawy. Widziałam butelkę na górnej półce szafki. Ściągniesz ją dla mnie? Stoi głęboko, żeby nikt jej zbyt łatwo nie wypatrzył.

Posłusznie zdjął butelkę. Nie była jeszcze otwierana. Susan Faine przyglądała się jej przez dłuższą chwilę. Podsunęła ją pod lampę i przeczytała etykietę. Woda na kuchence zaczęła się gotować.

– Wygląda dobrze. Peg nie zrobi różnicy. Pewnie ktoś dał jej tę brandy w prezencie. A ja i tak ją zrzucę. – Podała mu butelkę, oczekując najwyraźniej, że ją otworzy.

Sprawa nie była łatwa, gdyż w butelce tkwił solidny korek. Bruce musiał ścisnąć ją między kolanami i pochylony niczym drapieźnik nad zdobyczą, wkręcić korkociąg jak najgłębiej, a potem pociągnąć z całych sił. Korek wychodził powoli, ale w końcu wyskoczył i od razu zrobił się bardzo duży. Wręcz odrażający. Wstając z otwieraczem w dłoni, Bruce uważał, by nie dotknąć korka.

Susan obserwowała jego zmagania ze sceptycznym wyrazem twarzy. Gdy w końcu otworzył butelkę, naląła wrzątku do filiżanki, zamieszała kawę i dodała trochę brandy.

– Możesz się poczęstować – powiedziała.

– Nie, dziękuję. – Nie przepadał za brandy, zwłaszcza francuską. Poprawił rękawy, które źle zniosły szamotaninę. Trwało chwilę, nim wygładził zagniecenia.

– Czyżbyś nie był pełnoletni?

– Jestem – mruknął. – Brandy jest dla mnie za słodka. Zwykle pijam szkocką.

Pokiwała głową i usiadła do wzmocnionej kawy. Po pierwszym łyku wzdrygnęła się i odsunęła filiżankę.

– Nie dam rady – powiedziała.

– Powinnaś pójść do lekarza. Sprawdzić, czy to nie coś poważnego.

– Nie cierpię lekarzy. Sama wiem, że to nic poważnego. Psychosomatyczna sprawa

związana z ciągłym napięciem i lękiem. Wszystko przez rozpad mojego małżeństwa. Zbyt się uzależniłam od Walta. To było sedno sprawy. Zrobiłam się przy nim jak dziecko: pozwalałam, żeby decydował o wszystkim za mnie, i to nie było w porządku, bo gdy cokolwiek nie szło jak trzeba, to oczywiście on był winien. Błędne koło. W końcu oboje uznaliśmy, że muszę się uwolnić i spróbować znowu żyć na własny rachunek. Chyba nie byłam gotowa do małżeństwa. Do tego trzeba dorosnąć. Nie udało mi się, chociaż myślałam, że tak.

– Długo byliście razem?

– Dwa lata.

– To całkiem sporo.

– Ale nie dość – powiedziała. – Wciąż się docieraliśmy. Jesteś żonaty, Bruce? Tak masz na imię?

– Zgadza się. Bruce Stevens.

– No więc?

– Nie. Myślałem o tym, ale poczekam, aż będę całkiem pewny, że to dobry pomysł.

Wolałbym uniknąć poważnego błędu.

– Nie byłeś związany z Peg Googer?

– Przez jakiś czas. Mniej więcej cały zeszły rok.

– Mieszkałeś tu wtedy?

– Tak – mruknął niezbyt zadowolony. Wolałby być kojarzony z Reno.

– Przyjechałeś zobaczyć Peg?

– Nie. Przejeżdżałem tędy w interesach. – Wyjaśnił jej, co to takiego Consumers' Buying Bureau i co on w nim robi. Wspomniał, że sprzedają wszystko przeciętnie o dwadzieścia pięć procent taniej i że zbijają koszty, nie zamawiając reklam i rezygnując z okien wystawowych, a więc i dekoratorów. Starcza im wielki parterowy budynek, prawie hala fabryczna, gdzie wstawia się półki, a ekspedienci nie muszą nawet nosić krawatów. Wyjaśnił też, że sklep dyskontowy nigdy nie prowadzi pełnego asortymentu towarów, a tylko te, które może nabyć dość tanio. Aktualna oferta zależy zawsze od tego, co znajdą zaopatrzeniowcy.

Obecnie, powiedział, wybiera się do Boise, by sprawdzić hurtownię oferującą wosk do karoserii. To ją zainteresowało.

– Naprawdę? Jedziesz pięćset mil po wosk?

– Jest bardzo dobry. W paście. – Taki wosk, wyjaśnił, nie sprzedaje się dobrze, bo wymaga sporo pracy przy nakładaniu. Na dodatek ostatnio pojawiły się silikonowe preparaty, które starczy natrysnąć na karoserię i wytrzeć bez polerowania. Tyle że nic nie daje takiego efektu jak stara, uczciwa pasta, taka z puszki, a nie jakiś płyn z butelki czy spryskiwacza. Każdy, kto ma samochód, dobrze o tym wie albo przynajmniej powinien wiedzieć. Przy dyskontowej cenie sprzedaży około dziewięćdziesięciu centów za puszkę wosk powinien pójść bez kłopotów.

Przeciętny samochodziarz poświęci całą sobotę, by wypastować nim karoserię, zwłaszcza jeśli będzie mógł oszczędzić dolara, bo o tyle droższa jest ta pasta w normalnych sklepach.

Susan słuchała pilnie.

– A ile wy będziecie musieli za nią zapłacić?

– My proponujemy stawkę od razu za całą partię – powiedział. Szef upoważnił go do rozpoczęcia negocjacji od czterdziestu centów za puszkę. Maksymalnie mógł dojść do sześćdziesięciu. Najpierw miał sprawdzić, ile właściwie puszek jest w tej hurtowni. Gdyby wosk był za stary albo wyschnięty, wówczas oczywiście powinien odstąpić od transakcji.

– I jeździsz tak wszędzie, szukając jakiejś okazji? – spytała Susan.

– Wszędzie. Na wschodzie docieram do Denver, na zachodzie przeszukuję całe wybrzeże. Aż po Los Angeles – pochwalił się.

– Niesamowite. I nikt nie wie, gdzie zdobyłeś to, co sprzedajecie. Wyobrażam sobie, że zwykli detaliści muszą być na was wściekli i bardzo chcieliby wiedzieć, czy ich dostawcy nie sprzedają wam czegoś taniej niż im.

– Zgadza się. Ale my nigdy nie zdradzamy naszych źródeł zaopatrzenia. – Zaczął wyjawiać Susan informacje, które normalnie zachowywał dla siebie. – Czasem oczywiście kupujemy coś od miejscowych pośredników za ich cenę, ale przy naprawdę dużych transakcjach warto skontaktować się bezpośrednio z producentem. Wtedy płacimy mu tyle co hurtownia, a nawet trochę mniej. Korzystamy też z nagłych spadków popytu i przecen towarów, które zalegają w magazynach. Lub gdy ktoś upłynnia stare zapasy.

Susan Faine mieszała swoją kawę z brandy, powoli jednak i machinalnie, jakby opowieść Bruce'a naprawdę ją wciągnęła.

– I tak to wygląda? – mruknęła. – Nic dziwnego, że mnie się nie udaje.

– Chyba nie prowadzisz sprzedaży detalicznej?

– Och – rzuciła obojętnie – czasem sprzedam taśmę do maszyny albo kilka arkuszy kalki.

Wstała i podeszła do Bruce'a, aż stanęła z nim twarzą w twarz. Ręce założyła pod biustem. Końce wciąż rozpiętego paska zwisały luźno i spódnica rozchyliła się trochę tam, gdzie obie jej części powinny ściśle do siebie przylegać. Susan miała wąskie, „nowoczesne” biodra i Bruce odniósł wrażenie, że jeśli nie zapnie zaraz paska, to spódnica w końcu się z nich zsunie. Ona chyba jednak nie zdawała sobie z tego sprawy. Zamyślona marszczyła brwi. Zauważył, że starła szminkę. Wargi miała koloru słomy, z niezliczonymi, promieniście rozchodzącymi się drobnymi zmarszczkami. Jakby przesuszone. Jej skóra też była sucha, ale gładka i napięta. Mimo głębokiej czerni włosów cerę miała wybitnie jasną. Oczy błękitne. Przyjrząwszy się dokładniej włosom, dojrzał rudawobrazowe odrosty. Czyli je farbowała. To wyjaśniało brak połysku.

Raz jeszcze odniósł wrażenie, że zna tę kobietę. Widział ją już wcześniej, rozmawiał z nią.

Pamiętał jej głos, intonację, dobór słów. Szczególnie dobór słów. Wielokrotnie jej słuchałem, pomyślał. Znam ten głos jak mało który na świecie.

Ciągle się jeszcze nad tym zastanawiał, gdy przed domem rozległ się donośny jazgot. Drzwi otworzyły się gwałtownie i przez próg wdarła się grupa ludzi. Gadali i zapalali wszystkie światła. Peg i jej znajomi z biura wrócili z dostawą imbirowego piwa.

Susan nawet okiem nie mrugnęła, zupełnie jakby ich nie słyszała.

– Bardzo to wszystko ciekawe – powiedziała. – I chyba powinnam się tym bliżej zainteresować. W zasadzie to całkiem nowy sposób sprzedaży. Tak naprawdę... – Obróciła głowę. W drzwiach kuchni stała Peg z papierową torbą w rękach.

– Co ty tu jeszcze robisz? – spytała zdumiona gospodyni. – Myślałam, że pojechałeś. – Wyminęła go i postawiła torbę obok zlewu, aż szkło stuknęło o kafelki.

– Zapomniałem marynarki.

– Jak wszedłeś? Drzwi były zamknięte.

– Ja go wpuściłam – powiedziała Susan.

– Byłaś podobno chora i miałaś leżeć – warknęła Peg i wyszła do salonu, zostawiając ich samych.

– Ma coś do ciebie? – spytała Susan. – Dziwnie się zachowywała po twoim wyjściu. No i ty wyniosłeś się bardzo szybko. Długo tu będziesz? Kiedy musisz wracać do Reno?

– To się dopiero okaże. W najlepszym układzie zostanę cały dzień.

– Chciałabym z tobą jeszcze trochę porozmawiać – powiedziała Susan, opierając się o krawędź zlewu.

– I ja bym chciał. Wiesz, ciągle mi się wydaje, że cię już kiedyś spotkałem, tylko nie mogę cię nigdzie przypasować.

– Ja mam to samo wrażenie.

– No proszę. Zawsze tak się mówi...

– ...w czarowne wieczory, kiedy to od pierwszego wejrzenia rozpoznaje się tę jedyną ukochaną osobę – dokończyła za niego z uśmiechem, a jemu żywiej zabiło serce. – Wiesz, gdy tak opowiadasz o kupowaniu i sprzedaży, zaraz robi mi się lepiej. Nawet żołądek przestał mnie boleć.

– I dobrze – powiedział, puszczając ostatnie zdanie mimo uszu. Nie miało nic wspólnego z jej obrazem, tematem ich rozmowy i całą resztą.

– Może tego właśnie mi trzeba? – zastanowiła się głośno. – Odkąd wróciłam z Meksyku, ciągle jest nie tak. Minał dopiero z miesiąc. Nie mogę jakoś dojść z tym wszystkim do ładu... Może zajrzysz kiedyś do nas? Dam ci wizytówkę. – Wyszła na chwilę z kuchni i wróciła z kartonikiem. Podała mu go zgrabnie, choć niemal oficjalnie. – Wpadnij. Pójdziemy sobie gdzieś i postawisz mi lunch.

– Z przyjemnością – powiedział, zastanawiając się już, kiedy i przy jakiej okazji mógłby ponownie wybrać się do Boise. A może warto by poświęcić trochę własnego czasu i prywatnie zaliczyć ten tysiąc kilometrów w obie strony? Jeśli będzie czekał na wyjazd służbowy, to możliwe, że trafi tu ponownie dopiero za pół roku, a i wtedy będzie miał do dyspozycji góra jeden dzień. Bił się jeszcze z myślami, gdy Susan zostawiła go i dołączyła do reszty w salonie.

Warto by się nią zająć, pomyślał. Bez dwóch zdań warto.

Kilka minut później ponownie pożegnał się z wszystkimi i raz jeszcze wyszedł z domu.

Jadąc znów z powrotem ku autostradzie, myślał o tym, jak bardzo zadbana jest ta nie najmłodsza przecież kobieta. Młode tak nie potrafią. Jeśli dojrzała kobieta wygląda dobrze, to dlatego, że chce, nigdy nie jest to przypadek. Nie zawdzięcza tego naturze, która dała jej zgrabną figurę, ładne zęby czy smukłe nogi. Tu wchodzi w grę starannie wypracowane piękno.

Co więcej, był przekonany, że takie kobiety wiedzą same z siebie, jak to robić.

Dotarł już prawie do autostrady, gdy nagle przypomniał sobie, skąd zna Susan Faine. I zaraz zamyślił się tak bardzo, że aż zwolnił i dalej prowadził wyłącznie odruchowo, nie obserwując drogi.

Mieszkała w Montario od lat. Ani on, ani nikt z jego kolegów nie znał wtedy jej imienia, a obecne nazwisko miała po mężu. Wtedy naturalnie nazywała się inaczej. Wszyscy myśleli o niej jako o pannie Reuben. Ostatni raz widział ją w 1949 roku, gdy chodził do szkoły średniej. To jasno określało jego pozycję, również w jej oczach. Nic dziwnego, że potraktowała go jak uczniaka.

Susan Faine była jego nauczycielką w piątej klasie. W 1944 roku. Miał wtedy jedenaście lat i chodził do Szkoły Podstawowej imienia Garreta A. Hobarta w Montario.

Rozdział 3

Noc spędził w motelu na przedmieściu Boise. Rano spotkał się z przedstawicielami hurtowni akcesoriów samochodowych i wynegocjował dogodne warunki kupna dużej partii wosku.

O jedenastej wynajął przyczepę i wypchał ją po brzegi kartonami. Sporo ich załadował także do swojego samochodu. W tym czasie hurtownia potwierdziła jego czek. Uzgodnił jeszcze kwestię dostawy reszty kartonów i odjechał. Raczej powoli, gdyż z przyczepą i ładunkiem nie mógł jechać zbyt szybko.

Z takim ładunkiem nie mógł też wracać do Reno w pełnym blasku upalnego dnia. Gdyby wyjechał teraz na pustynię, silnik mercury'ego na pewno by się przegrzał, woda w chłodnicy zagotowała, a może nawet zatarłyby się tłoki. W podobnych razach dopłacał zwykle dolara czy dwa i zatrzymywał pokój w motelu na resztę dnia. Ucinał sobie drzemkę, trochę czytał i odpoczywał, a w trasę wyruszał dopiero o zachodzie słońca.

Teraz też skierował się najpierw do motelu, ale po chwili się rozmyślił. Zawrócił ku przedmieściom Boise.

O pierwszej po południu zaparkował samochód z przyczepą przed sklepem obuwniczym. Wsiadł, sprawdził, czy przyczepa jest dobrze zabezpieczona przed domorosłymi złodziejami, i wmiszał się w ciągnący chodnikiem tłumek amatorów wczesnych zakupów. W końcu dojrzał szyld oznajmujący: R & J Mimeographing Service.

Lekko spocony ze zdenerwowania pchnął drzwi. Wnętrze było nowoczesnie urządzone, naprzeciwko wejścia mieściło się ponadto biuro notarialne o podobnym wystroju. Szumiący na kontuarze wentylator chłodził powietrze. Pod ścianą ustawiono dla klientów kilka lśniących ciemnych krzeseł.

– Witam – odezwała się do niego przyjaźnie kobieta w średnim wieku ubrana w fartuch roboczy.

– Czy zastałem panią Reuben? – spytał bez namysłu Bruce i zaraz tego pożałował. Powinien spytać o panią Faine. Gdyby go teraz usłyszała, na pewno by się zorientowała, że znał ją w przeszłości.

– Susan nie przyszła dzisiaj – odparła jednak kobieta. – Zadzwoiła około dziesiątej, że nie czuje się dobrze.

– A to pechowo się składa – stwierdził Bruce i nieco mu ulżyło. – Wpadnę innym razem.

– Może jednak mogłabym coś dla pana zrobić? – spytała kobieta, stając z dłońmi złączonymi w rękawach fartucha. Nosiła okulary z grubymi szklami, włosy miała spięte w kok. Pomarszczona okrągła twarz o ciężkiej szczęce robiła sympatyczne wrażenie. Rozchylone w uśmiechu usta pobłyskiwały srebrnymi i złotymi świadectwami starannej roboty

dentystycznej.

– Nie. Jestem jej przyjacielem. Przyjechałem z Reno i pomyślałem, że zajrzę i się z nią spotkam.

– Wielka szkoda, że jej pan nie zastał.

– Cóż – mruknął – widziałem ją wczoraj wieczorem.

– A, u Peg Googer?

– Tak.

– I jak się czuła?

– Nie za dobrze – powiedział. – Nawet się na chwilę położyła. Bała się, że złapała w Meksyku jakąś amebę, ale na mój nos to raczej azjatycka grypa.

– Proszę posłuchać. – Kobieta nagle się ożywiła. – Czemu nie miałby pan do niej teraz wpaść? Przyjechał pan samochodem, prawda? – Pospiesznie cofnęła się za kontuar i zebrała jakieś papiery. – Mam tu kilka rzeczy, które powinna dzisiaj zobaczyć. Myślałam, żeby zamknąć o czwartej i zawieźć jej to taksówką. – Wróciła ze sporym plikiem do kontuaru. – Czeka do podpisania, poczta, praca pewnego studenta. Pełno w niej symboli matematycznych. Maszyną ich nie wpisujemy, ale Susan mogłaby je wpisać ręcznie. I tylko ona, bo ja nie potrafię. – Podsunęła mu stos papierów.

– Nie wiem, czy mogę – zaprotestował nieśmiało, ale kobieta podała mu to wszystko ruchem wykluczającym odmowę. Nim się zorientował, trzymał już papiery w rękach. – Nigdy tam nie byłem – dodał.

– Trafi pan bez kłopotu. – Pociągnęła go za rękaw i podprowadziła do dużego, lakierowanego planu miasta. – Proszę. My jesteśmy tutaj – pokazała nakreślony na planie czerwony krzyżyk. – Musi pan jechać tędy. – Objasniła szczegółowo, gdzie ma skręcać, zapisała na kartce adres. Wyraźnie odetchnęła, że znalazła kogoś, kto dostarczy dokumenty jej partnerce. – Będę bardzo wdzięczna. Mam tu masę roboty, gdy Susan się nie zjawia. Niedawno w ogóle wyjechała z kraju i sama musiałam wszystko robić – rzuciła, wracając za kontuar. Siadła do dużej i przestarzałej elektrycznej maszyny do pisania. Uśmiechnęła się do niego znad okularów i zaczęła pisać. – Mam nadzieję, że pan to zrozumie – dodała.

– Dziękuję za wskazanie drogi – powiedział Bruce, zmieszany, że ta zupełnie obca kobieta powierzyła mu książeczki czekowe firmy tylko dlatego, że wymienił nazwisko jej współniczki. Co za beztroska, pomyślał. Żeby tak zdawać się w interesach na przypadek... – Skoro już tam jadę, może mógłbym jej też podrzucić jakieś lekarstwo? Jak pani sądzi?

– Nie – odparła kobieta. Z jakiegoś powodu ją to rozbawiło. – Poczta i czeki są najważniejsze. I proszę, niech pan nie zapomni jej powiedzieć, że któraś z nas powinna zadzwonić do tego studenta, żeby wiedział, ile to będzie kosztować. Jego dane są na rękopisie. Ma tylko pięćdziesiąt dolarów.

Pożegnał się i wyszedł z zakładu. Po chwili otworzył drzwiczki samochodu i złożył stos papierów na siedzeniu.

Teraz już muszę tam pojechać, pomyślał.

Zapalił silnik, włączył się do ruchu i skręcił w kierunku domu Susan Faine.

Przed laty, gdy był w szkole średniej, zajmował się roznoszeniem gazet. Robił to po lekcjach, na terenie Montario, a panna Reuben mieszkała na trasie jego codziennych wędrówek. Przez kilka pierwszych miesięcy nie miał z nią kontaktu bo niczego nie abonowała, ale pewnego dnia, gdy brał paczkę gazet, znalazł przy niej notatkę o nowym kliencie w rejonie numer 36. W paczce był dodatkowy egzemplarz gazety. Wszedł zatem po szerokich cementowych stopniach, minął drzewa i kwietniki, aż stanął pod balkonem. Stamtąd rzucił zwiniętą gazetę, która przeleciała ponad barierką i wylądowała pod drzwiami. Potem powtarzał to sześć razy w tygodniu niemal przez rok.

Ten dom nie przypominał tamtej wspaniałej kamiennej siedziby pośród drzew, z fontanną, basenem z rybkami, sadzawką dla ptaków i systemem zraszaczy. W tamtych dniach Susan była stanu wolnego i mieszkała z czterema innymi kobietami. Dom nie był ich własnością, tylko go wynajmowały. Jej obecny dom był skromniejszy, na planie kwadratu, i zbudowano go z drewna, nie z kamienia. Okna też były mniejsze. Od frontu zamiast drzew rosło kilka krzaków i trochę kwiatów, trawy w ogóle nie było. Schodki zrobiono z cegieł. Niemniej dom był nowoczesny, w dobrym stanie, na tyłach zaś ciągnęła się zielona murawa, równa i dobrze utrzymana, ze stołem do ping-ponga na środku i obrośniętymi pnącą różą drzewkami. Ściany były w miłym odcieniu bieli. Zaszłe krople farby widoczne na liściach krzaków świadczyły, że pomalowano go w ciągu ostatniego miesiąca.

Zamknął drzwiczki samochodu, przeszedł przez chodnik, wspiął się na ganek i zadzwonił, nie czekając, aż wątpliwości co do sensu wizyty rozmnożą się ponad miarę.

Nikt się nie pojawił. Zadzwonił raz jeszcze.

Gdzieś w domu grało radio nastawione na stację z muzyką taneczną. Odczekawszy trochę, obszedł dom i przez otwartą furtkę dostał się na tyły.

W pierwszej chwili ogród wydał mu się pusty. Bruce zawrócił już ku frontowemu wejściu, gdy dostrzegł Susan Faine. Trwała w bezruchu i przez to wtopiła się w tło. Z czymś bardzo kolorowym na kolanach siedziała na schodkach przed tylnymi drzwiami i chyba zajmowała się cerowaniem lub szybem, bo na stopniu obok niej leżały nożyczki i kilka szpulek nici. Obiektem jej wysiłków były dziecięce skarpetki. Dopiero teraz Bruce zauważył porzucane po murawie zabawki, zardzewiałego metalowego konia, klocki, plansze do gier. Susan miała na sobie białą plisowaną bluzkę z krótkim rękawem i długą zieloną spódnicę, która dawno nie widziała żelazka. Przy każdym podmuchu wiatru cienki materiał owijał się wokół jej nóg. Ręce i łydki

Susan wydawały się nienaturalnie białe. Była boso, ale obok leżała para skopniętych chyba, płóciennych butów.

Jeśli cerowała, to musiała przed chwilą przerwać pracę. Siedziała pochylona z czerwoną skarpetką naciągniętą na prawą dłoń. Na palcu wskazującym lewej dłoni połyskiwał naparstek. Czegoś tu jednak brakowało...

– Gdzie masz igłę i nitkę? – spytał Bruce. Uniosła głowę.

– Co? – spytała przeciągle, mrużąc oczy, żeby zobaczyć, z kim ma do czynienia. Ruchy miała spowolnione, jakby się jeszcze nie dobudziła. – A, to ty. – Przeczesła palcami trawę u swoich stóp. – Upuściłam je.

Gdy podszedł, znalazła w końcu igłę. Przyjrzała się jej uważnie i wróciła do cerowania. Jaskrawe południowe słońce zmuszało ją do mrużenia powiek. Bezwiednie marszczyła czoło.

– Mam dla ciebie masę szpargałów – powiedział, pokazując, co przywiózł.

Znów uniosła głowę.

– Z twojego biura – wyjaśnił.

– Pani de Lima ci to dała?

– Kobieta, która tam była. W średnim wieku, ciemnowłosa.

– Powiedziałaś jej, że się źle czuję, chociaż po prawdzie powinnam pojechać. Przez ostatni miesiąc spędziłam w firmie ledwie jeden dzień.

– Jeśli źle się czujesz, to nie masz co tam robić.

– Czuję się dobrze – stwierdziła. – Po prostu nie mogę się zmusić, żeby tam siedzieć. Zbyt mnie to przygnębia. Nie jestem stworzona na bizneswoman. Wolałam uczyć w szkole.

Pokiwał głową.

– Zanieś to do środka – poprosiła Susan i westchnęła. – Czeki i poczta... A ta duża paczka to co?

– Jakiś rękopis. – Przekazał jej dokładnie wszystko, co usłyszał od pani de Limy.

Susan odłożyła naręczę skarpetek i wstała.

– Wiem, o co jej chodzi. Chce, żebym przepisała go w domu. Pamięta, że mam tu elektryczną maszynę Underwooda. Pewnie powinnam to zrobić. Co się ze mną dzieje? Zrzucam całą pracę na jej barki, to nie w porządku... Przez ostatni miesiąc radziła sobie bardzo dobrze. Wejdz. Przepraszam, że tak wolno dziś kojarzę... Nie mogę się na niczym skupić. – Zniknęła w domu i ruszył jej śladem.

Tylna weranda mieściła pralnię z mnóstwem półek, było w niej dość chłodno. Susan poprowadziła go przez kuchnię o żółtych ścianach i jasnych meblach, a potem korytarzem do pokoju od frontu. Gdy tam wszedł, siedziała już w głębokim, staroświeckim fotelu. Ręce oparła na pokrytych czarnym płótnem poręczach, głowę odchyliła do tyłu, spojrzenie wbiła w sufit.

Bruce ułożył papiery na stole.

– Trochę się zdziwiłem, że dała mi to wszystko.

– Dlaczego? – spytała Susan, zamykając oczy.

– Przecież mnie nie zna.

– Biedna Zoe. Nie jest zbyt rozgarnięta. Ufa każdemu. Jest równie nierozważna jak ja. Żadna z nas nie ma głowy do interesów. Nie mam pojęcia, jakim cudem w ogóle założyłyśmy tę firmę.

– Tak czy owak, jakoś z niej żyjecie.

– Nie. Wcale z niej nie żyjemy... Bruce? Tak masz na imię? To właśnie przygnębia mnie najbardziej, że teraz, gdy naprawdę potrzebuję stałego źródła dochodów, jakoś go nie widzę.

– Czyje są te zabawki na tyłach?

– Taffy – odparła Susan. – Mojej córki. Jest teraz w szkole. Chodzi do drugiej klasy.

Przez chwilę bardzo chciał jej powiedzieć, że była kiedyś jego nauczycielką. Zaczął już układać stosowne zdanie i jeszcze trochę, a byłby je wygłosił, w końcu jednak wyrzucił z siebie co innego:

– Jeśli byłaś nauczycielką, to dlaczego sama nie uczysz jej w domu? Moim zdaniem to najlepsze rozwiązanie.

– Dziecko musi poznać życie w grupie – stwierdziła Susan. – Chcesz kawy? – Wstała z fotela i ruszyła do kuchni.

– Nie, dziękuję – mruknął. Odpowiednia chwila minęła, a wraz z nią, co dziwne, jakiegokolwiek pragnienie wyjawienia prawdy. Może nigdy już nie wróci do tego tematu. Zamknięta sprawa, niewarta poruszania. Tyle że on wiedział. Pamiętał ją, wówczas młodą dziewczynę, którą zobaczyli pewnego ranka w klasie.

Musiała mieć wtedy jakieś dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata, pomyślał. Dobry Boże, tyle, ile ja teraz.

Spróbował sobie wyobrazić ją taką, jaka była wówczas naprawdę, a nie tylko jak widział ją z perspektywy młodszego i o jedenaście lat piątoklasisty. Obraz był niewyraźny, ale trudno było oczekiwać innego. Zamknawszy oczy, mógł przywołać sylwetki rozmaitych bliskich przyjaciół z tamtych czasów. Tate Murzyńskie Wargi, Bud McVae, Earl Smith, Louis Selkirk, ten dzieciak z mieszkania pod drugiej stronie ulicy, który i w biały dzień na oczach wszystkich ściągnął mu kiedyś portki. Dziewczyna z długimi czarnymi włosami, która siedziała przed nim w klasie i do której Gene Scanlan napisał kiedyś liścik w jego imieniu. Stara pani Jaffey przechwyciła go, ale dzięki Bogu nie potrafiła odczytać. Wszystko to widział całkiem wyraźnie, ale gdy pomyślał o pannie Reuben, pamięć podsunęła jedynie postać kobiety o zaciętej twarzy stojącej przed klasą z oczami pełnymi złości, zaciśniętymi ustami i rękami założonymi na piersi. Miała na sobie niebieski kostium z guzikami wielkimi jak plakietki rozdawane podczas kampanii wyborczych, tyle że białymi. Pamiętał też jej donośny głos, szczególnie z tych chwil, gdy upominała ich na boisku podczas przerw. Stawała na podeście przy drzwiach budynku, by lepiej ich pilnować. Na

ramiona narzucała ciężki płaszcz. Przyjechała do Idaho z Florydy i nijak nie mogła przywyknąć do tutejszego chłodu. Zimą i z początkiem wiosny wciąż się trzęsła i narzekała głośno na pogodę, nawet w ich obecności. Twarz miała ściągniętą boleśnie, a wargi zaciskała tak bardzo, że prawie nie było ich widać. W klasie opowiadała ciągle o Florydzie i jej wspaniałym klimacie, o drzewkach pomarańczowych i cytrynowych, o plażach. Słuchali jej. Nie mieli wyboru.

Od pierwszego dnia bardzo się jej bał. Wszyscy widzieli, że jest małąstwową i porywczą młodą kobietą o niespożytych siłach, kimś całkiem odmiennym od starej pani Jaffey, która ciągle chorowała, a pewnego popołudnia zeszła do gabinetu pielęgniarki i nie wróciła już do klasy. Od paru miesięcy skarżyła się na zmęczenie i gorączkę. Gdy wyszła z klasy, zaczęli krzyczeć i rzucać się gumkami. Bawili się świetnie, aż przyszedł dyrektor i ich uciszył. A potem, parę dni później, natknęli się w klasie na pannę Reuben.

Pani Jaffey była najstarszą nauczycielką w szkole i z nikim nie żyła tam dobrze. Zamierzała zresztą odejść pod koniec roku na emeryturę. Miała sześćdziesiąt osiem lat. Pan Hillings, dyrektor, mówił, że uczyła w tej szkole od jej otwarcia w 1904 roku.

On, czyli Skip Stevens, był z panią Jaffey w całkiem dobrych układach. W gruncie rzeczy to ona zadbała, by został wybrany na przewodniczącego klasy, dzięki czemu na apelach mógł występować w imieniu wszystkich piątoklasistów i decydować o pewnych sprawach. Na przykład kiedy podlewać ogród warzywny piątoklasistów mieszczący się na tyłach szkoły. W tamtym czasie był muskularnym i roslym chłopcem z rudymi włosami i piegami. Do tego jeszcze świetnie grał w futbol. Podczas dużej przerwy pierwszy wypadł z bufetu i biegł na boisko.

Teraz, patrząc wstecz, doszedł do wniosku, że chyba terroryzował resztę klasy. Niemniej, ponieważ przerastał wszystkich innych chłopców, ta rola przypadła mu całkiem naturalnym trybem. W tym wieku nie da się inaczej: ktoś musi przewodzić stadu.

Co do pani Jaffey, to w ostatnich miesiącach pracy w szkole zrobiła się zbyt słaba i rozkojarzona, by komukolwiek wadzić. Do czasu, gdy udała się do pielęgniarki, Skip praktycznie przejął władzę nad klasą. Pewnego dnia wzniecił ogień w szatni, a kiedyś, gdy pani Jaffey wyszła do łazienki, wrzucił jej do biurka zawartość kosza na śmieci.

Susan wróciła z kuchni z aluminiowym imbrykiem do kawy w ręce.

– Przyjechałeś samochodem, Bruce? Bo wiesz, zabrakło mleka. Dasz się namówić i pojedziesz po karton mleka? Proszę. – Postawiła imbryk i poszła do salonu. Wyjęła portmonetkę z leżącej na kanapie torebki i podała mu pięćdziesiąt centów. – Cztery przecznice stąd, na rogu, jest spożywczy. A co z twoim woskiem do samochodów? Załatwiłeś sprawę?

– Tak – powiedział. – Dobiłem targu. – Nie przyjął monety, ale ruszył ku drzwiom.

– Kiedy musisz wracać do Reno?

– Dziś wieczorem.

– Świetnie. To znaczy, że nic cię zbytnio nie pogania.

– Zaraz wrócę. – Otworzył drzwi i wyszedł na ganek. Ruszając sprzed domu, zastanawiał się, dlaczego właściwie nie zaprotestował. Wyprawiła mnie po zakupy. No ale, z drugiej strony, dlaczego nie miałbym dla niej czegoś zrobić?

To była miła perspektywa.

Ale czy powinienem? Czy powinienem cokolwiek dla niej robić? Dla kobiety, której się bałem... Młodej nauczycielki, która na mnie nakrzyczała, poniżyła przed całą klasą. Może to dochodzą do głosu stare wzorce? Przymus posłuszeństwa. Niewoli. Poddaństwa wieku dziecięcego...

Jednak nie czuł się zniewolony ani poniżony tym, że tak odruchowo jej posłuchał. Wręcz przeciwnie. Rozglądając się zza kierownicy mercurego w poszukiwaniu sklepu, urósł jakoś, poczuł się ważny. Użyteczny. Spolegliwy.

Gdy wrócił z kartonem mleka, znalazł ją w salonie. Z zaciętą twarzą podpisywała wiecznym piórem czeki. Dobrze pamiętał tę jej minę z zaciśniętymi ustami – wyrażała tylko pretensję i urazę. Do tego zmarszczone czoło. Na ramiona narzuciła obszerny blezer. Różowy, w babcinym stylu. Widać znów było jej zimno. Jego zdaniem w salonie rzeczywiście było chłodno, a do tego ciemno i głucho. Słońce tu nie docierało. Gdy pojechał po mleko, wyłączyła radio. Bez muzyki tanecznej dom wydawał się starszy, poważniejszy. Bardziej niezależny. Ona też wyglądała w tym swetrze na starszą. Włożyła buty, nie te, które zauważył na tyłach, ale skórzane. I do tego białe bawełniane skarpetki.

– Czy twój dyskont sprzedaje maszyny do pisania? – spytała, nie podnosząc głowy. – A może już cię o to pytałam?

Zaniósł mleko do kuchni. Kupił też parę butelek piwa Lucky Lager i torbę serowych krakersów.

– Mamy kilka modeli przenośnych maszyn – odparł. – Ale żadnych biurowych czy elektrycznych.

Podsunęła mu lśniąca broszurkę.

– Przejrzyj i powiedz, co o tym myślisz.

Przeczytał. Była to reklamówka nowej przenośnej maszyny do pisania na węglową taśmę.

– Czasem zaglądamy do nas różni złotouści akwizytorzy – wyjaśniła Susan. – Jak zawsze próbują wstawić to i owo do sprzedaży.

– I musicie ich wystawiać za drzwi.

– Sprzedajemy trochę używanych maszyn, ale nie mamy dość pieniędzy, żeby zainwestować w nowe. Może gdyby zechcieli dać nam je na rachunek z odroczonej spłatą... Nie piszą tam, ile chcą za ten model?

Nie znalazł na reklamówce żadnej ceny. Ani hurtowej, ani detalicznej.

– Nie.

– Dziękuję za mleko – powiedziała. Zamknęła książeczkę czekową, odłożyła pióro, wstała i chciała przejść obok Bruce'a, ale nagle zatrzymała się przy nim, tak że poczuł powiew jej oddechu na twarzy. Po raz pierwszy zauważył, że jest od niego sporo niższa. Rozmawiając z nim, musiała mocno zadzierać głowę. Wyglądała w tej pozie, jakby zanosila doń błagania.

– Jak mamy osiągać jakiegokolwiek zyski, skoro brakuje nam pieniędzy na rozruch? Wpływy starczą jedynie na pokrycie rachunków za prąd i gaz. Idaho Power Company ma nas w kieszeni. Owszem, papier i kalkę wliczamy w koszty, ale jednak. – Narzekając tak, wydawała się nie tylko niewysoka, ale też chuda, wręcz koścista, i chyba jeszcze zmarznięta. Skuliła otulone swetrem ramiona, jakby chciała opanować dreszcze. Przez cały czas nie spuszczała spojrzenia z jego twarzy.

Nigdy nie miał okazji widzieć jej z tak bliska. To, co pamiętał z przeszłości, nie wytrzymało próby czasu. Dotąd wydawało mu się, że jest wybitnie silna fizycznie, tymczasem nie różniła się pod tym względem od większości kobiet, delikatnych i kruchych. Sama też się chyba za taką miała. Wtedy, w szkole, uważał ją za silną, bo był dzieciakiem, a na dodatek pani nauczycielka była niezmiennie zła na całą klasę. Na tym polegała jej praca: zastraszać ich, zadrećzać i podporządkowywać sobie. Rada szkoły zatrudniła ją właśnie z uwagi na te umiejętności: potrzebowali nauczycielki potrafiącej utrzymać dzieci w ryzach. Poza szkołą była zapewne wtedy taka jak teraz. Przypomnił sobie, że gdy pewnego dnia zaniósł jej później gazety, zajrzał do środka i zobaczył na stole filigranowe porcelanowe filiżanki. Podawała w nich herbatę przyjaciółkom. Ale to akurat, samo w sobie, nie kłóciło się z wyobrażeniem o jej belferskiej duszy i ten jej fałszywy obraz nosił w sobie przez długie lata.

Po chwili ruszyła dalej. Dywan tłumił całkowicie odgłos jej kroków.

– Och, pewnie kupiłeś homogenizowane mleko – odezwała się. – Nie powiedziałam ci, abyś kupił zwykłe, żeby można było zebrać śmietankę. – Otworzyła brązową papierową torbę i zajrzała do środka. – Piwo – zdziwiła się.

– Dzień jest dość ciepły – mruknął nerwowo Bruce.

– A jednak kupiłeś zwykłe mleko – ucieszyła się, wyjmując karton.

– Zgadza się.

– Chcesz kawy?

– Wolę piwo.

– Ja nie. Nie pijam piwa. – Znalazła otwieracz na blacie i zdjęła kapsel. Nalała mu pełną szklankę i podała. – I co myślisz o R & J Mimeographing?

– Biuro na pierwszy rzut oka robi dobre wrażenie. Nowoczesne.

– Zajrzałbyś tam i spróbował doradzić, co powinniśmy zrobić? Masz sporo doświadczenia,

którego nam brakuje.

Całkiem zaskoczony nie wiedział, co powiedzieć.

– Wiesz, czego bym chciała? Żebyś wszedł do tego interesu. Żebyś go poprowadził. Mógłbyś wstawić do sprzedaży przenośne maszyny do pisania i w święta, gdy wszyscy robią pieniądze, też mielibyśmy coś do sprzedania. – Wpatrzyła się w niego przenikliwie. – Naprawdę. Gdy pojechałeś wczoraj, sporo o tym myślałam. Zoe jest do niczego; powinnam się jej pozbyć. I zrobię to. Każda z nas włożyła w ten interes trzy tysiące dolarów. Sześć tysięcy to niewiele. Zgodnie z ustaleniami rozwodowymi Walt jest mi winien mniej więcej tyle. Zamierzałam spłacić dom, ale chyba zrobię inaczej. Wolę wykupić Zoe i samodzielnie poprowadzić firmę. Wtedy mogłabym ci ją przekazać. Mogłabym ci dać wolną rękę. Może udałoby mi się dogadać z bankiem i pożyczyć dość na te maszyny. Albo na cokolwiek innego, gdybyś ich nie chciał.

Niedowierzenie odebrało mu głos.

– Chciałabym pozbyć się tego garbu – stwierdziła Susan.

– Nie wątpię – mruknął.

– Nie jestem stworzona do robienia interesów. Nie nadaję się do tego. Wolę siedzieć w domu z Taffy. Teraz widuję ją tylko godzinę wieczorem. O drugiej przychodzi kobieta do sprzątnia, która potem odbiera Taffy ze szkoły i siedzi z nią w domu aż do szóstej, gdy wreszcie mogę wrócić. Zajmowała się domem i Taffy, gdy byłam w Meksyku. Walt już prawie od roku tkwi w Utah, w Salt Lake City.

– Rozumiem.

– Mógłbyś to zrobić? – spytała błagalnie.

– Pewnie tak.

– Pomyślałam już o tym, ile byś z tego miał. Zoe i ja bierzemy pensję. Ty mógłbyś dostawać dokładnie połowę zysków. Nie pensję, ale dokładnie pięćdziesiąt procent zysków netto. Co o tym sądzisz? W sumie miałbyś tyle co ja, a do tego nie musiałbyś się martwić o inwestycje.

– To nie w porządku.

– Dlaczego?

– Nie fair wobec ciebie.

– Ktoś musi mi pomóc – stwierdziła zbolalym tonem. Odsunęła się od niego i objęła mocno ramionami. – Potrzebuję kogoś, na kim mogłabym polegać. Nie mam już Walta, a dotąd to on był dla mnie oparciem. Działa w branży galwanizowanych rur i przewodów. A ja muszę się przecież zająć Taffy,; muszę poświęcić jej cały mój czas. I to jest najważniejsze. To moje właściwe zadanie. Nie wiem, ile teraz wyciągasz... pewnie więcej. Ale gdybyś dobrze sobie radził, to wyjdiesz na swoje. Nie sądzisz? Biuro jest małe, ale w dobrym punkcie.

– Racja.

Odwróciła się gwałtownie i znów na niego spojrzała.

– Bruce – powiedziała zdławionym głosem, jakby była bliska płaczu. – W nocy nie mogłam spać. Leżałam i myślałam i o tobie. Wiedziałam, że będziesz tędy wracał. Siedziałam na tyłach domu i czekałam w nadziei, że zajrzysz. Czekałam cały ranek. Wiedziałam, że miałeś... – machnęła ręką – że miałeś tę jedną sprawę do załatwienia. Dlatego zostałam w domu i nie poszłam do biura. Nie chciałam spotkać się z tobą tam, przy Zoe. Nie żyjemy ze sobą zbyt dobrze. Nie chcę, by wiedziała cokolwiek, zanim się dogadamy i będę jej mogła oznajmić prosto w oczy, że chcę odkupić jej udział. Uzgodniłyśmy taką możliwość, gdy zakładałyśmy spółkę. Boję się jej to powiedzieć... tyle lat byliśmy przyjaciółkami. Mieszkałyśmy razem w Montario, gdy uczyłam w szkole.

Pewnie była wtedy na tej herbatce, pomyślał Bruce.

– Słuchaj, będę z tobą szczerą – dodała poważnym tonem. – Naprawdę nie wiem, co mam zrobić. Nie dostaję żadnych alimentów od Walta. Wyjechał poza granice stanu. Owszem, będzie przysyłał pieniądze co miesiąc, ale tylko na Taffy. Nie będzie tego wiele. Sama mam równe cztery tysiące dolarów udziału we wspólnym majątku i ten dom. Dom to jakieś pięć tysięcy. Walt wziął samochód. Mam też trochę mebli, ale nie są wiele warte. Jestem naprawdę w rozpaczliwym położeniu. Pracy szukać nie zamierzam, popracowałam już i dziękuję.

Rzuciłam nauczanie po ślubie i raczej umrę, niż do tego wrócę. Zajęcie sekretarki czy maszynistki też nie wchodzi w grę, to byłaby degradacja. Nie wiem, czy nie oddam Taffy Waltowi i... – Nagle urwała. Przez chwilę stała, kołysząc się w przód i w tył. – Jestem bardzo samotna. Większość naszych przyjaciół zerwała znajomość, bo myślą, że to przeze mnie rozstaliśmy się z Waltem. Widziałeś tych ludzi u Peg. To zwykła banda...

– ...urzędasów – dopowiedział Bruce.

– Właśnie.

– W małym miasteczku to normalne.

– Może o to właśnie chodzi. Może powinnam przeprowadzić się do Reno lub na Wschodnie Wybrzeże. No ale mam tę przeklętą firmę. Bruce... – odezwała się głośniejszym głosem – ona musi zacząć przynosić prawdziwe zyski. – Podeszła bliżej. – Założę się, że potrafisz tego dokonać. Wiem, że potrafisz. Gdybyś dziś nie wstąpił, pojechałabym Greyhoundem do Reno, żeby cię poszukać. Zadzwoń im nawet do nich i sprawdź autobusy. Pokażę ci. – Wybiegła z pokoju i niemal natychmiast wróciła, powiewając złożonym arkuszem papieru maszynowego z wypisanym rozkładem jazdy.

– Musiałbym się jeszcze zastanowić – powiedział, myśląc o swojej pracy w CBB i mieszkaniu w Reno, o tamtejszych przyjaciółkach i szefie, Edzie von Scharfie, od którego był zależny. I o wszystkich swoich dotychczasowych planach.

Niemniej rzeczywiście mógłbym postawić jej firmę na nogi, stwierdził w duchu, mógłbym ją poprowadzić. Nikt by mi nie mówił, co mam robić. Miałbym wolną rękę. Wykorzystałbym swój

talent, doświadczenie...

– Ale to ciekawa propozycja – przyznał głośno.

– Wiesz, kiedy musielibyśmy zamówić towary na Gwiazdkę?

– Jesienią.

– W sierpniu – stwierdziła z urazą. – Chciałabym, żebyś do tego czasu był w pełni gotowy do pracy.

Skinął głową. Sięgnął po otwieracz do butelek, otworzył następne piwo, znalazł na suszarce wysoką szklankę i nalał do pełna. Susan patrzyła na to obojętnie.

– Proszę – powiedział, podając jej szklankę. – Uczcijmy to jakoś – dodał, czując, że nie znajduje właściwych słów.

– Och nie, dziękuję. To zbyt wczesna pora, poza tym muszę się jeszcze zająć tymi zakichanymi papierami. – Wyszła błyskawicznie, a gdy poszedł za nią, ujrzał, że znów siedzi z piórem w ręku. Pisała coś i marszczyła brwi.

– To chyba wszystko już ustaliliśmy – powiedział i sam się sobie zdziwił. Nie do wiary, ale w gruncie rzeczy przystał na jej propozycję.

– Dzięki Bogu – rzuciła Susan, odrywając się na chwilę od pisania. – Naprawdę cię potrzebuję, Bruce. – I wróciła do pracy.

On zaś stał w chłodnym salonie, sącząc piwo.

Rozdział 4

Gdy wrócił z ładunkiem wosku do Reno, podjechał prosto pod budynek Consumers' Buying Bureau i odszukał swojego szefa, Eda von Scharfa. Znalazł go w magazynie na tyłach. Siedział na kartonie z lodem na patyku Popsicle w dłoni i listą inwentaryzacyjną rozłożoną na podłodze. Chociaż był pod krawatem, w kamizelce, czarnych Oksfordach i spodniach w jodełkę, energicznie przekopywał się przez pudła z elektrycznymi mikserami. Czarne włosy przyprószył mu brunatny pył z tektury, który tylko dodawał mu dostojności.

– Wstąpiłem po drodze do Montario i okazało się, że jestem tam potrzebny. Muszę wracać. Jeśli nie dostanę bezterminowego urlopu, to będę chyba musiał zrezygnować z pracy – oznajmił Bruce. Po drodze dokładnie sobie obmyślił, co powiedzieć. – Mój tata jest chory – dodał, wiedząc, że taki powód budzi najmniej zastrzeżeń pracodawców. – Nie wiem, jak długo przyjdzie mi tam siedzieć.

Po półtoragodzinnej dyskusji poszli na górę porozmawiać z dwoma braćmi Pareti, właścicielami CBB. W końcu Pareti wypisali mu czek na dwutygodniowe pobory, uściśli dłoń i powiedzieli, że może ruszać. Zapewnili też, że gdyby chciał wrócić, praca będzie na niego czekała.

Szef odprowadził go do samochodu. Był wyraźnie przygnębiony.

– Cholernie mnie zaskoczyłeś – powiedział, gdy Bruce wyhaczał przyczepę z woskiem. – Ale będziemy w kontakcie? – Klepnął Bruce'a w plecy, życząc szczęścia tak jemu, jak i rodzinie, po czym wrócił do budynku.

Bruce odjechał, czując, jak narasta w nim poczucie winy. Niemniej zapewnił sobie możliwość powrotu, gdyby coś się nie ułożyło. Zwykły pragmatyzm.

Wrócił do mieszkania i przekazał nowinę gospodyni. Potem poszedł na górę, wyjął walizkę i wziął się do pakowania. O zachodzie słońca zniósł wszystko do mercury'ego i upakował tam, gdzie jeszcze kilka godzin wcześniej spoczywały pudła z woskiem. Oddał pani O'Neill klucze do mieszkania. Życzyła mu powodzenia, a nawet wstała od obiadu, żeby odprowadzić go do drzwi.

O ósmej trzydzieści wyruszył z powrotem do Idaho.

Następnego ranka dotarł do przedmieść Boise. Nieludzko zmęczony znalazł motel i wynajął pokój. Nie rozładowywał nawet samochodu, rozebrał się tylko i padł na łóżko. Przespał prawie cały dzień. O piątej trzydzieści wstał, wziął prysznic, ogolił się, nałożył czyste rzeczy i pojechał do R & J Mimeographing Service.

Parkował właśnie wóz, gdy Susan wyjrzała z drzwi biura, pomachała mu i zniknęła

w środku. Zatrzymał wóz, wysiadł i poszedł do siedziby firmy.

Zoe de Lima przywitała go chłodnym skinieniem głowy i zaraz odwróciła się doń plecami. Powiedział jej cześć, ale nie usłyszał odpowiedzi, tylko zawzięte stukanie w klawisze maszyny.

Ona już wie, pomyślał.

Susan wyszła z pomieszczenia na zaplecze. Była już w płaszczu, w rękę trzymała torebkę.

– Chodźmy – powiedziała. Ruszyli chodnikiem do samochodu.

– Powiedziałam jej – oznajmiła Susan. – Cały dzień na siebie wrzeszczałyśmy. A ty? – Zerknęła na tylne siedzenie, gdzie pełno było jego ubrań, walizek i kartonów z rzeczami osobistymi. – Czyli ty też powiedziałaś.

– Rzuciłem pracę. I zwolniłem mieszkanie.

– Chodźmy coś zjeść – zaproponowała. – Umieram z głodu.

– Możesz ją tak zostawić?

– Dlaczego nie? A, rozumiem. Ale ona wciąż jest moją współpracowniczką. Ma klucze. Nie mogę jej zmusić, żeby sobie poszła. Załatwienie wszystkich formalności potrwa z tydzień. Ale tak czy owak, nie sądzę, by próbowała się mścić. Poczula się dotknięta i jest na mnie wściekła, ale to odpowiedzialna osoba. Znam ją od lat. Mamy nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółkami.

– Cóż, ty ją znasz lepiej.

Wsiedli do samochodu, lecz nie ruszyli. Późnopołudniowe słońce grzało nie do zniesienia. Susan wierciła się na siedzeniu, jakby nie było jej zbyt wygodnie.

– Wrócę i powiem jej, że na dzisiaj może już zamknąć – powiedziała w końcu. Wysiadła i odeszła pospiesznie chodnikiem.

Czas włókł się niemiłosiernie. Bruce włączył radio i wysłuchał wiadomości. Wreszcie ujrzał, jak pani de Lima wychodzi z biura i oddala się żwawo w przeciwnym kierunku. Susan zamknęła drzwi biura i wróciła uśmiechnięta.

– Załatwione – powiedziała, siadając obok.

– Gdzie zjemy? – spytał Bruce, zapalając silnik.

– Muszę jechać do domu. Pani Poppinjay musi wyjść dokładnie o szóstej czterdzieści pięć i wyjdzie, choćby łało. Chcę zjeść obiad z Taffy. Potrzebuję tego, podobnie jak ona. Pani Poppinjay zwykle zaczyna coś przygotowywać, a ja kończę, gdy wracam. Potem podaję i jemy razem z Taffy. To się całkiem nieźle sprawdza. A ty już jadłeś? Sama nie wiem, dlaczego wcześniej nie spytałam... Jakoś tak założyłam, że zjesz z nami.

– W porządku – odparł.

Gdy dojechali, Susan przedstawiła go pani Poppinjay, siwowłosej, pulchnej i niewysokiej starszej opiekunce, która paliła się już do wyjścia i powrotu do rodziny. Taffy była u siebie; siedząc plecami do ekranu, słuchała dziecięcego programu w telewizji i rysowała coś kredkami świecowymi. Ledwie raczyła zauważyć Bruce'a, gdy Susan wprowadziła go do pokoju,

przedstawiła i powiedziała, że będzie pracować w jej firmie.

– Miła dziewczynka – stwierdził Bruce, chociaż zdołał dostrzec tylko tyle, że to faktycznie dziewczynka i że ma jasne włosy. Prawie blond. – Do kogo jest bardziej podobna? Do ciebie czy do Walta?

– Ona nie jest dzieckiem Walta. Boże broń – odparła ze śmiechem Susan. – Bo wiesz, byłam dwukrotnie zamężna.

– Aha.

– Taffy urodziła się podczas wojny koreańskiej, a Walta poznałam dopiero pod koniec tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku. Pamiętam, że miał wtedy całkiem nowego chevroleta V8, rocznik pięćdziesiąt pięć, i ciągle mi powtarzał, że to pierwszy taki chevy, jaki zjechał z taśmy, i że ma coś nie tak z pierścieniami. Zużywał za dużo oleju.

– Tak – potwierdził Bruce. – Tak było.

– Walt też dużo jeździ, jak ty. Najczęściej do Salt Lake City, na wybrzeże albo do Los Angeles. Dziwnie się złożyło, prawda? Obaj ciągle jesteście w rozjazdach. On jest przedstawicielem fabryki. Bierze udział w konferencjach, spotkaniach handlowych... – Powiesiła płaszcz i włożyła fartuch.

– W jego branży są naprawdę wielkie pieniądze – zauważył Bruce.

– Tak. I tylko pomyśl, ile ja z tego mam...

Po obiedzie usiedli, żeby zapalić i nieco odsapnąć. Taffy gdzieś poszła, zapewne wróciła do swojego pokoju. Robiła wrażenie spokojnego i zaradnego dziecka, które dobrze się czuje we własnym towarzystwie. W domu było ciepło i miło, pachniało pieczenia wołową.

– Odpowiada ci moja kuchnia? Może być? – spytała Susan.

– Świetna – odparł Bruce. Jadł z wielką przyjemnością, bo to było coś całkiem odmiennego od dań podawanych w przydrożnych barach, w których stołował się przez ostatnie dwa lata. Wreszcie bez tego wszechobecnego oleju, żadnych rozgotowanych, wodnistych warzyw bez smaku...

– Nie mogę się doczekać – oznajmiła Susan.

– Ja też.

– Wiem, że nam się uda. No i rozmówiłam się wreszcie z Zoe; bardzo mi to ciążyło, ale już po wszystkim. Jak tylko wczoraj pojechałeś, zaczęłam się w duchu przygotowywać do tej rozmowy. A rano, gdy otworzyłyśmy, powiedziałam: Zoe, muszę z tobą pomówić. I powiedziałam jej.

– Dobrze – mruknął Bruce. Czuł się trochę senny.

– Nie postąpiłam okrutnie?

– Nie. W interesach to normalne.

– Teraz trochę się boję.

To go ruszyło.

– Klamka zapadła. Jestem tutaj, rzuciłem pracę, zostawiłem mieszkanie.

Pokiwała głową.

– I będzie wspaniale. Jutro pojedziemy do biura i zacznę cię wprowadzać. Zresztą możemy pojechać tam jeszcze dziś wieczorem. Chociaż nie, nie teraz. – Nagle przyszło jej coś do głowy.

– Chyba powinniśmy poczekać, aż Zoe odejdzie z firmy. Lepiej byłoby się na nią nie natknąć. Poczekamy. Jak bardzo potrzebujesz pieniędzy?

– Zależy, co masz na myśli. Dostałem czek z dwutygodniową odprawą i mam trochę gotówki. – Nie wiedział, ku czemu Susan zmierza.

– Gdzie się zatrzymałeś? – spytała po dłuższej chwili namysłu.

– W motelu Jack Rabbit Inn.

– Ile cię to kosztuje?

– Sześć dolców za dobę.

Skrzywiła się.

– Czyli czterdzieści dwa na tydzień.

– Rozejrzę się za jakimś pokojem. Nie zamierzam mieszkać tam dłużej niż tydzień. Już bym coś znalazł, ale pojechałem prosto do biura.

– Wolalabym, żebyś zaczął pracę od razu – powiedziała Susan, bawiąc się nerwowo papierosem. – Nie chcę czekać. Co o tym sądzisz? Nie przeszkadzałoby ci, gdyby Zoe nadal się tam kręciła?

– Nic a nic. – Nie widział, w czym miałyby mu przeszkadzać: przecież wcale jej nie znał. Jej niechęć nie mogła niczego popsuć.

– Chciałabym zacząć ci płacić, ale nie mogę, dopóki nie załatwię wszystkich formalności wykluczających ją oficjalnie z interesu. To znaczy póki nie dostanie ode mnie pieniędzy, swojego udziału. Czyli zapłacę ci nie wcześniej niż za tydzień.

– Dobra – powiedział, chociaż w duchu aż się zatrząsł. Pozostawało mieć nadzieję, że jakoś sobie poradzi.

– To stawia cię w niekorzystnym położeniu. Rozumiem to. Przepraszam, Bruce, że nie pomyślałam o tym wcześniej. Przyszło mi to do głowy, dopiero gdy pojechałeś z powrotem do Reno.

Oboje zamilkli.

– Słuchaj, a może zamieszkałbyś u mnie? – zaproponowała nagle.

Oszłołomiło go to, jakby oberwał w ciemność.

– Bez obaw – powiedziała Susan, klepiąc go energicznie po dłoni. – Możesz tu spać i jeść. Mam dwie wolne sypialnie i mnóstwo miejsca w szafach. Dlaczego nie?

– Jeśli nikomu nie będzie to przeszkadzało – wydukał w końcu, dochodząc do siebie.

– Masz na myśli sąsiadów? Nie sądzę, żeby w ogóle cokolwiek zauważyli. Mam nadzieję, że nie zauważą. Zresztą mamy masę spraw do omówienia. Chcę, żebyś zaczął pracę od zaraz. Wieczorami, po obiedzie, będziemy jeździć do biura. Zaraz jak położę Taffy spać. Dorobię dla ciebie klucze. Poza tym zbliża się weekend. – Odłożyła papierosa i zerwała się na równe nogi. – Chodź, przeniesiemy twoje rzeczy z samochodu. Masz wszystko, co trzeba?

– Tak. – Nie zostawił niczego w motelu. – Jesteś pewna, że tego chcesz? – Nie mógł się pozbyć wrażenia, że wszystko dzieje się cokolwiek za szybko.

– Jasne – stwierdziła, otwierając frontowe drzwi. – To całkiem naturalne rozwiązanie i aż dziwne, że wcześniej na to nie wpadliśmy. Chyba że widzisz w tym coś nieprzyzwoitego – dorzuciła przez ramię.

– Nieprzyzwoitego? Niby dlaczego?

– Mógłbyś się poczuć zakłopotany. Ale chyba nie jesteś taki nadwrażliwy. I tak przez cały czas będziemy razem. To mała firma, tylko na dwoje pracowników. Przywykłeś do większych, prawda? W takich małych firmach jest prawie jak w rodzinie.

Pracował kiedyś w sklepiku, gdzie był tylko jeden sprzedawca i on jako magazynier, wiedział więc, jak to jest.

– Dla mnie to żaden problem – powiedział.

– Mam nadzieję. Bo dla mnie wręcz przeciwnie. Zdarza mi się huśtawka nastrojów. Czasem bywam przygnębiona. Wczoraj, akurat gdy przyjechałeś, miałam jeden z moich ciągów depresyjnych. Wyrwałeś mnie z niego. – Spontanicznym gestem złapała go za rękaw i pociągnęła w kierunku samochodu. – Dobrze na mnie działasz – rzuciła przez ramię.

Nim minęła godzina, wprowadził się do pokoju z wysokim sufitem. Walizki i pudła spiętrzył pod ścianą, ubrania powiesił w szafie. Przybory do golenia ułożył w łazience w szafce na lekarstwa razem z dezodorantem, szczotką do włosów, szczoteczką do zębów i całą resztą buteleczek, tubek i słoiczków.

Taffy zdążyła zasnąć. Teraz, gdy telewizor już nie grał i Bruce został sam na sam z Susan, dom się odmienił. Zapanowała w nim intymniejsza, prawie rodzinna atmosfera. Bruce nigdy jeszcze nie czuł się tak odprężony.

Usiedli w salonie i Susan zaczęła wspominać czasy, gdy pracowała w szkole. Widać mocno utkwily jej w pamięci.

– Jeszcze uczyłam, gdy poznałam Pete'a. Ojca Taffy. To było w czterdziestym dziewiątym. Chciał, bym rzuciła pracę, i zrobiłam to, gdy pojawiła się Taffy. Potem przeprowadziliśmy się do Boise. – Z szuflady biurka wyciągnęła olbrzymi album. Usiadła obok Bruce'a i odwracała strony, pokazując zdjęcia i wycinki z nie tak odległej przeszłości. – A to moja szósta klasa ze szkoły Garreta A. Hobarta w czterdziestym ósmym – powiedziała, wskazując na fotografię.

W końcu doszli do zdjęcia jego piątej klasy, zrobionego w 1945 roku na rozdaniu świadectw. Bez trudu odszukał w drugim rzędzie własną, okrągłą twarz. Stał wśród innych takich jak on: zaciętych małych chłopców o ciężkim spojrzeniu. Gubił się między kolegami i bez wątpienia nikt nie skojarzyłby go z obecnym Bruce'em. Co prawda, gdyby nie pamiętał tego zdjęcia, też by siebie na nim nie poznał. Przyjrzał się teraz fotografii z Susan. Też tam stała i łatwo było ją spostrzec. Z boku, oficjalnie sztywna, lekko uśmiechnięta, z przymrużonymi w słońcu oczami. Nosila ten kostium z wielkimi guzikami... Dziwnie znów zobaczyć tę scenę, pomyślał. Też miał kiedyś odbitkę, ale nie oglądał jej, odkąd matka zabrała mu ją przed laty.

Panna Reuben na tym zdjęciu z 1945 roku wyglądała całkiem inaczej, niż ją zapamiętał. Teraz ujrzał jedynie piękną, ładnie zbudowaną młodą kobietę w gustownym stroju. Może była trochę za chuda i nieco spięta, co było widać po delikatnych zmarszczkach wokół ust i oczu. Zawsze była nerwowa i ani na chwilę nie potrafiła zapomnieć, jaka to odpowiedzialność być wychowawczynią. Chyba aż za wiele o tym myślała, za bardzo się przejmowała. Pamiętał, jak pewnego dnia, podczas przerwy, jeden z chłopców pokaleczył się paskudnie szkłem ze stłuczonej butelki. Panna Reuben pobiegła po pielęgniarkę i chociaż zaraz ją sprowadziła i skłoniła resztę dzieci, by zajęły się swoimi sprawami, musiała odejść na chwilę i nawet oni, piątoklasiści, poznali, że znalazła się na skraju hysterii. Stała plecami do wszystkich i wycierała chusteczką nos i oczy. Wtedy, rzecz jasna, wszyscy z tego chichotali. Nie potrafili pohamować wesołości.

Pod szeregami uczniów dostrzegł na dole zdjęcia wypisane mikroskopijnym drukiem nazwiska i imiona. On też tam był, oczywiście: Bruce Stevens. Jednak Susan tego nie zauważyła, zresztą straciła zainteresowanie albumem i zaczęła już opowiadać o czym innym.

– Nie powinnam była rzucać uczenia – powiedziała. – Ale to nie dla mnie. Wracalam do domu cała roztrzęsiona. Tyle hałasu, zamieszania. Przyprawiało mnie to o ból głowy. Dzieci biegające we wszystkich kierunkach. Pete mawiał, że nie mam dobrego podejścia do dzieci. I że jestem zbyt neurotyczna. Może miał rację. To był jeden z powodów, dla których się rozeszliśmy. Nie mogliśmy się zgodzić, jak wychowywać Taffy.

– Co on teraz robi? – spytał Bruce, odwracając stronę, by usunąć jej sprzed oczu swoje nazwisko.

– Mieszka w Chicago. Nie mam pojęcia, co teraz robi. Gdy spotkałam, studiował na politechnice. Miałam wtedy dwadzieścia sześć lat. On dwadzieścia pięć.

– W jakim wieku podjęłaś pracę nauczycielki?

– Niech policzę. Zaczęłam w Tampie na Florydzie. W czterdziestym trzecim. Dobrze pamiętam, bo gdy dostałam pierwszą własną klasę, toczyła się właśnie bitwa o Stalingrad. Miałam dziewiętnaście lat.

– A kiedy przyszedł do Hobarta?

– To było w czterdziestym piątym, czyli miałam dwadzieścia jeden lat.

Był więc od niej dokładnie o dziesięć lat młodszy. Miała teraz trzydzieści cztery. Mniej więcej tyle, ile oczekiwał.

– Nigdy potem nie widziałam nikogo z moich byłych uczniów. Gdzieś poznikali. Trzydzieści lat temu... muszą już być prawie dorośli. Boże, jasne, że tak, wtedy mieli z jedenaście lat, więc teraz dochodzą do dwudziestu czterech. Pożenili się pewnie, niektórzy mają dzieci – mówiła zamyślona. – Dzieci, które niedługo same pójdą do szkoły. Niby to normalne, ale gdy o tym pomyśleć, skłania do zastanowienia.

– Kiedy się dorasta, to naprawdę sporo czasu – zauważył Bruce.

– Dla nich to był ważny okres. Ale jak spojrzę wstecz, w moim życiu nie zmieniło się wiele. Tyle że wtedy miałam dwadzieścia jeden lat, a teraz trzydzieści cztery. Chociaż nie powinnam tak mówić. Mam przecież Taffy, dwa razy wyszłam za mąż i dwa razy się rozwiodłam! Więc to nie tak, że nic się nie działo. Tylko ja czuję się ciągle tak samo. Mam wrażenie, że niewiele się zmieniłam. Chociaż wyglądam pewnie inaczej. – Przewróciła znów na poprzednią stronę, by przyjrzeć się sobie na zdjęciu z 1945 roku.

– Chyba nie aż tak bardzo – stwierdził Bruce zgodnie z prawdą.

– Dziękuję. To bardzo miły komplement.

– Naprawdę tak uważam.

Zamknęła album.

– Brakuje mi pewności siebie – powiedziała. – Nie teraz, tak ogólnie, w ostatnich latach. Gdy dwa twoje małżeństwa rozpadną się po kolei... zaczynasz się zastanawiać, czy to nie przez ciebie. I ja wiem, że to moja wina. Pete powtarzał, że ciągle się czymś zamartwiam i denerwuję. Walt tak tego nie ujmował, ale mógłby. Mówił, że każdą sytuację traktuję jak kryzysową. Że w ogóle mam osobowość kryzysową. Że z byle powodu wpadam w panikę, jakby niebo waliło mi się na głowę. Jak Henny Penny... pamiętasz?

– Tak.

– A obaj uważali, że to się udziela Taffy. – Obróciła się ku niemu. – Dlatego właśnie potrzebuję obok kogoś pogodnego, kto lekko podchodzi do życia i potrafi sobie radzić – dodała z naciskiem. – Kogoś takiego jak ty.

– Nie sądzę, by to wszystko musiało się udzielić Taffy – stwierdził, przypominając sobie, jak terroryzowała go przez cały rok. Chociaż pozostało po tym niezatarte wspomnienie, to jednak przetrwał, otrząsnął się z najgorszego i wyrósł na kogoś ogólnie optymistycznie nastawionego do życia. Czy to nie dowód, że w gruncie rzeczy była nieszkodliwa? A może po prostu miałem szczęście, pomyślał, albo i naprawdę zniszczyła coś we mnie, ale w głębi. Tak głęboko, że o tym nie wiem. Nie potrafię tego dostrzec.

O jedenastej trzydzieści Susan powiedziała mu dobranoc i poszła do łazienki, żeby się wykapać przed snem.

Bruce został sam w salonie. Siedział i oglądał jakiś stary film w telewizji.

Znów mieszkam w Montario, pomyślał. Chociaż niezupełnie w Montario. W gruncie rzeczy teraz to Boise. Ale dla niego nazwa nie miała znaczenia: to wciąż był ten sam zakątek, w którym się wychował.

Wcale się jednak tym nie peszył. Tyle się zmieniło. Absolutnie nic nie przypominało mu dawnych dni, uczniowskich czasów, gdy jako gazeciarz ciskał ciasno zwiniętymi rulonami na ganki... albo i wcześniejszych lat wypełnianych grą w kulki po szkole, oglądaniem *Howdy Doodys* na dziesięciocalowym ekranie telewizora stojącego w rodzinnym salonie, gdzie jego starszy brat Frank wciąż kapał wodą ze stawu, przygotowując preparaty mikroskopowe.

To skierowało jego myśli w stronę Franka.

Jego starszy brat pracował teraz w dziale badawczym zakładów chemicznych w Cincinnati. Był naukowcem. Skończył Wayne University w Detroit. Firma produkująca mydło zafundowała mu stypendium. Ożenił się, miał trzyletnie dziecko. Ile lat mu stuknęło? Chyba dwadzieścia sześć. No i miał też dom i samochód. Chociaż pewnie je jeszcze spłacał. Ale tak czy owak, odniósł sukces. Pracował w zawodzie, który sam wybrał i bardzo lubił. Był zdolny, bystry i wykształcony. Pewnego dnia zacznie publikować w czasopiśmie naukowych. Czekala go wielka przyszłość, chociaż już teraz był kimś. W szkole go lubiano. Bruce pamiętał, jak brat kroczył w swoich tenisowych butach ze stosownymi skarpetkami, z natłuszczonymi i zaczesanymi to tyłu włosami, ze skórą lśniącą i gładką, całkiem bez skazy. Co rusz do kogoś machał. Na każdej szkolnej potańcówce robił furorę, wciąż wybierano go do tego czy tamtego. Chodził z Ludmillą Meadowland, blondynką, którą w 1948 roku najstarsza klasa wybrała na Miss Montario. Podczas parady, dziesiątego czerwca, Ludmilla przejechała Hill Street na platformie pełnej ziemniaków z transparentem zagrzewającym ogólniak z Montario do zwycięstwa. Dyrektor szkoły uściskał potem dłoń i jej, i Frankowi, a zdjęcie całej trójki ukazało się w miejscowej „Gazette”, którą Bruce składał i rzucał prenumeratorom pełne dwa lata.

Przez całe życie słyszał nieustannie, że jego brat Frank jest od niego zdolniejszy.

I rzeczywiście, pomyślał. Święta prawda. Starczy popatrzeć, gdzie zaszedł Frank, a gdzie ja jestem.

Jednak z tego powodu nie brakło mu pewności siebie. Lubię, co robię, pomyślał. Sporo mi to daje... I jakoś się odnajduję. Jest coś satysfakcjonującego w takim życiu. Jakiś ład, spójność. Teraz, gdy ktoś z zamierzchłych czasów sprawił, że tamten dziwny świat powrócił, Bruce poczuł, ile zyskał przez te lata. Na pewno ich nie zmarnował. Wtedy był z oczywistych przyczyn całkiem bezradny, nie potrafił sobie nijak pomóc. Robił to samo co inni. Po szkole wszyscy grali w kulki, więc też w nie grał. W sobotnie popołudnia chodzili na seanse dla dzieci do kina Luxor

Theater, przyłączał się zatem, cokolwiek grali. Jego życie było szare i monotonne. Puste. Czuł się coraz bardziej znużony, wręcz zrozpaczony. Po co tak żyć? Co z tego miał? Nic.

Przez całe pierwsze piętnaście lat życia raz tylko zdarzyło mu się coś odmiennego i ciekawszego, a i to przypadkiem. „Gazette” dołączała do każdego egzemplarza kupon uprawniający do otrzymania płyt gramofonowych z arcydziełami muzyki symfonicznej. Kupony te pojawiały się codziennie. Ponieważ był gazeciarem, zgromadził tych kuponów dość, by wysłać je do Illinois, a po jakimś miesiącu otrzymał pocztą płaską paczkę owiniętą w brązowy papier i oklejona taśmą. Otworzył ją i znalazł trzy dwunastocalowe płyty w kartonowym opakowaniu. Niebieskie naklejki głosiły jedynie „Największe symfonie świata”. Brakło informacji o orkiestrach czy dyrygentach. Ten akurat zestaw płyt, opakowanych tylko w papierowe koszulki, nawet bez normalnych okładek, okazał się nagraniem jednej z symfonii Haydna, dziewięćdziesiątej dziewiątej. Posłuchał jej na małym gramofonie, który dostał z początkiem liceum na Gwiazdkę. Do tamtej pory jego gust muzyczny kształtował Spike Jones, którego później też lubił, ale ta symfonia zrobiła na nim wielkie wrażenie. Odcisnęła swoje piętno, i to bardzo wyraźnie. Odtwarzał te trzy płyty, aż całkiem się zdarły i szum zagłuszył wszystkie dźwięki.

Jego gwałtowne zainteresowanie muzyką dowiodło, że gdyby miał wybór, zmieniłby swoje życie, przeniósłby się do innego miasta, pośród innych ludzi. Dowiodło, że nie był szczęśliwy, o czym zresztą wiedział. Włókł się przez życie, krążąc głównie pomiędzy domem a szkołą. Całkiem inaczej niż Frank, który wybiegał codziennie w najlepszym swetrze, pierwszorzędnym portkach, z włosami potraktowanymi drogą pomadą.

Mając piętnaście lat, kładł się w swoim ciemnym pokoju i słuchał muzyki z gramofonu. Ostrzył kaktusowe igły na małej maszynie, którą kupił za półtora dolara. Obracał igłę, przeciągając nią po krążku z papieru ściernego. Zgromadził całe pudełeczko tych igieł, żeby móc je wymienić, choćby w połowie płyty, gdy ta tkwiąca w ramieniu gramofonu za bardzo się stępi. Pudełko było po opatrunkach marki Band-Aid.

Mógłby całe życie spędzić w tym pokoju, gdyby ktoś podawał mu pokarm przez dziurkę od klucza. No, może nie tyle podawał, ile przelewał rurką przepchniętą przez tę dziurkę, jak sobie kiedyś pomyślał. Coś chyba musiało być z nim nie tak, bo poza tym pokojem dopadała go udręka. Ale przecież tak nie mógł żyć. W końcu któregoś dnia postanowił rozejrzeć się trochę wkoło, sprawdzić, jak sobie poradzi, i tak zaniósł go do Reno, do CBB. A teraz w ten sam sposób zbłądził na dawne śmieci. Zaciekawiony pomysłami losu nie potrafił odrzucić szansy na coś obiecującego, na całkiem nowe doświadczenia.

Gdy stary film dobiegł końca, Bruce wyłączył telewizor, sprawdził, czy frontowe drzwi są dobrze zamknięte, zgodnie z drobiazgowymi instrukcjami Susan zgasił światło w salonie i zerknął na drzwi łazienki, czy gospodyni już z niej wyszła. W łazience było ciemno, czyli

droga wolna. Zajrzał do swojego pokoju, wziął ręcznik z walizki i przeszedł korytarzem do łazienki. Zaraz wziął się do mycia i szorowania, żeby móc się wreszcie położyć.

W łóżku wiercił się niespokojnie, nie mógł zasnąć. Bezsenna noc dokuczała mu już w dzieciństwie, a teraz wróciła, zapewne przez to, że znów znalazł się w Boise. No i w związku z wszystkim, co przypominał sobie w ostatnich dniach. Przeszłość też wróciła.

Co mógłby wziąć? Gdzieś miał buteleczkę pastylek antyhistaminowych na wypadek uczulenia czy przeziębienia, na niego jednak działały trochę inaczej: sprowadzały spokojny sen. Po to tylko je trzymał. Powinny leżeć w schowku na rękawiczki w mercurym. Przewracał się z boku na bok jeszcze godzinę, ciągle zupełnie przytomny. W końcu jednak wstał, narzucił niebieski wełniany szlafrok, wsunął stopy w skórzane kapcie i ruszył przez ciemny dom ku drzwiom wyjściowym.

Udało mu się dotrzeć do samochodu, ale nie znalazł buteleczki w schowku. Z pustymi rękami wrócił mroczną ścieżką na nie oświetlony ganek. Skierował się do salonu. Może upchnąłem je w walizce i zsunęły się na samo dno, między buty, pomyślał i postanowił wrócić do siebie. Dokładnie do punktu wyjścia.

Zanim jednak zdążył otworzyć drzwi, ze swojej sypialni wyjrzała Susan, by sprawdzić, kto się kręci po korytarzu.

– A, myślałam, że to może Taffy – powiedziała.

– Zostawiłem coś w samochodzie. – Otworzył drzwi swego pokoju.

– Nie chciałabym, żebyś się denerwował – dobiegło go z tyłu.

– Denerwował? Czym?

– Czymkolwiek. Wyglądasz, jakby coś cię niepokoiło.

– Nie mogę tylko zasnąć. Za dużo nowego. – Wszedł do pokoju i spojrzał na zegarek.

Susan weszła za nim. Miała na sobie długą różową podomkę z wąskim plecionym paskiem. Bujne, rozpuszczone włosy spływały jej prawie nieważko na ramiona. Wydawały się o wiele dłuższe niż wcześniej.

– Mam trochę luminalu – powiedziała.

– Nadałby się – odparł z wdzięcznością Bruce. Zniknęła gdzieś w głębi domu i po chwili wróciła z żółtym plastikowym kubkiem i małą podłużną tabletką na wyciągniętej dłoni.

– Dzięki – powiedział, gdy skulała ją na jego dłoń. Podała mu kubek. Połknął tabletkę, chociaż patrzyła, a zawsze go peszyło, gdy ktoś się przyglądał, jak bierze lekarstwa.

Nagle przycisnęła mu dłoń do czoła. Gdyby kopnęła go w siedzenie, nie zaskoczyłaby go bardziej.

– Przegrzałeś się od słońca – powiedziała. – Pewnie podczas jazdy. Mogłeś dostać lekkiego udaru słonecznego. Chyba masz gorączkę.

– Nie – wymamrotał.

Podeszła do okna, odsunęła zasłony i firanki, żeby sprawdzić, czy jest zamknięte.

– Słyszałam, jak się rzucałeś. Czy to dlatego, że jesteś w cudzym, nieznanym ci domu? Wiesz, pomyślałam, że może powiem Zoe wprost, że chcę, abyś zaczął przychodzić do pracy. Jutro pojedziesz do biura, dobrze? Razem ze mną, o dziewiątej. Więc wracaj teraz do łóżka i śpij, żebyś rano był wypoczęty. Chciałabym ci pokazać faktury za ostatnie sześć miesięcy, żebyś wiedział, co zamówiliśmy.

Wszystkie noce, które spędził z Peg, upłynęły pod upiornym znakiem metalowych lokówek. Peg upierała się, że musi je zakładać. Nawijała włosy tak ciasno, że lokówki przylegały mocno do czaszki. Widok Susan z puszystymi, rozpuszczonymi włosami naprawdę go zdumiewał. Jak niewiele wiedział o nocnych postaciach kobiet! Jego matka chodziła po domu z włosami schowanymi pod siatką przypominającą dawne murzyńskie fryzury. Więcej przykładów nie miał okazji zaobserwować.

Pod długą podomką dostrzegł jej bosc nogi.

– Zawsze wstaję przytomny – powiedział.

– To świetnie. Dobranoc, Bruce. – Zamiotła połam i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Luminal zaczynał działać. Nieco już otumaniony Bruce zdjął szlafrok i kapcie i ułożył się w pościeli. Z wolna odpływał.

Nagle ujrzał, że Susan znów jest w pokoju. Podchodziła coraz bliżej i gdy znalazła się przy łóżku, pochyliła się nad Bruce'em. Jej włosy zamiotły mu twarz, aż go w nosie zawierciło. Na obojczyku poczuł pikowany kołnierz jej podomki.

– Mogę dołączyć? – spytała i już po chwili wsunęła się obok niego, zrobiła sobie miejsce i otuliła się podomką.

Westchnęła i poprawiła się jeszcze, aż ułożyła się całkiem wygodnie. Okryła się kocem i obróciła twarzą do niego. Nagle usiadła, odrzuciła nakrycie i zaczęła rozpinąć podomkę. Zsunęła ją z ramion, a potem wyciągnęła spod siebie i rzuciła na podłogę. W ciemności wyraźnie słyszał jej oddech. Łóżko zakołysało się, gdy znów ułożyła się obok, tym razem już tylko w koszuli nocnej. Nie widział jej, ale wyczuwał tkaninę na szyi.

Leżała i czekała. Jednak chyba nie starczyło jej cierpliwości, bo niebawem zerwała się, oparła kościstymi łokciami na jego klatce piersiowej i spojrzała na niego prowokująco. Zupełnie jakby patrząc w ten sposób, wprost, intensywnie, zdolna była rozjaśnić pokój. Sprawić, żeby on też ją wyraźnie zobaczył. Tak w każdym razie pomyślał i nagle poczuł się tak, jakby rzeczywiście narastała w nim świetlistość. Cały się rozjarzał, od stóp do głów, gdy jej badawcze spojrzenie wędrowało po jego postaci. Blask narastał. Stał się tak intensywny, że aż bolesny. Wyciągnął dłoń, by odsunąć jej łokieć.

– Cześć – powiedziała.

- Widzę, że troski cię odeszły.
- Dzięki tobie. Chronisz mnie przed nimi.
- I cóż miałbym teraz zrobić?

– Co tylko chcesz – stwierdziła głosem, w którym wyraźnie wyczuł fatalistyczne posłuszeństwo, ton całkiem dla niego nowy. Powiedziała to cicho, prawie jakby szeptem śpiewała. Nagle otworzyła szerzej oczy i spojrzała na niego jeszcze inaczej – z ekscytacją. Zwiniętą w pięść dłoń przycisnęła do ust, jakby chciała stłumić wybuch śmiechu. – To nie do wiary – powiedziała i cała drżąca zsunęła się z niego i z łóżka. Stała tyłem do Bruce’a. Milcząca, z opuszczoną głową, jedną dłonią objęła gardło, drugą rozczesywała nerwowo włosy.

Wygrzebał się w piżamie z koców i stanął przed nią. Położył dłonie na jej ramionach. Gdy zwarł palce, poczuł, jak drobne i kruche ma kości, niczym u ptaka. Wydała mu się jakby mniejsza. Biernie opuściła ręce i stała tak, milcząc, prawie nieobecna. Zacisnął silniej dłonie i jej zmarszczki się rozpląnęły, twarz złagodniała. Po chwili zniknął wszelki ślad trosk. Stała się jednym wielkim oceanem spokoju.

Wziął ją za rękę i poprowadził z powrotem do łóżka. Posłusznie, bez słowa podążyła za nim i ułożyła się, czekając, aż rozepnie piżamę.

- Zimno? – spytał.
- Nie, nie bardzo – odparła rzeczowo. – Tylko trochę boli mnie głowa.

Położywszy się, poczuł, jak jej dłonie przesuwiają się tuż obok i naciągają na nich koce. Zaraz potem go objęła.

- Mam nadzieję, że Taffy się nie obudzi – powiedziała, sztywniejąc.
- Nie zamartwiaj się.

– Ale gdyby zaczęła mnie szukać i weszła tutaj... Och, do diabła z tym – stwierdziła nagle stanowczo i przytuliła się do niego.

Miała wąskie biodra i miękki brzuch. Pachniała cudownie solami kąpielowymi. Jej ciało było gładkie, bez śladu fałdek tłuszczu. Wyraźnie dbała o siebie, jak sportowiec lub tancerka. Takiego kogoś właśnie było mu trzeba.

Rozdział 5

Potem wyszli na tyły domu. Opatuleni w szlafroki przysiedli w nocnym powietrzu. Wiatr kołysał gałęziami i krzewami w ogrodzie. Słysząc było, jak porusza koronami niewidocznych teraz, wielkich drzew na sąsiedniej posesji.

Wszystko to wydawało im się przewspaniałe.

Żadne nic nie mówiło. Susan nałożyła wełniane skarpety, takie narciarskie, sięgające za połowę łydki. Bruce wyciągnął parę skarpetek w szkocką kratę, ale i tak trząś się z zimna. Nie mógł opanować dreszczy, w końcu uznał, że to pewnie ze zmęczenia. Czuł się krańcowo wyczerpany, ale nie chciał jeszcze wracać do domu. Rozkoszował się wiatrem i szumem odległych drzew.

– Ale tu strasznie – szepnęła Susan.

– Wcale nie – powiedział.

W powietrzu unosiła się woń kwiatów. W pewnej chwili przeleciała obok nich ćma. Uderzyła w siatkowe drzwi i zniknęła gdzieś, zapewne w domu. Drzwi zostawili szeroko otwarte, by się nie zatrzasnęły.

Susan ścisnęła mocniej jego dłoń, przytknęła głowę do jego skroni.

– Nigdy nie byłeś żonaty?

– Nie.

– Ale kochałeś się już. Chyba że miałeś w ręku jakiś świetny podręcznik sztuki miłości. Nie marnujesz czasu. Trochę tak, jak oczekiwałam. A teraz się zastanów. Ja rozwiodłam się z Waltem. Dla kobiety, która ma za sobą już dwa małżeństwa, planowanie trzeciego to niełatwa sprawa. Z drugiej strony małżeństwa też są dla ludzi. Można je zawrzeć, można rozwiązać. Lepiej już skorzystać z szansy, nawet jeśli miałyby się popełnić błąd, niż... – Zastanowiła się. – Strach nie jest dobrym doradcą. Źle nic nie robić z obawy przed popełnieniem błędu. A może nie myślałeś nigdy o podobnych sprawach i wszystko to dla ciebie egzotyka?

– Nie, nie – zaprzeczył. Ale tak nie myślał. To była egzotyka. Szczególnie w tej chwili. Teraz najbardziej ze wszystkiego chciał się znaleźć w łóżku i spać. – Wracajmy – zaproponował.

– Dobrze. Słuchaj – powiedziała, zamykając siatkowe drzwi – lepiej będzie, jeśli ty wrócisz do swojego pokoju, a ja do mojego. Pani Poppinjay ma klucz. Nie przyjdzie raczej przed dziewiątą, ale gdybyśmy zaspali...

– W porządku – mruknął, pragnąc tylko odpocząć. Była już czwarta trzydzieści i czuł się cały obolały ze zmęczenia.

Idąc do swojego pokoju, przystanęła, by rzucić mu bezgłośnie dobranoc, i zniknęła za drzwiami.

Co za noc, pomyślał, kładąc się w ciepłej wciąż, wymiętoszonej i lekko wilgotnej, miło pachnącej pościeli.

– Małżeństwo – mruknął pod nosem.

Jakoś go ta perspektywa nie niepokoiła. Było w niej coś naturalnego, zgodnego z przewidywanym, właściwym biegiem rzeczy.

Jakby co, to chyba mógłbym zostać ojczymem Taffy, pomyślał. A co z firmą? Z moją pracą w niej? Czy awansuję na... współwłaściciela?

Wszystko to wyglądało całkiem obiecująco. Zasnął zadowolony, myślami już przy dniu jutrzejszym.

Następnego dnia, o dziesiątej trzydzieści, wsiedli z Susan do mercury'ego i pojechali do jej biura.

Gdy parkowali po drugiej stronie ulicy, tuż poza dwugodziną strefą postoju, Susan powiedziała:

– Słuchaj, muszę jeszcze wyskoczyć do centrum i rozejrzeć się za materiałem na suknię. Ty już idź, zobaczymy się za pół godziny. – Przesłoniła oczy dłonią i spojrzała na drzwi biura. – Otwarte. Zoe już jest. Jeśli będzie dla ciebie zbyt paskudna, wyjdiesz po prostu i poczekasz w samochodzie albo gdzie ci będzie wygodnie. Ale nie sądzę, żeby to było konieczne. Najpewniej postawi na małomówność albo będzie zbyt zajęta pisaniem.

– Nie mam jej nic przekazać od ciebie? – spytał, czując się nieco wykorzystywany.

– Nie – odparła, stojąc już na chodniku. Zamknęła drzwiczki samochodu. W kostiumie wyglądała całkiem szykownie i poważnie. – I jeszcze jedno – przypomniała sobie i pochyliła się, by zajrzeć przez okno do mercury'ego. – Nie wspominaj jej, że mieszkasz u mnie ani o tym, co zdarzyło się w nocy.

Odeszła szybkim krokiem, a on zamknął wóz, przeszedł przez ulicę i z nielekkim sercem wkroczył do biura.

Jak przewidziała Susan, Zoe nie zwróciła na niego uwagi. Siedziała za biurkiem i stuknęła energicznie w klawiaturę starej, masywnej maszyny do pisania, odkładając na bok stronę za stroną. Bruce pokręcił się chwilę przed kontuarem, w miejscu przewidzianym dla klientów, potem jednak postanowił wziąć byka za rogi i przeszedł na drugą stronę, pomiędzy biurka.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry – odparła Zoe.

– Mam tu pracować.

– Aha – odparła całkiem pogodnym tonem. – Susan mi mówiła. – Zerknęła przelotnie w jego kierunku. – Chociaż dla mnie w zasadzie nie ma to większego znaczenia, skoro odchodzę.

– Chyba tak – stwierdził, kiwając głową, jakby po raz pierwszy słyszał o jej odejściu.

– Zapewne za kilka dni. Od dobrego roku próbuję się wyrwać z tej beznadziei. – Przestała pisać i obróciła się z krzesłem, żeby spojrzeć mu w twarz. – Jak pewnie pan wie, nasze dochody regularnie spadają – wycodziła z naciskiem. – Myślę, że Susan panu to powiedziała. Niezbyt wierzy w powodzenie firmy, podobnie jak ja. Nie wiem, czemu chce to jeszcze ciągnąć. Po drugiej stronie ulicy jest sklep, gdzie papier, taśmę i kalkę sprzedają o wiele taniej niż my. Nie możemy z nimi konkurować, bo biorą w hurcie od razu duże partie. Salon na rogu sprzedaje przenośne maszyny do pisania, tak więc nam zostaje tylko wypożyczanie maszyn, przepisywanie i powielanie. Z tego nie ma większych pieniędzy. Nawet gdybyśmy miały z czego inwestować, i tak niewiele by to dało, chyba żeby zmienić lokalizację, ale wtedy byśmy straciły niemal wszystko, co włożyliśmy w urządzenie tego wnętrza.

Nic nie odpowiedział. Nie podobało mu się to, co usłyszał.

– Do czego dokładnie pana wynajęła? Po prostu do pracy? A umie pan pisać na maszynie? Ona z pewnością nie będzie ani pisać, ani kreślić... Sama wykonywałam tu większość roboty – stwierdziła, triumfalnie krzywiąc pomarszczoną twarz. Wyraźnie nie współczuła ani jemu, ani Susan. Nie obchodziło jej już, co tu się będzie działo, gdy odejdzie. I chyba jej przez to ulżyło.

– Co zamierza pani potem robić?

– Och, pewnie otworzę własny punkt pod Dallas. Mam tam przyjaciół. – I dodała jeszcze kilka zdań.

– Życzę pani szczęścia.

– I ja życzę panu szczęścia, skoro będzie pan pracował z Susan – powiedziała z naciskiem. – Od dawna ją pan zna? Jeśli zdoła pan postawić tę firmę na nogi, to będzie wyłącznie pana sukces, a nie jej. Ona nic nie potrafi, brak jej i zdolności, i chęci do pracy. Chce tylko mieć dość obfite źródło dochodów, żeby mogła zaspokajać swoje potrzeby. – Nagle zamilkła i wróciła do pracy. Minęło trochę czasu, nim znów się odezwała. – Ma pan doświadczenie w handlu detalicznym? – Zadała to pytanie takim tonem, jakby sądziła, że Bruce zajmuje się tym od lat, że Susan znalazła z pewnością kogoś zdolnego poprowadzić efektywnie każdy interes. Wyraźnie nie zyskał jej sympatii, ale bez wątpienia skłonna była go szanować, może nawet podziwiać. Może dlatego, że skoro ją zastępował, to przecież musiał być świetnie przygotowany do tej roboty. Ponadto był mężczyzną. Bruce wyczuwał, że ta kobieta odruchowo uznaje wyższość mężczyzn. To była jej słabość, zasadnicza wada. Musiała mieć wpływ na jej pracę i na to, jak podchodziła do hurtowników i klientów.

Dwie takie kobiety próbujące prowadzić firmę... To się musiało źle skończyć.

– Chciałbym przejrzeć faktury z ostatnich kilku miesięcy – powiedział.

– Są w teczce w szafce. Ułożone alfabetycznie.

Usiadł przy wolnym biurku i zajął się papierami obrazującymi koszty prowadzenia firmy.

– Widzi pan, jak tu jest z dochodami? – spytała w pewnej chwili Zoe.

Od razu zauważył, że Susan i Zoe kupowały w najgorszy możliwy sposób, co miesiąc, zawsze w małych ilościach i po najwyższej możliwej cenie. Na dodatek nigdy nie odbierały same zamówionego towaru, tylko kazały go sobie dostarczać.

– A co ze zwrotami? – spytał. – Zdefektowanymi artykułami, które oddaje się producentowi?

– Musi pan o to zapytać Susan.

Zapewne w ogóle nie pomyślały o obniżeniu kosztów przez odliczanie systematycznych zwrotów. Przeszedł się po biurze, zajrzał do szafek, zerknął na półki z ryzami papieru, pudełkami taśmy i paczkami kalki. Obejrzał stare i sfatygowane maszyny do pisania pożyczane za niecałe pięć dolarów na miesiąc. Już na pierwszy rzut oka widać było, że te graty zajmują za wiele miejsca, bo aż dwie ściany, od podłogi do sufitu. Większość była pokryta grubą warstwą kurzu. Okno wystawowe też było pełne maszyn, tyle że na sprzedaż. Wszystkie używane, żadnej nowej. Zupełnie jak w składnicy złomu, pomyślał zgryźliwie. Brakło mu przekonania do handlu rzeczami używanymi; sama perspektywa dotknięcia czegoś okrytego brudem lat wywoływała w nim mdłości. Lubił rzeczy nowe, najlepiej w czystym opakowaniu z celofanu. Wyobraźnia podsunęła mu absurdalny obraz używanej szczoteczki do zębów kupionej w sklepie ze starzyzną. Chryste...

Zapalił papierosa, żeby trochę pomyśleć. Zastanowił się nad tym, czy nie wystarać się o przedstawicielstwo. Skoro jednak w pobliżu był już sklep oferujący nowe maszyny do pisania, producent mógłby nie być zainteresowany uruchamianiem kolejnego. Ale... zawsze są sposoby, aby przejść markę. Zwłaszcza gdy kupiec ma gotówkę i własny transport.

Zaczął się zapalać do tego pomysłu. Na początek trzeba będzie tu wszystko zmienić.

– Chyba uda mi się tu sporo zdziałać – stwierdził głośno.

Zoe nie odpowiedziała.

Susan wpadła do biura w południe. Zjawiała się z całym naręczem pakunków. Zatrzymała się przy Zoe i zaczęła jej pokazywać, co kupiła. Bruce zauważył, że weszła, ale nie przerwał pracy. W końcu podeszła i do niego.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć. Trochę zrobiłem. – Znalazł zestawienie rachunków do zapłacenia i właśnie podliczał zaległości.

– Wyglądasz na zajętego.

– Jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu, to wyjdę coś zjeść – powiedziała Zoe od swego biurka. Zakryła maszynę i zdjęła kitel.

– Idź – rzuciła Susan przez ramię, jakby pochłaniało ją akurat coś innego. Potem usiadła naprzeciwko Bruce'a. – I jak poszło? – spytała z zaciekawieniem. – Wiele mówiła?

– Bardzo mało – odparł Bruce, wciąż trochę urażony, że kazała mu, by sam poszedł do biura. Uważał, że powinna mu towarzyszyć.

– To dobrze – stwierdziła z ulgą. – Wie, że musi zaakceptować twoją obecność. Powiedziała ci, że starałyśmy się o przedstawicielstwo Underwooda i że nam odmówili? – spytała, pochylając się ku niemu przez blat.

– Nie. Ale zastanawiałem się nad możliwością otrzymania przedstawicielstwa.

– Gdybyśmy zebrali dość pieniędzy, żeby złożyć naprawdę porządne pierwsze zamówienie, to by je nam dali. Zgadzasz się? Ty wiesz o tym wszystko.

– Zobaczymy.

– Liczę na to, że sprowadzisz coś, co się będzie dobrze sprzedawało.

– Wiem. Lecz pieniędzy nie rozmnożę.

– Ale możesz tak wszystko ustawić, żeby nie kosztowało nas zbyt wiele. Możesz zdobyć towar w komis. Nie sądzisz?

– To zależy – powiedział.

– Co myślisz o umeblowaniu? Jeśli będziemy mieli nowe maszyny, trzeba będzie zrobić miejsce na porządną ekspozycję.

– Skoro o pieniądzach mowa – napomknął – czy jestem już oficjalnie zatrudniony?

– Co... To znaczy... – Wyprostowała się na krześle i zmarszczyła niespokojnie czoło. – Tak, oczywiście, zacząłeś pracę dziś rano, gdy tu wszedłeś. Jesteś u siebie, to już twoja firma.

– Jak zrobimy z moim wynagrodzeniem? – spytał, starając się, by zabrzmiało to możliwie jak najtaktowniej.

– Otrzymasz procent od dochodów, tak ja my. Do pewnej wysokości, oczywiście. Zawsze zliczamy, ile to jest, mamy standardowy formularz, który obie podpisujemy.

– Ale ile konkretnie?

– A jak uważasz, ile potrzebujesz?

Poczuł, że znalazł się pod ścianą.

– Nie w tym rzecz. Chodzi o podpisanie umowy, żebyśmy dokładnie wiedzieli, na czym stoimy.

Z miejsca się zmieszała.

– Ty decydujesz – oznajmiła impulsywnie. – Cokolwiek postanowisz, będzie dla mnie dobre. Szczególnie jeśli... – urwała i spojrzała za siebie -..jeśli uda nam się z tym, co planujemy, a chciałabym, żeby się udało – dodała ciszej. – Bruce, chcę, żebyś decydował wedle własnego przekonania. Przyniosę księgi i zobaczysz, jak wygląda to, co podpisywałyśmy z Zoe.

Pokazała mu dokumenty i w końcu postanowili, że może dostać trzy i pół z wypłatą co miesiąc.

– Nie za mało? – spytała z obawą.

– Nie – odparł zadowolony, że wreszcie załatwili tę sprawę.

– Chcę ci płacić więcej. Jesteś wart więcej. Może później, gdy będziemy mieli co sprzedawać. Niech to, musimy mieć coś na sprzedaż! – dodała głośno, zaciskając pięści.

Po chwili zjawił się klient i Susan wstała, żeby go obsłużyć.

Trochę później Bruce zrobił sobie spacer do sklepiku po drugiej stronie ulicy. Chciał sam zobaczyć, co sprzedają, a czego tam nie ma.

Na niewidocznej z ulicy ladzie pod ścianą wystawiono papier i akcesoria do maszyn do pisania, na kolejnej sztuczną biżuterię i guziki. Sklep najwyraźniej nie oferował niczego więcej. Taśmy leżały w dwóch przegródkach. Były po 89 centów, marki całkiem mu nie znanej, ale poznał w nich słabe, krótkie taśmy nadające się tylko do lekkich maszyn, do biurowych zaś całkiem nieprzydatne. Znaczyło to, że nie mają pełnego asortymentu. Papier maszynowy sprzedawali w paczkach po 10 i 25 centów, a nie w ryzach. Zresztą był to papier pośledniejszego gatunku, bez znaku jakości. Tylko na kopie, w żadnym razie nie na oryginały. Dość go to rozbawiło. A kalkę mieli tylko niebieską.

Skierował się do drugiego sklepu, na rogu.

Tutaj trafił na cztery rodzaje popularnych maszyn do pisania. Stały porządnie wyeksponowane na końcu stoiska ze sprzętem fotograficznym, obok aparatów i niedrogich magnetofonów. Zauważył, że z każdej marki były tu tylko najtańsze modele. Brakło też biurowych.

Gdy podeszła do niego ekspedientka, spytał o gwarancję na maszyny. Powiedziała, że udzielają. Na dziewięćdziesiąt dni.

– I jakby co, to mogę przynieść ją tutaj? – spytał.

– Nie – odparła obojętnie. – Musiałby pan dostarczyć ją do punktu napraw... – Sięgnęła pod ladę po wygnieciony folder. – Nie mają tu serwisu, dopiero przy szosie do Pocatello.

– Nie wie pani, gdzie w okolicy mógłbym zamówić przepisanie tekstu?

– Chyba dalej na tej ulicy jest coś takiego.

Podziękował jej i wyszedł.

Wyraźnie nie weszli na poważnie w maszyny do pisania. Ich oferta była skierowana głównie do uczniów, studentów i biznesmenów, którzy chcieli mieć maszynę także w domu, na wszelki wypadek. Bruce zaczął przypominać sobie wszystko, co wiedział o zasadach otrzymywania przedstawicielstwa. Kojarzył, że dość często udziela się go nie na całą ofertę, lecz jedynie na najtańsze modele. Gdyby chciał, łatwo mógłby sprawdzić, czy sklep wystarał się także o przedstawicielstwo na duże maszyny. Zapewne nie.

Przeszedł znów przez ulicę i wrócił do biura.

Po drugiej stronie kontuaru stał niski i nieco śniady mężczyzna o lekko przygarbionych ramionach. Nosił całkiem dobrze dopasowaną popielatą jednorzędową marynarkę i muszkę.

Wkoło unosiła się chmura dymu tytoniowego. Spojrzał na Bruce'a przez rogowe okulary, skrzywił się, splunął kawałeczkiem bibułki i dopiero potem odezwał się głosem lekko chrapliwym, ale przyjacielskim:

– Nie obsłużę pana. Ja tutaj nie pracuję.

Obok niego Bruce dojrzał skórzaną torbę. Mężczyzna musiał być czymś akwizytorem. Patrzył na Bruce'a lekko ironicznie, z dystansu, jakby chciał dać do zrozumienia, jak bardzo jest tu nie na miejscu, wręcz niekompetentny. Może stojąc za ladą, a nie będąc pracownikiem firmy, czuł się nieswojo. Prawie że przeproszał za stwarzanie mylnych pozorów.

– Nie szkodzi – stwierdził Bruce, przechodząc obok niego. Mężczyzna otworzył szeroko oczy.

– A, tutejszy wyrobnik.

– W zasadzie się zgadza – przytaknął Bruce. Nigdzie nie było ani śladu Susan czy Zoe. – Gdzie one są?

– Zoe poszła do toalety – odrzekł mężczyzna, wzruszając ramionami. – Susan... nie wiem gdzie. Jestem Milt Lumky. – Wyciągnął rękę i Bruce zauważył, że tamten ma krótkie i grube ramiona, dłonie płaskie i sękaty, ale idealnie utrzymane. Twarz miał ospowata, ale o zęby dbał nad wyraz. Czarne buty, na oko z importu, były trochę zdarte, ale wypolerowane na błysk.

– Kogo pan reprezentuje? – spytał Bruce, gdy już się przywitani.

– Christian Brothers Brandy – odparł ponuro Lumky i skrzywił się. – Czy to nie dziwaczne? Mam akurat jeden z tych gorszych dni. Gdzie wejść, tam akurat nikogo nie widać. Nic dziwnego, że jest recesja. Jestem z Whalen Paper Supplies. Ale proszę sobie wyobrazić firmę produkującą alkohole pod wezwaniem Braci Chrześcijan. Zupełnie jakby ktoś zaczął sprzedawać broń palną marki Jezus Chrystus. Przed chwilą widziałem tych braci na wystawie monopolu po drugiej stronie ulicy. Nigdy wcześniej nie wpadli mi w oko.

Bruce przedstawił się Lumky'emu.

– Jak długo pan tu pracuje? – spytał tamten. – Ja zaglądam do pań nie częściej niż co drugi miesiąc.

Bruce powiedział, że dopiero co zaczął.

– Zamierza pan prowadzić ten interes? – spytał Lumky z czymś na kształt aprobaty. – Potrzeba im kogoś, kto wzięłyby sprawy w swoje ręce. Same mają kłopoty z podejmowaniem decyzji. Wszystko im się rozłązi. Gdzie pan wcześniej pracował?

Bruce powiedział o CBB.

– Powinienem za to kopnąć pana w jaja – mruknął Lumky.

– Nie lubi pan dyskontów?

– Nie wtedy, gdy sprzedają zleżałe cukierki.

Tego argumentu Bruce jeszcze dotąd nie słyszał. Wydał mu się śmieszny i aż zachichotał,

myśląc, że Lumky żartuje. Ale mężczyzna spoważniał jeszcze bardziej, widać mówił całkiem serio.

– Kupiłem karton moundów w dyskoncie w Oakland – powiedział, kaszłąc dymem tak, jakby to była część zdania. Odgonił dłonią dym. – Smakowały jak mydło. Musieli wygrzebać jakieś resztki wojskowych zapasów z drugiej wojny.

– Niepodobna.

– Pańskie słowo przeciwko mojemu – stwierdził Lumky. Zgasił papierosa i podsunął Bruce'owi paczkę parlamentów. – Nic z tego nie wyjdzie, bo w dyskontach nie ma prawdziwej sprzedaży, tylko zapychanie zamrażalników. Musielibyście nauczyć się docierać do ludzi – stwierdził mrukliwie, jakby wcale mu się udzielanie podobnych rad nie podobało, ale zwykł szanować fakty. Dłonie trzęsły mu się lekko, gdy zapalał papierosa, jego koniuszek odchylił się znad płomienia zapalniczki, obciągniętego skórą męskiego modelu Ronsona, musiał nakierować papierosa kciukiem. – Ale rozumiem, że każdy z nas wie swoje – dodał półgębkiem. Dym podrażnił mu lewe oko, które zaraz poczerwieniało i zaczęło łzawić. Uśmiechnął się krzywo do Bruce'a.

– O, cześć Milt – rzuciła Susan, wchodząc do biura.

Milt Lumky schował zapalniczkę do kieszeni marynarki. Wypchana kieszeń zepsuła linię garnituru.

– Gdzie byłaś? Wziąłem, co było w kasetce, żebyś miała nauczkę.

– A gdzie podziała się Zoe?

– Siedzi w kiblu – oznajmił Lumky. – Przejdziemy się na kawę?

– Właśnie wracam z baru. Nie sądzę, byśmy chcieli coś od ciebie dzisiaj kupować. Przepraszam. Chyba że masz coś nowego, co chciałbyś nam pokazać.

– Może tanie maszynki sumujące?

– Nie – odparła Susan.

– Kalkulatory?

– Też nie.

– Domowy univacs za siedemnaście dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów. To cena dla was. Detaliczna to jakieś czterdzieści dziewięć dziewięćdziesiąt pięć. Porządny zysk. Świetny prezent na Wielkanoc.

Objęła go i poklepała po plecach.

– Nie. Może innym razem. Planujemy sporą reorganizację. I jeszcze wiele innych rzeczy.

– A może pan napije się ze mną kawy? – spytał Lumky, wykręcając głowę, by spojrzeć na Bruce'a.

– Dobry pomysł – powiedziała Susan. – Milt, to jest Bruce Stevens. Będzie zajmował się zaopatrzeniem. – Zniżyła głos. – Zoe odchodzi...

– No to chodźmy – rzucił Lumky do Bruce’a, pokazując brodą na drzwi. – Zostawię tutaj mój śmietnik – zwrócił się do Susan, mając na myśli torbę. – Jak chcesz, możesz pofolgować swojemu infantylnizmowi i przetrząsnąć zawartość.

Niebawem siedział z Bruce’em przy kontuarze kafejki kilka posesji dalej.

– Zatem Zoe Lima odchodzi – powiedział, zapalając trzeciego papierosa. Opierał się na łokciach. Dłonie trzymał tuż przed twarzą, kciuki omalże wchodziły mu do nosa. – Susan wie, co robi. Powinna była się jej pozbyć już dwa lata temu. Susan to bałaganiara, a Zoe ma zawsze wszystko drobiazgowo poukładane. Zabawne połączenie.

Podano im kawę.

– Z Susan można się dogadać – ciągnął Milt, wtykając serwetkę za kołnierzyk. – Do Zoe nie dotrzesz za żadne skarby. Zawsze wie najlepiej, do cna przesiąkła tym swoim porządnictwem. A Susan potrzebuje kogoś, kto co chwila mówiłby jej, co robić. – Siorbnął kawy.

– Lokal jest dobrze położony – powiedział Bruce, którego gadatliwość Lumky’ego wytrąciła trochę z kontenansu. Przywykł do akwizytorów odgrywających nieustanną komedię zaangażowania i nie wypowiadających ani słowa prawdy.

– Znam Susan od lat – stwierdził poważnie Milt. – Świetna dziewczyna, ale zawsze mnie zastanawiała. Jaka ona właściwie jest poza sferą interesów? – Z chmurną miną podlubał w zębach. – Zgodzisz się ze mną, że jest diabelnie atrakcyjna?

– Aha – odparł wymijająco Bruce.

– Zawsze chodziło mi po głowie, żeby pewnego wieczoru zaprosić ją na jakiś obiad czy coś. I sprawdzić, co jest pod tą pozą, jaka jest naprawdę. Uwierzysz, że kiedyś uczyła w szkole? Zupełnie, jakbyś odkrył nagle, że ten facet, co przywozi ci węgiel, to Albert Einstein. I że najbardziej ze wszystkiego zawsze chciał być węglarzem. Oczywiście Einstein już nie żyje. Czytam „Timesa”, to wiem o takich rzeczach. Warto zwracać uwagę na to, co się dzieje na świecie, nie sądzisz? Nigdy nie wiadomo, co ci się może przydać przy dobijaniu targu.

– Mieszkasz gdzieś tutaj? – spytał Bruce.

– Tak, do cholery. Mój teren obejmuje całą północ Zachodniego Wybrzeża. Taki szmat kraju, dajesz wiarę? Kiedyś mieszkałem w Oregonie, ale za wiele wtedy musiałem jeździć. No to teraz mieszkam tutaj, w Idaho. Tak jakby pośrodku. Jadę z Portland do Klamath Falls, a potem jeszcze na wschód do Pocatello. Kiepskie miejsce do mieszkania – dodał po chwili. – Idaho daje mi w kość. Szczególnie droga stąd do Pocatello. Widziałeś kiedyś równie gównianą i dziurawą szosę? W każdym innym stanie takie drogi służą tylko rolnikom, co rozwożą wozami melony. A tutaj proszę, część federalnej sieci. I jeszcze te muchy psiajuchy wkoło Montario. Żółte diabelstwo. Ciche i nachalne. Przyjrzałeś się kiedyś takiej po ubiciu? To świństwo gryzie. Ale jakim cudem, jeśli nie ma zębów ani warg, ani dziąseł? Pojęcia nie mam.

– Urodziłem się w Montario.

– Na twoim miejscu bym się tym nie chwalił.

– A gdybyś miał wybór, to gdzie chciałbyś mieszkać?

– W Los Angeles – prychnął Lumky.

– Dlaczego?

– Bo jak zajedziesz tam do knajpy drive-in i zamówisz mleko słodowe, to dziewczyna, która ci je przynosi, ma dupę jak Marilyn Monroe.

To niewątpliwie wszystko wyjaśniało.

– Ale nie myśl sobie, że ja nic tylko smęcę o dupach – dodał chrapliwie Lumky. – Po prawdzie od roku w ogóle o nich nie myślałem. Wszystko przez to Idaho. Tu nie ma nic do roboty. Ani do czytania czy oglądania. Tylko kilka dobrych spelun i to już prawie wszystko. Może te kowbojskie kapelusze tak mnie zdołowały. Nie ufam nikomu w kowbojskim kapeluszu. Zawsze mi się wydaje, że to musi być idiota. Nie urodziłem się na sprzedawcę papieru maszynowego. Chwytasz? Dociera do ciebie? Jeśli tak, to pamiętaj, że gdy następnym razem przyjadę pokazać jakieś cymesy na lato, to masz powiedzieć, że nic nie kupujesz. Od razu sobie pójdę. Gówno mnie obchodzi, czy coś weźmiesz, czy nie. Po prawdzie mam nadzieję, że nie. Inaczej musiałbym wypełnić zamówienie, a to cholerna mordęga. Nie wiem nawet, czy mam jeszcze pióro. – Przeszukał kieszenie marynarki. – No widzisz. Wszystko ginie, kurczę. Jeden burdel. – Zapiał marynarkę.

– Spodobałoby ci się w Reno – powiedział Bruce.

– Może i tak. Będę musiał tam kiedyś pojechać i zobaczyć. Co masz robić dla Susan?

– Zdobywać towary do sprzedaży. Najpierw chcę się pozbyć tego używanego złomu.

– Słusznie.

– Chciałbym wprowadzić nowe, przenośne maszyny, ale sklep po drugiej stronie ulicy już się za nie zabrał.

– Powiem ci, co powinieneś namierzyć – mruknął Milt. – Nie prowadzę tego towaru, więc możesz mieć pewność, że nie chcę ci wciskać kitu.

– No to powiedz.

– Importowane maszyny do pisania.

– Włoskie? Olivetti?

– Nie, japońskie. Mają niebawem wejść na rynek. Elektryczne. Pierwsze takie na świecie.

– Smith-Corona też robi lekkie elektryczne – zaprotestował Bruce.

– Ale w ich maszynach trzeba ręcznie cofać wózek. Japońskie są w całości elektryczne.

– Ile kosztują?

– Z tym jest spory kłopot. Japońce chcieli utworzyć sieć przedstawicielstw i przysyłać je na bezpośrednie zamówienia, ale kilka dużych amerykańskich firm się spietrało i zaczęło negocjować. Póki co dostawy zostały wstrzymane. Czekają z nimi, aż zorganizują porządną sieć

sprzedawców. I co najmniej jedną hurtownię. Podobno właśnie gdzieś w tej okolicy.

– O tym nie słyszałem – powiedział Bruce, czując, jak rośnie mu ciśnienie.

Rozmawiali jeszcze chwilę, aż dokończyli kawę, i wrócili do biura.

Przy krawężniku Bruce zobaczył całkiem nieznaną mu samochód: jasnoszary sedan ze staromodną, choć elegancką atrapą chłodnicy. Czyste linie wozu miały w sobie coś archaicznego, ale nawiązywały też do najnowszych wzorów. Po stylizowanej trójpromiennej gwiazdzie wpisanej w koło Bruce poznał w końcu markę: Mercedes Benz. Pierwszy, jaki zdarzyło mu się widzieć.

– Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby jeździć taką bryczką – powiedział, rozkoszując się widokiem. – To jedyny zagraniczny wóz, który mi się podoba. Popatrz tylko na te skórzane siedzenia. – Dla niego obite skórą fotele były kwintesencją elegancji.

– To mój – powiedział Milt.

– Naprawdę? – Bruce jakoś nie był skłonny mu uwierzyć. Przypuszczał, że niewysoki rozczochrany akwizytor znowu żartuje.

Milt wydobyl z kieszeni niestandardowy kluczyk i otworzył prawe przednie drzwi mercedesa. Na tylnym siedzeniu piętrzyły się próbki papieru. Kilka z nich zsunęło się na podłogę.

– Zrobiłem nim trzydzieści tysięcy mil – powiedział. – Byłem we wszystkich czternastu zachodnich stanach i nic. Żadnej awarii.

– To ósemka?

– Nie, nie – sapnął Milt. – Szóstka. Trzyma się drogi jak marzenie. Sprawa tylnego zawieszenia. Niższe biegi są zsynchronizowane. Nowy kosztuje koło trzech tysięcy czterystu.

Bruce otworzył i zamknął drzwiczki.

– Jak drzwi sejfu – powiedział. Chodziły i pasowały idealnie.

Gdy Milt znów zamknął samochód, poszli do biura.

– Myślałem, że jeśli będę miał taki wóz, to całe to jeżdżenie zacznie mi sprawiać przyjemność – wyznał Lumky. – Ale w sumie to żadna różnica. Tak naprawdę to potrzebuję innej pracy.

– Chcesz tu pracować? – spytała Susan, która usłyszała ostatnie zdanie.

– To by już w ogóle było do bani – mruknął Milt. – Sprzedawca detaliczny. Najbardziej degradujący zawód świata.

Spojrzała na niego poważnie, z wyrzutem.

– Naprawdę tak uważasz? Szkoda, że wcześniej nie wiedziałam. Nawet nie przypuszczałam. A co w tym jest takiego strasznego?

– Przestajesz się szanować. Zaczynasz patrzeć na siebie z góry.

– Po prawdzie nie uważam, żebym pracowała w handlu detalicznym.

– A w czym niby, jeśli wolno wiedzieć?

– W usługach – odpowiedziała Susan.

– Śmiechu warte. – Milt skrzywił się. – Sama zresztą wiesz. Chcesz coś sprzedać, żeby zarobić pieniądze. Jak wszyscy na tej ulicy. Jak oni, jak ja. Po to właśnie najęłaś obecnego tutaj pana Zdolnego, by nakręcił ci interes.

– Jesteś cyniczny – stwierdziła Susan.

– Ale nie dość. Gdybym był bardziej cyniczny, rzuciłbym tę pracę. Starcza mi cynizmu akurat do tego, co robię. Nie zapominaj, że jestem sporo starszy od ciebie i wiem, co mówię. Po prostu nie jesteś jeszcze dość długo w branży.

Bruce nie wątpił, że Lumky żartuje, jednak Susan wzięła to całkiem na poważnie i przez resztę dnia chodziła skrzywiona i zamyślona, aż w końcu Bruce spytał ją, czy dobrze się czuje.

– Nic jej nie jest – wtrąciła się Zoe. – Po prostu nie lubi prawdy o sobie.

– On tylko z ciebie żartował – usiłował wyjaśniać Bruce.

– Chyba tak – zgodziła się Susan. – Ale z nim nigdy nic nie wiadomo. Zawsze tak ironizuje.

Oczywiście do tego czasu skwaśniały Lumky zdążył już wsiąść do swojego mercedesa i odjechać.

– Jest bardzo inteligentny – dodała Susan. – Mówił ci, że skończył Columbię? Zdaje się, że ma bakalaureat z historii Europy.

– A jak trafił do hurtowego handlu papierem?

– Jego ojciec był współnikiem u Whalena. Widziałeś, czym jeździ i jak się ubiera. Jest całkiem majątny. Dziwny człowiek... Ma trzydzieści osiem lat i nigdy się nie ożenił. To chyba najsamotniejsza osoba, jaką znam, ale nie sposób się do niego zbliżyć. Straszy wszystkich gorzką ironią.

Siedząca za biurkiem Zoe de Lima odgradziła się maszynowym stukotem od rzeczywistości.

– Ona go nie lubi – powiedziała Susan.

– A żebyś wiedziała – odezwała się Zoe, nie przerywając pisania. – Jest wulgarny. Ordynarny. To najgorszy akwizytor, jaki się tu zjawia. Zawsze się boję odwrócić do niego plecami, bo nie wiem, czy mnie nie uszczypnie. Taki to typ.

– A uszczypnął kiedyś? – spytała Susan.

– Nigdy nie dałam mu szansy. Nie ze mną takie numery. – Uniosła na chwilę głowę. – A ciebie? – spytała znacząco.

– On wcale nie jest wulgarny – powiedziała Susan do Bruce'a, ostentacyjnie ignorując Zoe. – Ma bardzo dobry gust. Język, jakim się posługuje, to tylko pozory, skorupa. Myślę, że po prostu parodiuje ludzi, z którymi musi pracować. Jest zresztą cięty na cały świat biznesu i wszystkich akwizytorów. Poza tym wielu niskich ludzi jest samotnych i zgorzkniałych. Ale nie obnoszą się z tym.

– Dobrze go znasz? – spytał Bruce.

– Raz, gdy tędy przejeżdżał, byliśmy na kawie. Kiedyś zaprosił mnie na obiad, ale akurat nie mogłam. Taffy była chora i musiałam zaraz wracać do domu. Chyba mi nie uwierzył. Był pewien, że nie chcę, i w gruncie rzeczy się nie mylił.

Rozdział 6

– Chyba nie mówiłeś Miltowi, że mieszkasz u mnie? – spytała Susan, gdy wracali wieczorem do domu.

– Nie. – Bruce dobrze wiedział, że akwizytorzy błyskawicznie roznoszą wiadomości z jednego krańca stanu na drugi.

– Musimy być ostrożni. Jestem zmęczona. Nie spaliśmy zbyt długo. I to napięcie, gdy Zoe jest obok... Ulży mi, kiedy wreszcie odejdzie. Widziałam, że przeglądałeś faktury. Trafiłeś na coś ważnego, co chciałbyś zmienić?

Wspomniał o kilku sprawach, które przyszły mu do głowy, głównie związanych z koniecznością kupowania większych partii towarów. Jednak gdy zatrzymał wóz na światłach i spojrzał w prawo, stwierdził, że Susan myśli najwyraźniej całkiem o czym innym: jej twarz znów stała się nieobecna, skupiona. Susan nie słuchała.

– Przepraszam – mruknęła, gdy udało mu się na powrót przyciągnąć jej uwagę. – Tyle mam ostatnio na głowie. Niepokoję się, czy Taffy nie będzie brakowało Walta. Był dla niej jak ojciec. Mam nadzieję, że przejmiesz jego rolę. Tak powinno być. Nie mogę się zajmować tymi wszystkimi detalami związanymi z firmą. Myślę, że Milt jednak ma rację: traci się przez to szacunek do siebie.

– Ja tak tego nie odbieram – stwierdził Bruce. – Lubię to.

Przechyliła się i pocałowała go.

– Dlatego właśnie nie mieszkasz już w Reno. Wiesz, czeka nas razem wspólna przyszłość. Też to czujesz? Ja mam wrażenie, jakbym ożywała. Wiem, że to brzmi staromodnie, ale jednak. Najpewniej odbija się to na fizjologii... cały metabolizm przyspiesza. I gruczoły dokrewne. Nowe enzymy uruchamiają nie wykorzystywane dotąd zasoby energii. – Złapała go za łokieć z taką siłą, że omal nie stracił panowania nad samochodem. – Zatrzymajmy się gdzieś i kupmy coś super na obiad. Wiesz, na co mam ochotę? Na puszkę *crêpes suzettes*. Gdy byłam w supermarkecie po papierosy, zauważyłam, że je tam mają.

Zatrzymał samochód na parkingu przed supermarketem. Susan została w wozie, a on poszedł po puszkę *crêpes suzettes*, odstał swoje w kolejce, zapłacił i wrócił.

– Muszę jeszcze zajrzeć do apteki – poinformowała go, gdy ruszyli. – Po coś tylko dla mnie. Ty nie możesz tego kupić.

Zaparkował na drugiego przy krawężniku, a Susan niespiesznym krokiem poszła ku aptece. Samochód za nim trąbił tak nachalnie, że musiał ruszyć i objechać kwartał. Gdy wrócił, Susan jeszcze nie było, zrobił więc następną rundę. Tym razem chodziła niecierpliwie po chodniku.

– Gdzie się podziewałeś? – spytała z wyrzutem, wskakując na fotel, i zatrzasnęła drzwiczki.

– Przecież miałaś czekać.

– Nie mogłem.

Na kolanach trzymała prostokątną paczkę owiniętą w brązowy papier i przewiazaną białym sznurkiem. Odwrócił od niej oczy. Szczególny rodzaj szczerości praktykowanej przez Susan potrafił zepsuć atmosferę. Od początku mu się nie podobał.

– Nic nie mówisz – stwierdziła kilka chwil później.

– Jestem zmęczony – odparł. Kupił puszkę nadziewanych naleśników, a wcale nie miał zbyt wiele pieniędzy. Ustalenia w sprawie płacy wciąż uważał za mało przejrzyste i nie dawało mu to spokoju.

– Kiedy będziesz mógł przejąć sprawę? – spytała Susan.

– Trudno powiedzieć.

– Za tydzień?

– Może.

Westchnęła.

– Oby. Wtedy mogłabym poświęcić cały czas Taffy. Bo widzisz – dodała z zapałem – jak tylko zwolnię panią Poppinjay, oszczędzę miesięcznie ponad dwieście dolarów. A to całkiem sporo, nawet w obecnych czasach. I poczuję się lepiej, gdy będę z Taffy w domu, zacznę ją odprowadzać do szkoły, odbierać i spędzać z nią czas po lekcjach.

– Chcesz powiedzieć, że nie zamierzasz przychodzić do biura? – spytał Bruce. Wcześniej nie było o tym mowy. – Tam muszą być dwie osoby. Ja nie będę przepisywać ani rysować. – przyjrzał się pracy Zoe i nie miał wątpliwości, że to jest zajęcie na pełen etat.

– Mogę całkiem sporo robić w domu – stwierdziła Susan.

– Ale do biura też będziesz musiała przychodzić.

– Będę tam zaglądać.

Nie skomentował tego.

– Przecież wiesz, że chcę, abyś przejął interes.

– Gdy Zoe odejdzie, będziesz musiała spędzać w biurze niemal tyle czasu co teraz. Sprzedaż, gdy będzie co sprzedawać, i zarządzanie to jedno, a przepisywanie i rysowanie to drugie. Potrzeba do tego dwóch osób. Potem zapewne będziemy mogli zrezygnować z usług, ale na pewno nie od razu.

– Jak uważasz – powiedziała Susan. – Ty wiesz lepiej. – Jednak przez resztę drogi się nie odzywała.

Po obiedzie, gdy Susan zmywała talerze, zadzwonił telefon. Wytarła ręce i odebrała.

– Do ciebie – powiedziała, wracając. – To Milt Lumky.

Bruce podszedł do aparatu i przywitał się zdumiony, czego też Milt może chcieć.

– Cześć – sapnął akwizytor. – Pomyślałem, że tu znajdę cię najłatwiej. Zjedliście już obiad?

– Tak – odparł nieco zezłoszczony Bruce.

– A co powiedziałbyś na piwo? Mam ochotę z kimś pogadać. Wpadnę po ciebie i gdzieś skoczemy.

– Myślisz o mnie? Czy o mnie i Susan?

– Zdaje się, że ona ma córeczkę? – rzekł Milt.

– Owszem.

– Jeśli nie chcesz, to powiedz. Tak mi tylko przyszło do głowy. Będę tu jeszcze kilka dni, potem ruszam do Pocatello. Wrócę za tydzień. Mam tu pokój z łazienką i osobnym wejściem. Ale to trochę za mało, żeby go polubić. Jadam zawsze na mieście.

– Chwilę – odezwał się Bruce i zajrzał do kuchni.

– Czego chce? – spytała Susan. – Ze mną się tylko przywitał i od razu chciał ciebie.

– Zaprasza mnie na piwo.

– Och, musi się czuć samotny. Czemu byś nie miał iść? Ja jestem zbyt zmęczona; chyba się położę, jak tylko Taffy uśnie. Może jeszcze trochę poczytam w łóżku albo pooglądam telewizję.

Wracając do telefonu, przemyślał błyskawicznie sprawę.

– Nie, dziękuję – powiedział Miltowi. – Mamy sporo spraw do obgadania. Może innym razem. Wtedy ja stawiam.

– Co?

– Uznajmy to za otwarte zaproszenie.

– Co ty, komuch jesteś, czy jak? Dobra, skoro tak chcesz. Może znajdę kogoś chętnego w Pocatello.

– Mam nadzieję, że to nie oznacza kresu naszej znajomości – zauważył Bruce.

– Nie. Chyba nie.

Pożegnali się i rozłączyli.

– Odmówiłem mu – oznajmił Susan. Nie miał jakoś ochoty na przesiadywanie w barze ani wysłuchiwanie opowieści o cudzych kłopotach. – Tutaj mi dobrze – dodał i była to prawda. W Reno dość czasu przesiedział samotnie w barach i miał nadzieję, że to już nie wróci. Na świecie były miliony mężczyzn bez rodzin, którzy zaludniali bary, i każdy z nich miał coś smutnego do opowiedzenia.

– Skoro nie wychodzisz, to nie będę się jeszcze kładła – powiedziała Susan. Skończyła zmywać talerze i zdjęła fartuch. – Mogłeś przyjąć jego zaproszenie. Nie chcę cię przywiązywać do siebie. A jeśli o tym mowa... Mam coś dla ciebie już od popołudnia, ale wcześniej zapomniałam ci dać. – Poszła do salonu po torebkę i wyjęła z portmonetki klucz. – Do domu – powiedziała. – A, i jeszcze. – Poszukała obok portmonetki. Tym razem wyjęła cały pęk kluczy. – Do biura – dodała, odczepiając jeden z kółka. – Widzisz, jak swobodnie i spokojnie zaczynam się czuć przy tobie?

To, że dała mu klucze, nieco poprawiło mu nastrój.

– Mam nadzieję, że to się nie zmieni – stwierdził podniesiony na duchu.

– A dlaczego by miało? Przecież mnie nie zawiedziesz, Bruce. Wcale nie tak trudno rozeznaczyć się, jaki ktoś jest. Nie rozmawialiśmy dotąd wiele o miłości, ale zastanawiałeś się czasem nad nią?

– Bywało – odparł zakłopotany.

– Niewiele mi o sobie mówisz – powiedziała. – Przy takiej zażyłości ludzie zwykle mówią o sobie prawie wszystko. A ty nie mówisz mi nawet, co czujesz. Nigdy nie byłam zbyt wylewna i nie oczekuję wielkich wyznań. Skoro sama taka nie jestem, nie mam prawa żądać tego od innych. Ale chyba domyślam się, co czujesz. To wiele dla ciebie znaczy, prawda? Chociaż tak mało wiem, jaki właściwie jesteś. Mogę się tylko domyślać, jaki byłeś, nim mnie spotkałeś. Bardzo czułeś się osamotniony u Peg?

– Tak – przyznał. – Jechałem aż z Reno. Cały dzień sam w drodze. – Wolał nie wspominać o swej samotności, coś go przed tym powstrzymywało. Może nie chciał sprawiać wrażenia, że to właśnie pchnęło go ku Susan. Byłoby to fałszywe wrażenie.

– Nie wiem nawet, w ilu dziewczynach się kochałeś. Ani jak bardzo się angażujesz emocjonalnie. Może należysz do tych, którzy co rusz się zakochują. Albo zawsze zakochują się na długo. Chyba pora byłoby powiedzieć. Naprawdę chciałabym to usłyszeć.

– Ale niech cię to nie przygnębia.

– Och, daleka jestem od tego. Nigdy jeszcze nie dałam nikomu klucza od biura. Oprócz Zoe, oczywiście, ale ona ma własny.

– A co z kluczem do domu?

– Jeden ma pani Poppinjay. Oczywiście Walt też ma swój. Wiem, co myślisz. Nie, Bruce – dodała cicho i jednoznacznie, prawie po dziewczęcemu.

Okolo północy usłyszeli, że ktoś dobija się do frontowych drzwi. Byli już razem w sypialni. Chociaż dzwonek się nie odezwał, oderwali się od siebie i wrócili do salonu. Oboje rozczochrani.

– Ktoś tam jest – powiedziała Susan, poprawiając włosy. Bruce otworzył drzwi. Na progu stał w ciemności Milt Lumky.

– To twój mercury? – spytał. – Ten z tablicami z Nevady? – Wchodząc, podał Bruce'owi wymięty i naddarty kawałek papieru. – Pozwoliłem sobie to zdjąć. – Tym czymś były resztki nalepki z CBB, która tkwiła do niedawna na tylnej szybie.

Milt pokiwał Susan. Był zgrzany, miał rumieńce na twarzy. Nosił jasnożółtą sportową koszulę z krótkim rękawem. Nylonową i wymiętą. Do tego miękkie popielate spodnie bez paska i buty na gumowych podeszwach.

– Mało serdecznie mnie witacie – mruknął. – Ale nie możecie zabić biednego wędrowca

tylko za to, że wpadł z wizytą. Przejeżdżałem i zobaczyłem, że twój samochód ciągle tu stoi, wiedziałem więc, że jeszcze jesteś. – Nie proszony usadowił się na kanapie pośrodku salonu.

– Nie witam cię serdecznie, ale jestem bardzo zajęta – stwierdziła Susan, odwróciła się plecami do gościa i patrząc na Bruce'a, uniosła wymownie oczy ku sufitowi. Cała ta wizyta dla obojga mogła być ciężką przeprawą. Wszystko zależało od tego, jak długo Milt ma zamiar zostać.

– Ładnie sobie mieszkasz – powiedział akwizytor. Dłonie wsparł na kolanach. Wydawał się odrobinę skrepowany tym, że wdarł się do tego domu wbrew ich życzeniom, ale najwyraźniej nie zamierzał wychodzić. Pewnie nie miał za bardzo gdzie iść. – Zastanawiasz się pewnie, jak się mnie pozbyć – oznajmił basowo tonem przeprosin, ale i z dużą pewnością siebie. – Nie zostanę długo. Wychodzę z Bruce'em.

Bóg jeden wie, co Milt chciał przez to powiedzieć. Bruce poczuł ukłucie niepokoju. Coś mu podpowiadało, że ten gość będzie się plątał wkoło tak długo, aż świadomie lub mimowolnie wyrządzi jakąś szkodę... Zastanowił się, czy Susan nie żywi konkretniejszych podejrzeń. Mierzyła wprawdzie Milta niechętnym spojrzeniem, ale wyglądała na rozbawioną. Może dlatego, że Milt nie był trzeźwy. Budził w niej zarazem niechęć i wesołość. Bruce pomyślał o tych wszystkich razach, gdy sam patrzył podobnie na swoich przyjaciół, kiedy sobie popili. Należało być czujnym... w tej sytuacji nawet bardziej niż czujnym. Jednak Milt nie był wrogo usposobiony. Jak powiedział, prostu chciał z nimi trochę posiedzieć. Potrzebował towarzystwa, przyjaciół.

Tyle że wybrał sobie złą chwilę. Nie oczekiwali nikogo ani nie mieli ochoty zabawić gości. Popełnił błąd. Z jego zachowania wynikało, że już to zauważył, chociaż zapewne nie pojmował, dlaczego tak wyszło. Powinien jak najrychlej się nad tym zastanowić. Dlaczego tak chłodno go przyjęli? Bruce widział, jak taka właśnie myśl kiełkuje w umyśle Milta. Powinni się ucieszyć, chyba że łączy ich coś szczególnego... Za parę chwil odkryje zapewne, że Bruce nie zamierza wychodzić, a wtedy trzeba będzie zacząć bardzo na niego uważać.

Widok opitego piwem Milтона Lumky'ego w żółtej nylonowej koszuli wprawił Susan w całkiem nowy nastrój. Bruce nie widział jej jeszcze równie beztroskiej i napastliwej, chociaż zetknął się z ludźmi, którym sprawiało przyjemność znęcanie się nad pijanymi. Milt nie był zalany w pestkę, ale stracił panowanie nad językiem i Susan wystarczyło to, by skończyć z uprzejmością. Jakby jej kto skrzydła przyprawił: udowadniała żywo, że też potrafi powiedzieć wszystko, cokolwiek jej przyjdzie do głowy. Wyraźnie popuściła sobie cugli. Poniewierała Miltem, czując się zupełnie bezkarna, a Bruce pomyślał, że jeśli naprawdę bawi ją coś takiego, to musi w niej się kłębić mnóstwo rozmaitych emocji, którym normalnie boi się dać ujście. Lub nie wie, jak to zrobić. Uznał, że to zły znak. Susan korzystała z okazji, by zdobyć nad kimś przewagę. Bruce nie cierpiał podobnych sytuacji. Niepełnosprawni, pijani i zwierzęta nie budzili

w nim złości. Już prędzej wprawiali w przygnębienie. Przygnębienie brało się z poczucia, że powinien czasem coś dla nich zrobić, a nie wiedział, jak się do tego zabrać.

– Co zrobiłeś z marynarką? – spytała Susan. – Zostawiłeś ją gdzieś?

– W samochodzie – wymamrotał Milt.

– Nie było ci zimno bez niej?

– Nie, nie zmarzłem.

– Chciałeś powiedzieć, że nie było ci zimno.

– Myśl sobie, co chcesz – mruknął Milt. – Cześć, mała! – zawołał, patrząc gdzieś na korytarz. – Chodź do nas!

Bruce obrócił się i ujrzał Taffy w piżamie w czerwone paski. Przyszła ze swojego pokoju. Stała w progu salonu i wpatrywała się w nich.

– Ona mówi? – spytał Milt.

– Obudziła się i usłyszała twój głos – wyjaśniła Susan. – Pewnie pomyślała, że to Walt. Wracaj do łóżka – powiedziała do córki. – Przykryję cię. To nie Walt. Sama widzisz, że to nie on.

– Nazywam się Milton Lumky i jestem rurarzem z Filadelfii w Pensylwanii – odezwał się gość i wyciągnął rękę. – Nie stój tak, tylko chodź tu i siadaj.

Taffy podeszła ostrożnie.

– Czemu masz taką czerwoną twarz? – spytała.

– Nie wiem – odparł Milt, jakby dziecko zadało mu zagadkę. – No czemu mam taką czerwoną twarz?

– Ja pierwsza spytałam – zachichotała Taffy. Posadził dziewczynkę na kanapie.

– A dlaczego w listopadzie pięćdziesiątego szóstego powiedziałaś, że masz ospę wietrzną, akurat w ten wieczór, gdy zebrało mi się na wystawny obiad i tańce?

– Nie wiem – zachichotała Taffy.

– Widziałeś kiedyś dziecko, które by nie kłamało? – spytał Milt Bruce'a. – Ile masz lat? – Spojrzał na Taffy.

– Siedem i pół.

– Widzisz? – znów zwrócił się do Bruce'a.

– Ona naprawdę ma siedem i pół roku – powiedziała Susan.

– Mam coś dla ciebie – odezwał się Milt do Taffy i sięgnął do kieszeni. Wydobył z niej metalowy, cylindryczny przedmiot. – Proszę, otwierz do butelek i długopis w jednym – wyjaśnił. Przedmiot był wykonany z blachy i plastiku, z boku nosił napis SERDECZNOŚCI OD WHALEN INC. SPOKANE WASH. – To do pisania wewnątrz butelek – dodał Milt i pokazał dziewczynce, jak się tym pisze. Narysował jej kilka niebieskich linii na grzbiecie dłoni. – Nie da się wymazać. Zostanie na resztę życia. Wytatuuję cię. – Na nadgarstku narysował jej żaglówkę

z krążącymi nad masztem mewami. Taffy chichotała nieustannie, chyba z zakłopotania.

– Na co jej otwieracz do butelek? – spytała Susan.

– Będzie mogła odrywać głowy lalkom – zasugerował Milt.

Widząc gościa z dzieckiem, Bruce pomyślał, że sam nigdy nie widział dla niej miejsca w swoim związku z Susan. Nie miał z nią żadnego kontaktu, wcale też nie pragnął go nawiązywać. Ona chyba podobnie. Teraz jednak podeszła do Milтона Lumky'ego bez oporów, z dużym zaufaniem, wręcz zaciekawieniem.

Do Bruce'a dotarło, że dotąd w ogóle nie dostrzegał dzieci. Brakło mu doświadczenia w tej materii, nie wiedział, o czym z nimi rozmawiać, więc w ogóle się nie odzywał.

Susan wolałaby kogoś, kto lubi dzieci, uznał. Chociaż czy na pewno? Nijak nie próbowała go zainteresować Taffy. Może nie przywiązywała do tego znaczenia. Może chciała sama zastąpić jej całą rodzinę, odgrywać wszystkie role. Gdyby Taffy przywiązała się do niego, a on by pewnego dnia odszedł, jak Walt, Pete i zapewne jeszcze inni, Susan znalazłaby się w trudnym położeniu.

Nie po to jestem jej tu potrzebny, pomyślał. Nie o to chodzi, żebym brał Taffy na kolana, opowiadał jej bajki i bawił się z nią w to czy tamto. Po raz pierwszy Bruce poczuł, że grzęźnie w czymś nieprzyjemnym. Susan nie miała najmniejszego pojęcia o partnerstwie relacji. Wszystkie jej związki miały charakter związków zależnych. Spłynęło to na Bruce'a niczym objawienie.

Ale nie było sensu narzekać. Sam nie uczynił nic, by zbliżyć się do Taffy. Susan też nie mógł winić: pokazał jej dobitnie, że nie zauważa dziewczynki, nie zamierza się nią zajmować. Było już za późno, by to zmienić. Zresztą, gdyby podobnie jak Lumky zaczął coś w tej sprawie robić, najpewniej doszłoby do zerwania z Susan. Dość dziwnie patrzyła na Milтона: nieżyczliwie, bez satysfakcji, że ktoś interesuje się jej dzieckiem. Stała spięta i czujna, prawie że wroga, jakby czekała na byle pretekst, by strzelić palcami i kazać Taffy, żeby wyszła.

Milt sięgnął po drugi nadgarstek Tany i zaczął rysować kobiecą pierś.

– To będzie bajka o Ginie Lollobrigidzie i wielorybie – powiedział, kreśląc nadnaturalnie wielki biust. Taffy wciąż chichotała, nie wiedząc, o co chodzi. – Kiedyś, dawno temu, Gina spacerowała sobie w słonecznych Włoszech nad brzegiem morza, gdy pojawił się gigantyczny wieloryb, uchylił kapelusza i spytał: „Madame, czy nie myślała pani, żeby zatrudnić się w show – biznesie? Proszę tylko pomyśleć, z taką figurą każde inne zajęcie to zwykłe marnowanie pani czasu”.

– Starczy – ucięła Susan. Milt przerwał.

– Spokojnie, właśnie dorysowuję jej magiczny sweterek.

– Starczy – powtórzyła Susan.

– Ale magiczny sweter jest bardzo ważny – zaprotestował Milt, lecz nie wrócił już do

opowiadki. – Reszta bajki dzieje się w środowisku hurtowników bieliznianych i na pewno by cię znudziła – powiedział do Taffy i puścił jej rękę. Dziecko wcale nie było z tego zadowolone.

– Co do otwieracza i długopisu w jednym, to może go zatrzymać – oznajmiła Susan, jakby głęboko przemyślała sprawę i uznała, że może przystać na kompromis.

– Dobra – mruknął Milt, podając ów przedmiot Tafty.

– I co powiesz? – spytała Susan.

– Że coś się w człowieku przewraca, gdy nie pozwalają mu sprawić dziecku przyjemności.

– To nie było do ciebie – rzuciła Susan. – Tafty, co się mówi, gdy ktoś ci coś daje?

– Dziękuję – wyrzuciła z siebie dziewczynka, uśmiechając się sztucznie.

– Dziękuję, wujku Lumky – poprawił ją Milt.

– Dziękuję, wujku Lumky – powtórzyła i wybiegła z pokoju. Susan poszła za nią, by ją położyć do łóżka.

Milt i Bruce zostali sami w salonie.

– Miła dziewczynka – mruknął Lumky.

– Owszem.

– Nie uważasz, że jest podobna do Susan?

– Trochę. – Dotąd Bruce w ogóle o tym nie pomyślał.

– Nigdy nie wiem, co można mówić dzieciom, a czego w żadnym razie nie należy. Kiedyś przysiągłem sobie, że nie będę prawil im morałów, ale teraz przesadzam chyba w drugą stronę.

– Mnie nie pytaj o radę – zastrzegł Bruce. – O tym akurat wiem jeszcze mniej.

– Lubię dzieci – ciągnął Milt. – Żal mi ich. Ktoś tak mały jest na straconej pozycji wobec wszystkich, prócz jeszcze mniejszych dzieci, a to niewiele. – Potarł podbródek i rozejrzał się po meblach i książkach w salonie. – Ładnie tu. No i proszę, nigdy jeszcze u niej nie byłem. Wygodnie mieszka.

Bruce skinął głową. Susan wróciła do pokoju.

– Spytała mnie, dlaczego tak dziwnie pachnie ci z ust. Powiedziałam jej, że jadłeś egzotyczne potrawy, których u nas się nie podaje.

– Czemu jej tak powiedziałaś? – zdziwił się Milt.

– Nie chciałam wspominać, że piłeś piwo.

– To nie było piwo. Nie piłem piwa. W ogóle niczego nie piłem.

– Przecież wiem, że piłeś – stwierdziła Susan. – Od progu widać było po twoim zachowaniu, że piłeś. I jesteś czerwony na twarzy.

Milt jeszcze bardziej poczerwieniał.

– Mówię poważnie. Niczego nie piłem. To kwestia ciśnienia. Muszę je zbijać rezerpiną. – Wstał, sięgnął do kieszeni i wydobyl owiniętą w papierek pigułkę. – To właśnie na obniżenie ciśnienia.

Bruce i Susan zamilkli zdumieni.

– Co za czasy, wszyscy tacy podejrzliwi – mruknął tymczasem Milt. – Nikt nikomu nie ufa. A mówią, że to chrześcijańska cywilizacja. Dzieciaki kłamią, gdy spytać je o wiek, kobiety oskarżają cię o rzeczy, których nie zrobiłeś. – Wydawał się naprawdę rozdrażniony.

– Nie przejmuj się tak – zasugerował Bruce.

– Mam nadzieję, że gdy ta mała dorośnie, będzie żyła w lepszym społeczeństwie – stwierdził Milt i ruszył ku drzwiom. – Dobra, zobaczymy się, gdy znów tu przyjadę – wymamrotał całkiem bez humoru.

– Nie wściekaj się – powiedziała Susan, otwierając mu drzwi. – Tylko się z tobą drażniłam.

– Nie mam żalu – odparł, patrząc Susan prosto w oczy. Uścisnął jej dłoń, potem pożegnał się z Bruce'em. – A ty gdzie się zatrzymałeś? Zajrzę do ciebie, gdy wrócę.

– Bruce jeszcze nie znalazł sobie lokum – odpowiedziała za niego Susan.

– A to niedobrze. Trudno się odnaleźć w nowym miejscu. Ale mam nadzieję, że ci się tu podoba. Tak czy owak, będę zaglądał do was w firmie.

Życzył im jeszcze dobrej nocy i mogli zamknąć za nim drzwi. W końcu usłyszeli, jak uruchamia silnik samochodu i odjeżdża.

– Dobrze to załatwiłaś – powiedział Bruce, chociaż nie był tego wcale taki pewny.

– Uznałam, że nie ma powodu, abyś mu się tłumaczył. Myślisz, że może jeszcze wrócić? Że będzie chciał nas sprawdzać? Może coś podejrzewa. Kiepsko wyczuwam takie sprawy. Zwykle pojawiał się tylko kilka razy do roku, ale chyba wciąż go interesuję i jest przez to zazdrosny.

– Możliwe. – W głębi ducha Bruce był raczej przekonany, że Milt po prostu czuł się samotny i szukał towarzystwa.

– Gdy już wszystko zalegalizujemy, takie sytuacje skończą się jak ręką odjął – powiedziała Susan. – W przeciwnym razie ciągle coś będzie wyskakiwać. Będziesz musiał zdecydować, gdzie chcesz odbierać pocztę... I chyba jeszcze powinienesz podać swój stały adres zamieszkania komendzie uzupełnień... I zmienić prawo jazdy. Z tym zawsze jest masa roboty. A ja muszę wypełnić twoje zgłoszenie podatkowe. W końcu jestem twoim pracodawcą.

Moim pracodawcą, pomyślał Bruce. No cóż, to prawda.

– Ale to chyba jeszcze nie dość, żeby od razu brać ślub – powiedział.

Spojrzała na niego ostro.

– Nikt nie mówi o ślubie. Tyle że ja nie lubię okłamywać ludzi. Źle się wtedy czuję. Wiem, że nie robimy niczego złego, ale skrywając prawdę, mam wrażenie, jakbym się prawie przyznawała do winy.

– Z drugiej strony nie miałbym nic przeciwko temu – zauważył Bruce.

– Żeby się ze mną ożenić?

– Tak.

Oboje się zamyślili.

Pozamykali drzwi i okna, pogasili światła i ponownie przeszli do sypialni, z której wypłoszył ich Lumky. Przez długi czas cieszyli się sobą, aż nagle, całkiem bez szmeru, otworzyły się drzwi. Susan wyskoczyła naga z łóżka. W progu stała Taffy.

– Zgubiłam go – chlipnęła. – Spadł i nie mogę go znaleźć.

Susan pospieszyła do córki. W mroku widać było tylko jej gładką i bladą sylwetkę. Wyniosła Taffy z sypialni.

– Jutro go znajdziesz – powiedziała.

Bruce został w pomiętej pościeli. Serce waliło mu jak młotem. Usłyszał jeszcze, że matka i córka szepczą do siebie, po czym stuknęły zamykane drzwi i bosa Susan podeszła do łóżka. Jej skóra wydała mu się bardzo chłodna. Drżąca Susan przytuliła się do niego.

– Żeby szlag trafił Milta z tym jego otwieraczem i długopisem w jednym – powiedziała. – Taffy upuściła go za łóżko. Poszła z nim spać. Całą poduszkę popaprała tuszem czy co to jest. Już zasechł.

– Nieźle mnie nastraszyła – mruknął Bruce.

Szczupłe, chłodne ciało przyciskało się coraz mocniej. W końcu Susan oplotła go ramionami.

– Co za wieczór – westchnęła. – Ale spokojnie. Była tak zasnana, że ledwie wiedziała, co robi. Nie sądzę, by w ogóle cię zauważyła.

Bruce jednak nie mógł się już później odprężyć.

– Wiem, że to krępujące – powiedziała Susan. – Poza tym nie przywykłeś do obecności dziecka, tak jak ja. Kiedyś uczyłam dzieci. Myślenie w kategoriach dziecięcego rozumu jest dla mnie czymś naturalnym. Za żadne skarby nie możesz dokonywać projekcji swoich odczuć na ośmioletnie dziecko. Ona widziała tylko mnie. To mój pokój, oczekiwała więc, że jedynie ja w nim będę. To tylko dziecko.

Bruce spróbował sobie przypomnieć, jaki był w tym wieku. Jak wchodził do sypialni rodziców. Ledwie cokolwiek mógł odtworzyć.

– Może i tak – zgodził się.

– Od kiedy tylko przyszła na świat, zawsze byłam zamężna. Nawet gdyby cię tutaj zauważyła, uznałaby to za naturalne. Dla takiego małego dziecka mężczyźni nie różnią się wiele między sobą.

On jednak wiedział, że będzie się musiał zdecydować. Albo znajdzie sobie samodzielne lokum, albo wypadnie pomyśleć o ożenku. Ona chyba też do tego doszła.

Czy chciał się z nią żenić?

A z drugiej strony co niby tracę? pomyślał. Zawsze mogę się rozwieść.

Susan zasnęła z jego dłonią na piersi. Przycisnęła ją ręką. Czuł pod palcami, jak oddycha.

Powoli i regularnie. Zawsze tak zasypiać, pomyślał. Z dłonią na niej. Czy to właśnie jest najistotniejsze? To, a nie biuro i kombinowanie, jak tu zarobić dużo pieniędzy? Chwile podobne do tej, późną nocą... I wspólny obiad, i cała reszta.

To dlatego zatrzymałem się w Montario, pomyślał. I z tego samego powodu zaszedłem do drugstore'u Hagopiana. Ale nie musiał używać kupionych wtedy trojan. Susan miała założone coś na stałe. Wymagało tylko traktowania środkiem, który kupiła, gdy wracali do domu.

– Nie śpisz? – spytał, budząc ją.

– Nie.

– Wiesz, chyba jestem zdecydowany pociągnąć to wszystko – powiedział.

Przysunęła się i ułożyła głowę na jego ramieniu.

– Bruce, jestem znacznie starsza od ciebie.

– Wiem. Dziesięć lat. Ale nie szkodzi. Tyle że najpierw chciałbym ci coś powiedzieć.

– To powiedz.

– Byłem jednym z twoich uczniów. W piątej klasie. W czterdziestym piątym roku.

– A kogo to obchodzi, czym uczniem byłeś? – odparła i znów go objęła. – Czy to nie dziwne? To dlatego miałeś wrażenie, że skądś mnie znasz. Ja nigdy bym się nie domyśliła. – Ziewnęła umościła się i po chwili jej dłonie zsunęły się z niego bezwładnie. Rysy twarzy straciły wyrazistość. Zasnęła.

– I to by było tyle – mruknął sennie pod nosem.

Niemniej bardzo mu ulżyło.

Czwartego dnia tego miesiąca polecili do Reno i wzięli ślub. Spędzili tam trzy dni i przylecieli z powrotem. Wieczorem, przy obiedzie, powiedzieli o wszystkim Taffy. Nie wyglądała na zdziwioną. W Reno kupili jej elektryczne kręgle i to ją zaskoczyło.

Rozdział 7

Jednego z pierwszych wieczorów ich małżeństwa zastał Susan w salonie z wielkim albumem na kolanach.

– Pokaż mi – powiedziała. – Jesteś pewien? A może chciałeś tylko powiedzieć, że chodziłeś do Hobarta? – Podała mu album, a gdy usiadł obok i zaczął odwracać strony, pilnie patrzyła mu przez ramię.

– Tutaj. – Wskazał siebie na zdjęciu. Chłopak o okrągłej twarzy, z lekko ukośnymi oczami, rozczochranymi włosami i brzuchem wylewającym się znad paska. Bruce nie czuł większego powinowactwa z tym dzieciakiem, ale niewątpliwie to był on.

– To naprawdę ty? – spytała, opierając się o niego i nerwowo muskając go drżącymi palcami. Jej oddech huczał mu w ucho. – Nie wygłupiaj się. – Sprawdziła podpisy pod fotografią. – Rzeczywiście. Bruce Stevens. Chociaż nie pamiętam nikogo imieniem Bruce. Jestem pewna, że nikogo takiego nie było. – Spojrzała badawczo na fotografię. – Już wiem! Wtedy wszyscy mówili na ciebie Skip! – rzuciła triumfalnie.

– Tak.

– Teraz rozumiem. Więc to ty byłeś Skip Stevens? – Przyjrzała mu się, porównując ze zdjęciem. – Rzeczywiście. Pamiętam cię. To ciebie woźny przyłapał pod gabinetem pielęgniarki, gdy próbowałeś podglądać dziewczęta w bieliźnie.

– Tak, to prawda – przyznał Bruce, lekko się rumieniąc. Oczy Susan zrobiły się wielkie jak spodki.

– Dlaczego nie powiedziałeś wcześniej?

– A powinienem?

– Skip Stevens. Przyprawiałeś mnie o ciągły ból głowy. Byłeś ulubieńcem pani Jaffey. Pozwalała ci na wszystko. Szybko położyłam temu kres. Dlaczego... – Urwała wzburzona i odsunęła się od niego. – Wciąż wywoływałeś jakieś zamieszanie. To ty zaproszyłeś ogień w szatni, prawda?

Skinał głową.

Wyciągnęła dłoń do jego twarzy.

– Mam ochotę wytargać cię za uszy. I jeszcze dokuczałeś innym. Tym mniejszym. Byłeś przerośnięty i miałeś nadwagę.

– Rozumiesz teraz, dlaczego nie powiedziałem ci wcześniej? – spytał z lekkim wyrzutem. – Wołałem poczekać, aż nasz związek okrzepnie. Nie chciałem, by rzutowała na niego przeszłość.

Znów spojrzała na fotografię. Postukała palcem w jego sylwetkę.

– Ale byłeś bardzo dobry z arytmetyki. I świetnie przemawiałeś na akademii. Tamtego dnia

byłam z ciebie dumna. Lecz ta sprawa z podglądaniem... Dlaczego to zrobiłeś? Przecież to wstyd tak się skradać i podglądać przez dziurkę od klucza.

– A ty nigdy tego nie zapomniałaś.

– No nie.

– A potem mi to wypominałaś, ile razy ci podpadłem.

– Dziwne – powiedziała i zatrzasnęła album. – Zgadzam się, lepiej o tym zapomnijmy. Ale chcę wiedzieć jedno. Wtedy, gdy się pierwszy raz spotkaliśmy, nie poznałeś mnie od razu? Dopiero później?

– Dopiero gdy wyszedłem od Peg.

– Nie zainteresowałeś się mną, ponieważ... – Zamyśliła się. – Nie zareagowałeś tak, bo mnie rozpoznałeś. Właśnie. To nie było tak. W każdym razie nie rozpoznałeś mnie wtedy świadomie.

– Podświadomie chyba też nie.

– Nikt nie wie, co się dzieje w podświadomości.

– Rzeczywiście – stwierdził. – Nie ma co tego roztrząsać.

– Masz rację – przyznała i odłożyła album. – Porozmawiajmy o czymś innym. Mówiłam ci, że Zoe oddała mi klucz?

– Nie. – Susan wychodziła tego dnia na jakąś godzinę, ale nie wspominała, dokąd idzie ani po co.

– Jutro nie przyjdzie. Zapłacimy jej dopiero pod koniec miesiąca, ale powiedziałam jej, że się pobraliśmy i że będziemy tam siedzieli razem. Uznała, że w takim razie nie chce przychodzić. Ale oczywiście należy jej się pensja do końca miesiąca.

– Wciąż jest prawnie współwłaścicielką?

– Chyba tak. Fancourt będzie wiedział.

Bruce nie słyszał jeszcze tego nazwiska. – Kto to jest?

– Mój prawnik.

– Czy biegli rewidenci przejrzyli już księgi i ustalili aktualną wartość firmy?

Susan zaczęła się gubić.

– Przyprowadzał kogoś. Sprawdzali wszystko. Zrobili inwentaryzację. Księgi też pewnie przejrzyli.

– Nie było cię przy tym?

– Byliśmy wtedy w Reno – wyjaśniła. – Zoe siedziała na miejscu, ale to mój prawnik, a nie jej, więc nie ma się czym martwić. Nie, nie pozwoliłabym im dobrać się do ksiąg beze mnie lub bez mojego prawnika. Jest dobry w swoim fachu. I wnikliwy. Spotkałam go w czterdziestym ósmym, gdy zajmowałam się polityką. Po prawdzie to przez niego poznałam Walta.

– A co z Zoe? Sprowadziła własnych rewidentów?

– Jestem pewna, że tak.

Poddał się. Z jednej strony to nie była jego sprawa, lecz z drugiej jak najbardziej.

– Mam nadzieję, że jej nie przepłacisz – powiedział. – Że nie dasz jej za dużo tylko po to, żeby się jej pozbyć.

– Och, nie.

– Pozwól, że cię spytam jeszcze o jedno. Zdarzało się wam sprzedawać na kredyt?

– Chyba tak – odparła po chwili wahania.

– Powiedzmy, że niektórzy z tych ludzi nigdy nie zapłacą. Wtedy ty musisz pokryć straty. Pamiętasz, jakie sumy wchodziły w grę? – Sprawa dotyczyła stałych klientów, którzy otrzymywali comiesięczne rachunki za towary i usługi.

– Kilkaset dolarów. Raczej niewiele. Nie dość, by się tym przejmować.

– Ile tego narosło, od kiedy cię spotkałem? – Przypuszczał, że większość zaległości powstała całe miesiące temu.

– Biorąc pod uwagę, że poznałeś mnie wiele lat temu... – Uśmiechnęła się. – Gdy miałeś... – policzyła szybko – jedenaście lat...

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Większość jest z marca. Byłyśmy wtedy prawie na noże i myślałyśmy już o rozstaniu. Tyle że właśnie rozpadało mi się małżeństwo i miałam za dużo na głowie. Świat wkoło się sypał, więc chwilowo załagodziłam chociaż sprawę z Zoe. Jednak wiedziałam, że długo to już nie potrwa. Gdy wróciłam z Meksyku, byłam zdecydowana ją wykupić. Mówiłam ci o tym, prawda? Wtedy, gdy pierwszy raz mnie spytałeś.

Zdawało mu się, że coś o tym napomknęła, chociaż co dokładnie powiedziała, nie pamiętał.

– Bruce... – zaczęła. – A może powinnam mówić do ciebie Skip?

– Tylko nie Skip! – zaprotestował gwałtownie.

– Czy kiedy byłeś moim uczniem, miałeś o mnie fantazje seksualne? W tym wieku to powszechne.

– Nie.

– A jak mnie odbierałeś? – indagowała go ze śmiertelną powagą. – Stara pani Jaffey na wiele ci pozwalała. Czyja nie wydawałam ci się zbyt ostra?

Na to pytanie nie było prostej odpowiedzi.

– Chcesz, żebym powiedział, co myślałem wtedy czy jak to widzę dzisiaj? To nie to samo.

Zerwała się i zaczęła krążyć po salonie. Ramiona założyła pod biustem, wypychając go do góry i do przodu, jakby go nosiła na rękach. Czoło zachmurzyło się jej nieco w zamyśleniu, wargi zacisnęły.

– Jak się wtedy czułeś?

– Bałem się ciebie.

– Czułeś się winny i bałeś się, że to odkryję?

– Nie. Po prostu się bałem – odparł z przekonaniem.

– Czego?

– Tego, co możesz zrobić lub powiedzieć. Miałaś nad nami pełną władzę.

– Daj spokój – prychnęła, nie zatrzymując się. – Wiesz, że tak nie było. A rodzice? W tamtych czasach terroryzowali nauczycieli. Co chwila ktoś wylatywał z pracy. Jedna wizyta wściekłego ojca w gabinecie dyrektora znaczyła więcej niż wszystkie związki zawodowe świata. Wiesz, dlaczego odeszłam ze szkoły? – Przystanąła i uważnie wygładziła bluzkę. – Poproszono mnie o to. Musiałam. Przez politykę. To było w czterdziestym ósmym, podczas wyborów. Wstąpiłam do Partii Postępu. Działalam na rzecz Henry’ego Wallace’a. I tak, gdy przyszła pora odnowienia umowy, po prostu mi jej nie przedłużono. Poproszono mnie, żebym odeszła spokojnie i oszczędziła wszystkim zamieszania. Spytałam oczywiście o powody. – Zatoczyła ręką półokrąg. – No to mi powiedzieli, a ja nie protestowałam. To była moja wina. Podpisałam ten przeklęty Apel Sztokholmski. No i jeszcze sprawa partii. Walt mnie do tego namówił. Był aktywistą Partii Postępu. Oczywiście to już zamierzchła przeszłość.

– Nic o tym nie wiedziałem.

– Niektórzy rodzice zaczęli się skarżyć, że nauczam w duchu tego, co nazywali „wizją jednego świata”. Miałam materiały z ONZ. Gdy zaczęli mi patrzeć na ręce, odkryli, że należę do Partii Postępu. I tak poszło. Z początku byłam rozżalona, ale to już minęło. Teraz pewnie znowu mogłabym uczyć. Może nie w Idaho, ale jakimś innym stanie, na przykład w Kalifornii. Dziś wszędzie na gwałt szukają nauczycieli. Tymi swoimi nagonkami doprowadzili system edukacji do upadku... Tak zastraszyli nauczycieli, że ich praca zrobiła się diabła warta. Nauczyciel, który napomknął coś o kontroli urodzeń lub wojnie atomowej, zaraz tracił pracę. Tak więc wcale nie miałam wielkiej władzy – stwierdziła, wracając do tematu. – I jak teraz mnie widzisz? – Usiadła obok niego i położyła mu dłonie na ramionach. – Chcę szczerej odpowiedzi.

– Zawsze jestem szczery – odparł z przekonaniem.

– Nie wykręcaj się. I nie myśl, że musisz być uprzejmy, żeby mnie nie urazić. Już nie jestem nauczycielką, więc jakakolwiek opinia na ten temat ani mnie nie przygnębi, ani nie wprawi w euforię. Nie widziałam się w tym zawodzie i to akurat się nie zmieniło. Zawsze się jednak zastanawiałam, jakie są efekty mojej pracy. Gdy byłam w dołku, uważałam naturalnie, że fatalne. Dzieci są poddawane zbyt wielu przypadkowym wpływom.

Słuchał tej przemowy, wiedząc, że Susan po prostu zabezpiecza się na wypadek, gdyby miał ją skrytykować.

– Słuchaj – ciągnęła – naprawdę nie poczuję się urażona.

– Nie w tym rzecz – powiedział. Pochylił się i pocałował ją w zmarszczone czoło. Nie zareagowała. – Dla mnie to były sprawy o wiele ważniejsze niż dla ciebie. Wspominając tamte lata, nie myślę za bardzo o tobie.

– Dlaczego?

– Ty byłaś już dorosła. Uformowana. – Nie chciał wspominać, jak wielki wpływ wywarła na jego życie. – Przypuszczam, że byłem twoim najgorszym uczniem. Ale czy cokolwiek z tego wynika? Ty miałaś wielu uczniów, a mnie uczyłaś tylko rok! – To go irytowało. Dla niej to był tylko rok, a nawet mniej, bo nie przyszła do pracy zaraz po feriach. Jednak dla niego ten czas ciągnął się w nieskończoność. Czy piątoklasista potrafi sobie wyobrazić wakacje już na początku roku szkolnego? To dla niego cała wieczność. – Trzydzieścioro uczniów i tylko jedna nauczycielka – dokończył z naciskiem.

– Ale powiedz – nalegała z coraz bardziej nieszczęśliwą miną.

– Byłaś wówczas jedną z moich zmór – wyznał niechętnie.

– Chcesz powiedzieć, że kilka razy miałeś przeze mnie kłopoty. Na przykład wtedy, gdy wzięłam cię do gabinetu pana Hillingsa, bo przyłapałam cię na podglądaniu.

– Nie. To się ciągnęło. Nie chodziło tylko o jakąś jedną czy drugą sprawę. Chodzi o to, że cały czas się ciebie bałem. Co w tym takiego niezwykłego? Naprawdę nie zdawałaś sobie z tego sprawy? Nie pamiętasz, jak kiedyś Jack Koskoff nie przyszedł do szkoły, bo tak się ciebie bał?

Pokiwała powoli głową, próbując coś zrozumieć.

– Przez całe lata budziłaś we mnie lęk.

– Ale ja uczyłam cię tylko trochę dłużej niż przez półrocze! – powiedziała ze złością.

– Jednak ja dobrze cię zapamiętałem.

– Po tym, jak opuściłeś szkołę, nie miałam nad tobą żadnej, absolutnie żadnej władzy. Nigdy więcej cię nawet nie spotkałam.

– Niezupełnie. Dostarczałem ci gazety – powiedział drżącym głosem, zdając sobie sprawę, że ona tego nie pamięta.

– Naprawdę? – spytała obojętnie.

– Mieszkałaś wtedy w takim wielkim domu razem z paroma innymi kobietami. Nie przypominasz sobie, jak próbowałaś mnie skłonić, abym pobierał opłaty raz na trzy miesiące, na co odpowiedziałem, że nie wiem, czy za trzy miesiące będę tu jeszcze pracował, a jakby co, to stracę te pieniądze, bo zgarnie je następny roznosiciel?

– Coś kojarzę. To byłeś ty? – Zaśmiała się nerwowo. – Przedstawiłeś się wtedy?

Tego akurat nie był pewien. Przywitała się z nim, jakby go znała, to pamiętał. Zupełnie jakby go sobie przypominała. Ale może tylko ogólnie kojarzyła, że był jednym z jej uczniów, ale którym, tego już nie potrafiła określić. Nie pamiętała imienia. Lub nawet w ogóle było jej obojętne, kto on zacz...

– Możliwe, że tylko mi się wydawało, że mnie pamiętasz – powiedział. – Jednak witałaś się ze mną, ile razy mnie widziałaś. I pytałaś, jak czuje się moja mama.

– Nazywałam cię wtedy Skip?

– Nie. – Nie pamiętał, jak z tym było.

– Nie mieszkałam tu już potem zbyt długo.

– Niemniej ja cię pamiętam.

– To naturalne – stwierdziła z westchnieniem.

– I dość smutne, przynajmniej dla mnie. Wychodzi na to, że ani razu mnie wtedy nie rozpoznałaś.

– Dlaczego cię to smuci?

– Bo chciałem... Dotrzeć do ciebie. Wejść do twojego domu.

Wybuchnęła śmiechem.

– Przepraszam... Tak jak do Peg, przez okno?

– Nie. Chciałem, żebyś mnie zauważyła i zaakceptowała. Ilekroć przechodziłem obok twojego domu, zerkałem, czy jesteście w środku, przy herbatce lub czymś... – Niezbyt potrafił jej wyjaśnić, na czym polegała jego ówczesna frustracja.

– To nie była herbata. Chcesz wiedzieć, co pijałyśmy wszystkie cztery popołudniami, tak koło piątej, szczególnie gdy było gorąco? Mieszałyśmy sobie koktajl old fashioned, wiesz, whisky, woda, cukier i tak dalej, i piłyśmy go z filiżanek. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś... – Tu pogroziła mu palcem. – Tylko z tego powodu. No i żeby podpatrujący nas gazeciarz mógł powiedzieć: „One piją herbatę. Jakie to brytyjskie! Co za maniery!” – I znów zaniósła się śmiechem.

Tym razem Bruce nie mógł się nie uśmiechnąć.

– Musiałyśmy uważać, żeby poważnie nie podpaść. To był czterdziesty dziewiąty rok, a ja na dodatek miałam akurat te wszystkie kłopoty z radą szkolną. Mogłaś wejść. Zresztą pamiętam, że raz u nas byłeś. Kiedyś pobierałeś miesięczną opłatę, a ja nie miałam przy sobie drobnych i poprosiłam, żebyś wszedł. To było zimą. Usiadłeś w salonie, a ja poszłam na górę. Przetrzaśnęłam cały dom, szukając tych drobnych. Nie było akurat nikogo prócz mnie. W końcu znalazłam w szufladzie jednej z dziewczyn półtora dolara.

Pamiętał, jak siedział w dużym, pustym salonie z pianinem i kominkiem, a panna Reuben miotła się po piętrze, próbując wywęszyć pieniądze. Klęła przy tym zawzięcie, aż nie miał najmniejszych wątpliwości, że jej przeszkadza. Na stoliczku leżała otwarta książka... oderwał ją od lektury. Nachalny gazeciarz o wpół do ósmej wieczorem. Jak się go pozbyć? Do cholery, gdzie są drobne? Siedział tak i próbował znaleźć ciekawy temat na rozmowę, którą mógłby nawiązać, gdy panna Reuben zejdzie do salonu. Gdyby rzucił inteligentną uwagę o którejś z książek na półce... Zerknął gorączkowo na grzbiety, ale żadnej nie znał. Nerwowo odczytywał tytuły, aż jeszcze bardziej się od tego spłoszył, i gdy przyszła, nie potrafił nic wykrztusić. Przyjął pieniądze, wymamrotał: „Dziękuję, dobrej nocy”, i już go nie było.

– Pamiętam, jak byłaś ubrana – dodał tonem oskarżenia.

– Naprawdę? To ciekawe, bo ja nie pamiętam.
– Byłaś w czarnych spodniach.
– Portki toreadora. Tak. Z czarnego aksamitu.
– Nigdy nie widziałem czegoś bardziej podniecającego.
– Wcale nie o to mi chodziło. Ciągłe je nosiłam. Nawet do pracy w ogrodzie.
– Gorączkowo szukałem sposobu, żeby nawiązać z tobą rozmowę.
– Dlaczego po prostu nie spytałeś, czy nie mógłbyś trochę posiedzieć i pogadać? Ucieszyłabym się z towarzystwa. A ile wtedy miałeś lat? – spytała po chwili.

– Piętnaście.

– No cóż, moglibyśmy porozmawiać o dawnych czasach, ale założę się, że myślałeś tylko o tym, żeby zedrzeć ze mnie te podniecające portki i wziąć się do rzeczy. Czy nie tego chcą potajemnie wszyscy piętnastoletni gazeciarze? To wtedy czytuje się te tanie książeczki kupowane w sklepikach na rogu...

Mój Boże, pomyślał Bruce, a teraz ta kobieta jest moją żoną.

Nim poszła spać, napełniła wannę i wzięła kąpiel. Poszedł z nią do łazienki i usiadł na koszu z pokrywą. Obserwował ją. Susan to nie przeszkadzało, a jemu z jakiegoś powodu było bardzo potrzebne. Nie potrafił tego ani wyjaśnić, ani ocenić, czy to dobrze, czy źle.

Przez jakiś czas milczeli, bo woda szumiała zbyt głośno. Susan dołała płynu do kąpieli i utworzyło się mnóstwo różowej piany. W końcu uznała, że naleciało dość wody. Była jednak za gorąca. Ostrożnie odkręciła kurek z zimną i spora część piany opadła. Bruce miał wrażenie, że to, co robi Susan, jest niezbyt sensowne, ale nic nie powiedział. Siedział z boku i był tylko widzem.

Weszła do wody, głowę oparła na emaliowanej krawędzi wanny. Piana zakryła ją niemal całą.

– Jak we francuskim filmie – powiedział Bruce.

– No proszę, nigdy o tym nie pomyślałam. – Piany było coraz mniej. Susan zabełtała wodę i piana zaczęła znikać jeszcze szybciej.

– Powinnaś wchodzić, gdy jeszcze leci woda.

– Naprawdę? Zawsze czekam. Boję się poparzyć.

– Nie umiesz zakręcać kurków palcami u nóg?

– Boże, co za dziwaczny pomysł. Jak małpa...

Bruce, odkąd dorósł, regulował dopływ wody stopami. Napełniał wannę, aż mógł się schować cały pod wodą i nie musiał dotykać gołej emalii.

– Jest pewna różnica między mężczyzną a kobietą – powiedział.

– Jeśli to ta, o której myślę, to bądź łaskaw nie rozwijać tematu.

Włosy miała upchnięte pod plastikowym czepkiem i to też czyniło pewną różnicę. Plecy szorowała szczotką na długiej ręczce, paznokcie małą, nylonową szczoteczką. Zabawne, pomyślał, zwykła kąpiel, a ile różnic...

Moczyła się przez pół godziny. On nigdy nie spędzał w wodzie więcej niż kilka minut. Wskakiwał, ledwie kąpiel zaczynała stygnąć. Ona tylko dopuszczała gorącej.

– Teraz nie boisz się oparzyć – zauważył. Spojrzała na niego obojętnie.

Gdy już się wykapała i wytarła, owinęła się w biały ręcznik wielkości małego dywanu. Wsunęła nogi we włóczkowe pantofle, które przywiozła sobie z Meksyku, i poszła do sypialni, gdzie leżał już zgrabny stosik odzieży.

– Może jednak się nie ubiorę – powiedziała. – Zaraz i tak idziemy spać, prawda? – Kazała mu pójść do kuchni i sprawdzić, która godzina. Było wpół do dwunastej, o czym zaraz ją powiadomił.

– To zależy od ciebie – stwierdził. Podróż z Reno go nie zmęczyła. Tyle razy jeździł tą trasą samochodem, że przelot samolotem był drobiazgiem.

– Jestem emocjonalnie wyczerpana – oznajmiła, stojąc w białym płaszczu kąpielowym, wciąż wilgotna po kąpeli. – Mam jednak ochotę na coś szalonego. – Odciągnęła zasłonę. – Ale ciemna noc. Najchętniej pobiegałabym nago po ogrodzie.

– To nie najlepszy pomysł. Szczególnie po kąpeli. Możesz dostać nawrotu tej azjatyckiej grypy.

– To prawda. Ale coś muszę zrobić. Mamy jakieś jedzenie? Zróbmy coś. Umiesz gotować?

– Nie.

– Ja tego nie cierpię. W ogóle nie jestem w tym dobra. Przyszykuj coś – poprosiła przymilnie, ale po trosze tonem żądania.

Poszedł zatem do kuchni, przejrzał zapasy puszek i mrożonek.

– Mogą być krewetki w cieście piwnym? – Mieli jeszcze jedną z tych puszek piwa, które przyniósł pierwszego dnia.

– Kapitalnie – stwierdziła, siadając w ręczniku przy kuchennym stole. Dłonie położyła wyczekująco na blacie. – Pozwolę ci je przygotować. Bardzo lubię, gdy ktoś mnie obsługuje.

Usmażył więc krewetki w cieście piwnym i podał na stół. Najpierw jej, potem sobie.

– Bruce? – odezwała się, gdy jedli. – Szczerze mówiąc, niezbyt wiem, jaki jest obecnie twój status prawny w odniesieniu do firmy. Dotąd była moja, to znaczy częściowo, ale skoro się pobraliśmy...

– Wciąż jest twoja – odparł krótko, wiedząc, o co chodzi. Nie miał ochoty o tym rozmawiać.

– Ale teraz ty też masz do niej prawo. Już nie będziesz tylko pracownikiem. Stanie się naszą wspólną własnością. Powinam poprosić Fancourta, żeby mi wyjaśnił, jak to wygląda od strony prawnej. Po prawdzie myślałam już, żeby kazać mu tak przeformułować tytuł własności, abyś

był moim wspólnikiem. I tak zrobię: dam ci trzy tysiące jako darowiznę bez żadnych zobowiązań, a ty przekażesz te pieniądze Zoe, odkupując jej udział. Wtedy staniesz się równoprawnym współwłaścicielem.

– Nie, na Boga! – przeraził się Bruce.

– A to dlaczego?

– Nie zarobiłem tych pieniędzy. Chcę sam do nich dojść.

– Ale w ten sposób będziesz tylko pracownikiem, który otrzymuje co miesiąc pensję za swoją pracę.

– I dobrze. Będę kierownikiem. – Który kieruje swoją żoną i sobą, dodał w myślach. Niezbyt to wielu podwładnych. Miał jednak nadzieję, że Susan zostawi mu wolną rękę przy podejmowaniu najważniejszych decyzji. Już dała wyraźnie do zrozumienia, że ma być jej główną podporą.

– Będziesz miał pełnię uprawnień – powiedziała, kiwając powoli głową. – Będziesz mógł podpisywać zamówienia, czeki i zlecenia na reklamę w gazetach i tak dalej. Ale wiesz, jakoś dziwnie się czuję, gdy pomyślę, że to będzie nasze jedyne źródło dochodów. Dotąd żyłam inaczej. Gdy firma przynosiła straty mogłam korzystać z pieniędzy Walta. A teraz będzie musiała zapewnić utrzymanie dwojgu dorosłym i dziecku w wieku szkolnym. Dwoje i pół osoby. To znaczy, że rocznie musimy wyciągać z niej co najmniej pięć tysięcy netto.

– To daje tylko około czterystu miesięcznie.

– Nigdy nie doszliśmy do tyłu. – Odłożyła widelec. – Aż mi się zimno zrobiło. Stopy mam lodowate. Boję się. Panicznie się boję takich sytuacji.

Usiadł obok i otoczył ją ramieniem, ale pozostała sztywna.

– Pamiętaj, że zatrudniłaś fachowca – uspokoił ją, przypominając, że zaproponowała mu tę posadę, gdyż wcześniej pracował dla świetnie prosperującego sklepu dyskontowego.

– Ale nigdy jeszcze nie zarządzałeś firmą.

To go zmroziło. Odniósł wrażenie, że Susan potrafi ot tak zapomnieć o wszystkim, co dotąd mówiła, i zacząć z zupełnie innej beczki. A nawet dojść do całkiem odmiennych wniosków niż na początku.

– Już postanowione, klamka zapadła – powiedział. – Nie ma o czym gadać.

– Przepraszam. Musisz pilnować, żebym się nie wdawała w próżne dywagacje. Wiem, że to moja największa słabość. Wszyscy tak uważają. Jednego dnia mówię jedno, a następnego wpadam w panikę, zapominam, co mówiłam, i...

– Wiem, że dam radę poprowadzić firmę – stwierdził krótko. – Możemy zostawić ten temat.

Susan wyglądała na szczerze skruszoną.

– Chodźmy jeszcze gdzieś – powiedziała nagle, gdy wstawiał talerze do zlewu. – Może do jakiegoś lepszego lokalu. Trochę się rozpuściłam w Reno. Wciąż mam ochotę się bawić. Mamy

co obchodzić.

– A co z Taffy?

– Jeśli nie zabawimy zbyt długo, to nie zdąży się obudzić.

To była dla niego nowość. – A jeśli jednak?

– Nie obudzi się.

– Skoro tak mówisz... – Wytarł ręce. – Ale lepiej się ubierz.

Zniknęła w sypialni. Po namyśle zdecydowała się na prosty, ciemny kostium.

– Może być? – spytała.

Wkładając sportową marynarkę, powiedział jej, że owszem, i cicho wyszli z domu. Kilka minut później Bruce zatrzymał mercury'ego na zwirowym parkingu przed przydrożną kafejką.

– Teraz tylko brakuje, żeby kazali mi okazać dokumenty – powiedział Bruce, gdy wysiedli i ruszyli ku lokalowi.

– Chodzi o to, że wyglądasz zbyt młodo i mogą nie podać ci drinka?

– Aha – rzucił możliwie lekkim tonem. Wolał ją jednak przygotować na taką ewentualność.

Czasem naprawdę kwestionowano jeszcze jego pełnoletność.

– Wtedy wyjdziemy – powiedziała.

– Nie. Pokażę im prawo jazdy. Niech wiedzą, że wcale nie jestem za młody. – Nie chwytasz? pomyślał z ironią.

Kelnerka obsłużyła ich bez komentarzy. Lokal był cichy i ciepły. Nikt nie hałasował, bo byli jego jedynymi klientami. Siedli w boksie w głębi, z dala od szafy grającej. Po chwili weszła jednak para, mężczyzna i kobieta, wyraźnie znużeni po długiej podróży. Usiedli przy barze i sącząc napoje, rozłożyli przed sobą mapę Idaho i Utah, po czym wszczęli burzliwą, obfitującą w oskarżenia dysputę.

– Muszą być z daleka – powiedział Bruce.

– Tak – rzuciła obojętnie Susan.

Para była w średnim wieku, dobrze ubrana. Nie mogli się zdecydować, jaką drogą pojechać przez Oregon. Do wyboru mieli trzy. Kelnerka i barman nigdy nie korzystali z żadnej z nich, nie mogli więc pomóc.

– Zamienię z nimi kilka słów – oznajmił Bruce, wstał i podszedł do baru. – Znam niezłą drogę – powiedział parze, która umilkła i zaczęła pilnie słuchać. – Dwudziestą szóstą. Nigdy nie jechałem dwudziestą, ale słyszałem, że biegnie głównie przez pustynię. Dwudziesta szósta raczej lasami. Jest całkiem dobra. Mały ruch, kilka miłych miasteczek po drodze i piękne krajobrazy.

– A trzydziesta? – spytał mężczyzna.

– Znam tylko tę jej część, która biegnie przez Idaho – odparł Bruce. – Jest marna, ale do dróg w Idaho w ogóle można mieć wiele zastrzeżeń.

– Zdążyliśmy się już o tym przekonać – odezwała się kobieta – Pomyśleliśmy, że tym razem

pojedziemy przez Idaho, a nie przez Nevadę, i bardzo tego załujemy. Zwykle wybieram czterdziestkę lub pięćdziesiątkę zamiast trzydziestki. Przypomina ścieżkę dla kóz, szczególnie w kanionach. Na dodatek fatalnie ją położyli. Co rusz się sypie.

– Dalej będzie lepiej. Trzeba tylko dotrzeć do Oregonu.

– Mieszka pan gdzieś tutaj? – spytał mężczyzna.

Już chciał odpowiedzieć, że nie, ale obecnie nie byłaby to prawda.

– Mieszkam w Boise – powiedział. – Dopiero się tu przeprowadziłem. Jestem tuż po ślubie – dodał.

Mężczyzna i kobieta spojrzeli na Susan. Pomachali jej uprzejmie i pogratulowali Bruce'owi.

Kelnerka, która widocznie usłyszała, co mówił, podeszła do barmana, porozmawiała z nim chwilę i przyniosła tacę z drinkami dla Bruce'a i Susan.

– To prezent weselny – oznajmił barman z wysokości stołka.

– Dziękuję – powiedział zakłopotany Bruce.

– Jak ma na imię pańska żona? – spytała kobieta.

Bruce zaspokoił jej ciekawość, a mężczyzna powiedział, że oni nazywają się Ralf i Lois McDevitt. Ralf znał się na łowieniu łososi na muszkę. Jego firma specjalizowała się w przynętach.

Bruce zaprosił ich, by dosiedli się do niego i do Susan. Całą czwórką rozmawiali i żartowali przez jakiś czas, chociaż Bruce miał wrażenie, że Susan nie potrafi się rozluźnić i cieszyć towarzystwem. Odpowiadała uprzejmie, ale prawie w ogóle nie odzywała się pierwsza. A i wtedy mówiła cicho, beznamiętnie. I jakby w ogóle nie śledziła konwersacji.

Ralf McDevitt zapytał, w jakiej branży pracują, i Bruce wyjaśnił, że zajmują się powielaniem i przepisywaniem na maszynie. I dodał, że chce zmienić charakter firmy, przekształcić ją w sklep. Przez dłuższy czas rozmawiał potem z McDevittem na temat sprzedaży detalicznej i pozyskiwania towaru. Opowiedział mu o obu sklepach po drugiej stronie ulicy oraz japońskich przenośnych maszynach do pisania, o których słyszał od Milтона Lumky'ego. W pewnej chwili zauważył, że twarz Susan chmurnieje. Wyraźnie jej się nie podobało, że tak otwarcie mówi o sprawach firmy, wrócił więc do sprawy drogi. Przez ostatnie pół godziny rozmawiali tylko o tym. Susan w ogóle się już nie odzywała.

– Chyba na nas pora – powiedział w pewnej chwili. Miał wrażenie, że Susan jest zmęczona.

McDevittowie raz jeszcze życzyli im szczęścia, uścisnęli dłonie i podali swój adres w Kalifornii. Po ostatnim „dobranoc” Bruce i Susan wyszli z lokalu. Obok mercury'ego stał brudny buick McDevittów z torbą na wodę przymocowaną do tylnego zderzaka. Karoserie, szyby i przedni zderzak pstrzyły tysiące martwych i dogorywających owadów, a w środku rozpychały się stopy bagażu.

Bruce zdał sobie nagle sprawę, gdzie stoi. Na drodze, wiodącej w jedną stronę ku wybrzeżu,

w drugą zaś przez kolejne, coraz dalsze stany. Tysiące mil... chociaż w ciemności widział tylko kilkaset stóp. Resztę tylko wyczuwał. Coraz wyraźniej, w miarę jak zbliżał się do samochodu McDevittów.

W nozdrzach wierciła go woń rozgrzanego, rzadkiego oleju silnikowego, który zaczynał wyciekać z karteru. Po tak długiej jeździe olej pokrywał teraz cały spód silnika.

Bruce już od dawna wiedział, co oznacza ten zapach. Pojawiał się, gdy olej nadawał się już tylko do spuszczenia. Na zaworach osiadał nagar, na tłokach pojawiała się zgorzelina. Odpadające drobiny osadów wylatywały przez rurę wydechową, a wodniste resztki wyrzucało przez uszczelnienie przy wylocie korbowodu, aż oblepiały całą obudowę sprzęgła. Podczas jazdy mieszały się z kurzem drogi, truchłami owadów, żwirem i resztkami starego oleju, który wyciekł z innych samochodów. Do tego jeszcze dochodziła woń opon, zapach całego samochodu, metalu, gumy, smarów i płótna, a nawet pasażerów, którzy siedzieli cały dzień w nagrzanym słońcem pudle. Wysiadali jedynie, by skorzystać z toalety na stacji benzynowej, zjeść coś w przydrożnym barze, spytać o drogę czy sprawdzić, co tak dziwnie hałasuje na ostrych zakrętach. Dla Bruce'a było w tym zapachu coś mdlącego. Oznaczał że silnik jest na skraju wytrzymałości i trzeba go niezwłocznie wyremontować lub co najmniej gruntownie przejrzeć. Dać nowe pierścienie, a przede wszystkim wymienić olej. Bruce wyobraził sobie ten silnik rżący na górskich stokach w pasmach Sierras, pracujący z mozołem na długich prostych biegnących przez gorętszą z każdą milą pustynię. Koniec końców silnik się nie zepsuł, zmęczył się tylko, wyczerpał, robiąc to, do czego został stworzony. Przebył dzielnie siedemdziesiąt tysięcy mil. Dwadzieścia pięć razy w poprzek kraju...

– Co u diabła cię opętało, żeby paplać im o naszych osobistych sprawach? – syknęła Susan, gdy wsiedli do mercury'ego. – Własnym uszom nie wierzyłam.

– Ten gość pracuje w branży wędkarskiej. Nawet tu nie mieszka, zajrzał tylko przejazdem. W czym mogłoby nam to zaszkodzić? – spytał Bruce, przygotowując się na całą litanię oskarżeń. Nie pomylił się.

– Pierwsza zasada w biznesie to trzymać gębę na kłódkę – warknęła wściekle Susan.

– Nic się nie stało.

– To zasada. Co się podkusiło? Alkohol? Dlatego zrobiłeś się taki gadatliwy? Miałam ochotę wstać i wyjść. Pohamowałam się tylko ze względu na ciebie.

Przez jakiś czas jechali w ciszy.

– Dalej zamierzasz tak robić? – spytała w końcu Susan.

– Zamierzam robić to, co uważam za stosowne. – Naprawdę nie rozumiem... – zaczęła i urwała. – Trudno, stało się. Ale obyś w przyszłości miał lepsze wycucie sytuacji.

– O co naprawdę chodzi? – spytał Bruce, czując, że sprawa sięga głębiej.

– O nic – odwarknęła Susan, wierząc się niespokojnie, jakby by w żadnej pozycji nie było jej

wygodnie. – Bawią cię takie rozmowy o samochodach i podróżach? Myślałam, że nigdy nie przestaniesz. A jest już późno. Nie rozumiesz, że Zoe nie przyjdzie jutro do pracy? Nie otworzy firmy. My musimy to zrobić!

– Spokojnie. Jesteś zmęczona. Nie ma się czym martwić.

Całkiem nagle Susan wybuchnęła.

– Słuchaj! – warknęła zduszonym głosem. – Nie dam Zoe pieniędzy. Wciąż je mam. Zatrzymam je i zostawię ją jako współwłaścicielkę.

Bruce miał wrażenie, że wszystko wymyka mu się z rąk. Poza kierownicą naturalnie, tylko to jeszcze mógł sprawnie robić: prowadzić samochód. Jednak nawet znajoma kierownica zaczęła się zachowywać w jego dłoniach jak coś żywego. Poruszyła się sama i ledwie zdążył ją złapać.

– Nie mogę na to przystać – wykrztusiła Susan. Głos się jej rwał. – Nie mogę i już, przykro mi. Naprawdę. Jeśli nie dam jej tych pieniędzy, to wszystko jeszcze się ułoży. Będzie musiała zostać, czy tego chce, czy nie. Wiem, że potrafię to załatwić. Jak długo nie dam jej pieniędzy, wszystko jeszcze jest możliwe. Już wcześniej pytałam o to Fancourta. Ale twojej pozycji to nie zmienia. – Obróciła się do niego. W jej czarnych oczach pobłyskiwało coś szalonego. – Dalej będziesz kierował firmą. Wiem, że Zoe się nie sprzeciwi.

Bruce'owi zabrakło słów. Tylko patrzył na drogę.

– Nie wyżyjemy z tego. Nie możemy ryzykować – ciągnęła. – Nie dostrzegasz tego? Musielibyśmy zaraz zacząć osiągać zyski, bo nie mamy żadnych oszczędności. I nigdy nie zdobędziemy porządnego towaru. Masz jakieś pieniądze?

– Nie.

– Możesz je zdobyć?

– Nie.

– Więc nie możemy się na to porywać – powiedziała z goryczą, i to takim tonem, jakby ogłaszała wyrok. Wyrok na samą siebie, jak nikt inny godną żalu i współczucia.

– Obawiam się, że jeśli Zoe zostanie, to firma na pewno nie zacznie na nas zarabiać – zauważył Bruce.

– Ale będziemy mieć trzy tysiące. To właśnie nie daje mi spokoju. Gdy Zoe dostanie pieniądze, to przepadną i tyle. Rozumiesz? Zatrzymamy je i nie będziemy musieli polegać na dochodach z firmy.

– Przez jakiś czas owszem.

– Bruce, wyjedźmy stąd – rzuciła nagle Susan. – Zostawmy interes Zoe. Dlaczego by nie? Zaproponujemy jej kupno całości, powiedzmy za miesięczną pensję. Ile wyciągałeś w dyskoncie?

– Około trzech i pół setki – odparł niechętnie.

– To by nie starczyło, ale z trzema tysiącami byśmy przetrwali, dopóki nie zaczęłybyś

zarabiać więcej. Ja mogłabym przepisywać coś wieczorami. Możesz wrócić do tamtej pracy?

– Mogę. – Z niewiadomego powodu nie minął się z prawdą.

– Więc zrobmy tak – stwierdziła, zapalając się do pomysłu jak dziecko. – Przenieśmy się do Reno. To wspaniałe miasto. Powietrze jest tam o wiele zdrowsze. Sam kiedyś mówiłeś, że dlatego wolałeś tam mieszkać. Nie pamiętam kiedy, ale mówiłeś. Świetne miasto dla dziecka. Czyste i nowoczesne. I takie kosmopolityczne.

– Zgadza się.

– No i co ty na to? – Zerknęła na Bruce'a. Wyraźnie oczekiwała, że uzna to wszystko za świetny pomysł. Całą sobą domagała się od niego zgody.

– Trochę za często zmieniasz zdanie – stwierdził tylko Bruce.

– Źródła utrzymania to zbyt poważna sprawa. Muszę mieć pewność, że będzie z czego żyć. Wiem, jesteś zdolny, potrafisz kupować i sprzedawać, ale to zbyt wysoka stawka. Tu nie chodzi o ciebie, ale o możliwość zgromadzenia kapitału i interes jako taki. To zły interes. Dobrze to wiem. W odróżnieniu od ciebie tkwię w tym od paru lat.

– Chcę jednak spróbować.

– Ale to oznacza wykupienie Zoe i utratę trzech tysięcy. – Susan wyraźnie za nic nie chciała się rozstawać z gotówką i ta myśl opętała ją bez reszty. Gdy przyszło co do czego, nie potrafiła się z nią uporać.

– Wykup ją – powiedział z naciskiem Bruce. – Tak jak zamierzałaś.

– Nie – odparła słabym głosem Susan.

– Wykup ją. Spróbujemy. Jeśli mi się nie uda, to znajdę pracę, a ty będziesz mogła albo sprzedać firmę, albo poprowadzić ją samodzielnie. Zobaczymy we właściwym czasie.

– Naprawdę uważasz, że może przynieść dochód? Już teraz?

– Tak właśnie uważam – powiedział stanowczo. Głównie po to, żeby ją przekonać. Niech sądzi, że on nie ma żadnych wątpliwości.

– Moim zdaniem się mylisz.

– Nie zginiemy. Nie będziemy głodować. Najgorsze, co mogłoby się zdarzyć, to utrata twojego udziału. Jednak gdy tylko zdobyłbym pracę, znów bylibyśmy samowystarczalni. Jak każde małżeństwo możemy się wspierać nawzajem. Poza tym w odróżnieniu od większości ludzi mamy dom. Nieważne, że jeszcze nie spłacony. Nie bój się. W tym kraju nikt nie umiera z głodu.

– Chciałabym mieć trochę twojej pewności siebie.

– Daj jej pieniądze – powtórzył.

– Pomyślę o tym...

– Nie. Nie ma o czym myśleć. Po prostu przekaż jej całą sumę. Możemy od razu do niej pojechać. Obudzimy ją i rzucimy jej forszę w twarz. Gdzie ona mieszka?

– Jutro jej zapłacę – powiedziała Susan, kapitulując wobec jego zdecydowania.

W nocy tak długo wierciła się w pościeli, aż wcisnęła się pod niego. Oplatała go rękami i nogami, i przycisnęła doń mocno swe szczupłe, gładkie ciało. Wyraźnie miała zamiar tak spać, jednak on zasnąć w podobnej pozycji nie potrafił: była zbyt koścista. Potem postanowiła sprawdzić, czy nie dałoby się spędzić nocy na nim. Głowę ułożyła na jego piersi, ręce zarzuciła na szyję, nogi splątała z jego nogami. Przez długi czas przyciskała się do niego kurczowo, aż jej miednica zaczęła sprawiać ból, w końcu jednak rozluźniła się i zasnęła. Wtedy też dopiero przestała go przyduszać, choć nadal dmuchała mu głośno w ucho. To oraz łaskotanie nie pozwalało mu zmrużyć oka.

Dobrze, że chociaż ona śpi, pomyślał.

Następne, co doń dotarło, to brzęczenie budzika. Susan zsuwała się z niego, by wstać. Przeleżała na nim całą noc. Odrzucił koc i też wstał, obolały i zdrętwiały. Na nodze ciemniał mu siniak, ślad po jej twardym kolanie.

Rozdział 8

Rano Bruce przypilnował, by Susan zadzwoniła do Jacka Fancourta i poprosiła go do biura. Potem ściągnął Zoe. Gdy cała trójka była już razem, wytłumaczył wszystkim z osobna, czego po kim oczekuje, aż w końcu Fancourt przywołał Susan do porządku. Błada ze strachu wypisała czek na trzy tysiące dolarów, osuszyła go bibułą i przekazała Zoe. Atmosfera zrobiła się wręcz pogrzebowa.

Gdy tylko Zoe otrzymała czek, skinęła sztywno głową i wyszła.

Fancourt uzgodnił jeszcze kilka spraw, przejrzał parę dokumentów i też się wyniósł.

– Mam wrażenie, jakby zaraz miało się stać coś straszego. Boję się nawet wstawać. Wolę to przyjąć na siedząco – stwierdziła Susan zza biurka.

Bruce odsunął rygiel zamka. Pora była już otwierać.

– Taka sobie ceremonia – powiedział.

– Boże, mamy to już za sobą.

Jakąś godzinę później zadzwonił telefon. Gdy Bruce odebrał, okazało się że to Peg Googer.

– Słyszałam, że się ożeniłeś – zaczęła.

– Zgadza się.

W tle słyszał przytłumione głosy. Peg musiała dzwonić z kancelarii prawniczej, w której pracowała jako sekretarka, a te głosy należały najpewniej do jej kolegów i koleżanek.

– Nie do wiary – westchnęła. – Zatem to prawda? Moje gratulacje. Będę musiała posłać wam jakiś prezent ślubny.

Bruce nie odniósł wrażenia, by Peg naprawdę się cieszyła.

– Możesz sobie darować – powiedział.

– Niewiarygodne. Przecież dopiero ją poznałeś. Tamtego wieczoru. Całkiem jak w powieści. – Zachichotała nerwowo. Po jej stronie rozległ się jakiś gwar. Peg zignorowała rozmawiających.

– Wiesz, będziecie musieli wpaść razem. Wyprawimy przyjęcie na waszą cześć.

– Dobra. No to do zobaczenia.

Znów te chichoty. Pożegnał się raz jeszcze i odłożył słuchawką nie czekając, aż Peg skończy kolejne zdanie.

– Głupia dziewczucha – mruknął pod nosem. Popsuła mu humor ale postanowił się temu nie poddawać. Ostatecznie nie muszę się nią przejmować, pomyślał. Ani nią, ani innymi pustogłowymi sekretarkami. Złośliwe, paskudne istoty, które rozkoszują się życiem biurowym i cały czas kombinują gromadnie, jak by tu przyjemnie spędzić dzień pracy.

Jaki kontrast w porównaniu z Susan... Już pierwszej nocy ta różnica rzuciła mu się w oczy. Z jednej strony plotąca trzy po trzy banda urzędasów, z drugiej strony ona: z rezerwą, poważna,

może nawet trochę ascetyczna w tym czarnym swetrze. Lecz bardzo kobieca. Ktoś z innego świata niż cała ta reszta. Na dystans, zamyślona, ale godna szacunku. Warta uwagi. I najgłębszej miłości.

Susan pracowała nad maszynopisem. Siedziała przy najlepszej z kilku elektrycznych maszyn i wkręcała w nią woskową matrycę do powielania.

Nadszedł czas, by zabrać się do dzieła, pomyślał Bruce.

– Możesz przez chwilę zająć się biurem? – spytał. – Chciałbym gdzieś wyskoczyć.

– Tak – odparła z wymuszonym uśmiechem.

Przeszedł kilka kroków chodnikiem, wszedł do mercury'ego i ruszył w objazd. Zamierzał sprawdzić kilka dawnych kontaktów.

Wrócił niedługo później z samochodem pełnym przenośnych maszyn do pisania firm Underwood i Royal oraz mnóstwem rekwizytów do urządzenia wystawy. Przywiózł nawet obrotową platformę napędzaną silniczkiem elektrycznym.

– Chodzi mi o to, żeby już na pierwszy rzut oka sklep wyglądał na taki, w którym można kupić maszynę do pisania. Nową – powiedział i zaczął wnosić wszystko do środka.

Usunąwszy stare maszyny z wystawy, umył okno holenderskim płynem do szyb i gorącą wodą, po czym wziął się do malowania drewna na jasny, pastelowy kolor.

– Jutro rano urządzę nową wystawę – zapowiedział. Starczył jeden telefon w odpowiednie miejsce, by udało mu się wypożyczyć pistolet do malowania, urządzenie do mechanicznego usuwania starej farby i drabinę. Przy okazji kupił też farbę. Sam pojechał wszystko odebrać. Przebrawszy się w stare rzeczy, najpierw zdarł starą farbę z sufitu i ścian. Zasłała płatami podłogę, biurka i stare maszyny. Nie przejmował się tym, gdyż i tak zamierzał je powlec nową, plastikową okleiną.

– Mogę w czymś pomóc? – spytała Susan.

– Nie. Rób swoje.

– Jeśli zdołam – stwierdziła, wycofując się do kąta, poza zasięg spadających płatów farby.

– Chcę, żeby to jakoś wyglądało – dodał Bruce.

– Kupiłeś te wszystkie nowe maszyny? – spytała z niepokojem Susan.

– Nie. Wziąłem je w komis. Nie sądzę, byśmy wiele ich sprzedali, ale chcę pokazać ludziom, że wchodzimy w tę branżę.

Odпочyiwając po usunięciu farby, obdzwonił kilka miejsc, rozpytując o szacunkowy koszt zainstalowania neonu. W końcu uznał, że poczeka z tym do czasu, aż uzyska jedną lub dwie koncesje. Może uda się przerzucić część kosztów na producenta, a wtedy neon mógłby być większy.

Gdy zamknęli o szóstej, zabrali się z Susan do malowania. Bruce pojechał do domu i przywiózł Taffy. Kręciła się po całym biurze, podczas gdy oni pracowali. O ósmej wyskoczyli

na obiad, potem znów malowali. Susan zaczęła się w końcu do tego zapalać.

– Świetna zabawa – powiedziała, stojąc w starym, podartym fartuchu, który wcześniej należał do Zoe. Farba ściekała jej po twarzy. Włosy owinęła ręcznikiem do naczyń, niemniej szyć i ręce też miała poznaczone na kolorowo. – Bardzo twórcza praca.

– Odnowię tu wszystko – stwierdził Bruce.

Taffy dostała pędzelek z wielbłądziego włosia i zajęła się wykończeniem krawędzi. W szkole nabrała dość praktyki, malować wzorowo proste linie. To, że mogła do późna być poza łóżkiem, też jej się spodobało. Pomagała im do dziesiątej kiedy to Bruce odwiózł ją i Susan do domu, a sam wrócił jeszcze, by dokończyć malowanie. Pracował do pół do trzeciej.

To naprawdę wygląda inaczej, pomyślał, podziwiając wyniki.

Następnego dnia przyjechał wcześniej rano i zajął się wystawą. Susan pojawiła się około dziewiątej, gdy już kończył.

– I jak wygląda? – spytał.

– Wspaniale – stwierdziła, stojąc w płaszczu pośrodku biura i rozglądając się wkoło szeroko otwartymi oczami.

Skończył z wystawą i pojechał po materiały do odnowienia mebli. Wybrał okleinę o wzorze drewna sosnowego. Sprzedawano ją w rolach i przyklejało się ją tak jak fornir. Spojrzał jeszcze tęsknie na kasy, zbyt drogie, niestety, i poprzestał na maszynie do drukowania paragonów w trzech kopiach. Na razie trzeba będzie pieniądze trzymać jak wcześniej, w szufladzie.

Całe popołudnie oklejał i przybijał folię. Gdy skończył, mieli już całkiem nowy kontuar.

– Oczom nie wierzę – powiedziała Susan.

– Te nowe plastikowe okleiny to świetna sprawa – stwierdził. Potem obliczył, ile kosztowałyby pokrycie nimi wszystkich ścian. Zbyt wiele. Musiał zatem znów sięgnąć po farbę.

Ostatnim punktem programu tego dnia było kupno i zamontowanie iluminacji okna wystawowego. Zdecydował się na punktowy reflektorek, który wycelował w złocistą maszynę do pisania. Miał się palić przez całą noc. Obrotowa platforma też miała działać bez ustanku.

– Trochę to będzie kosztować, ale mamy teraz nocne oświetlenie – wyjaśnił Susan. – Rzuca też odblask do wnętrza, więc gdyby ktokolwiek się włamał, policja zaraz to zauważy.

Nowa farba sprawiła, że w środku w ogóle zrobiło się jaśniej i jakby przestronniej. Wydawało się, że sufit i ściany się cofnęły.

– I tak powiększyliśmy sklep – stwierdził Bruce.

Gdy szli do samochodu, powiedział, że jutro chciałby położyć wykładzinę podłogową. Wiedział już, gdzie będzie mógł ją kupić w cenie hurtowej.

– Czy to wszystko, wykładzina i reszta, wiele nas wyniesie? – spytała Susan.

– Nie.

– Co jeszcze chcesz zrobić?

– Zmienić front sklepu, ale do tego będzie nam potrzebny prawdziwy cieśla. Poczekam więc, aż się wzbogacimy. Może pod koniec roku. I zamierzam jeszcze pozbyć się balastu. To znaczy tych starych maszyn. Underwoodów piątek, które próbowałyście sprzedawać po piętnaście dolarów. Nie są warte tej przestrzeni, którą zajmują. Musisz nauczyć się cenić powierzchnię sklepową. W tak małym lokalu ma to szczególne znaczenie. Odnowić czy pomalować zawsze można, ale żaden sklep nie jest z gumy. – To przypomniało mu, że chciał się jeszcze rozejrzeć za nowymi lampami, takimi, które dawałyby miękkie, białe światło.

– Mam nadzieję, że nie zbankrutujemy przez samą farbę – zauważyła Susan.

– Zbankrutujemy, dopiero gdy kupimy towar – odpowiedział Bruce. To było najważniejsze. Naprawdę najważniejsze, cholera, pomyślał. Muszę mieć coś, co dobrze pójdzie!

Uzbrojony w księgi sklepu (teraz już sklepu, a nie punktu usługowego), zjawił się w miejscowym oddziale Idaho Central Bank, by porozmawiać o kredycie.

Po kilku godzinach negocjacji bank poinformował go, że będą zapewne skłonni udzielić długoterminowego kredytu w wysokości dwóch tysięcy dolarów. Ostateczną decyzję mieli podjąć dopiero za jakiś tydzień, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mógł liczyć na pozytywną odpowiedź.

Opuścił bank ze świeżym ładunkiem optymizmu.

Tego wieczoru załatwił opiekunkę dla Taffy i pojechał z Susan wiejskimi drogami na farmę, gdzie mieszkali jego rodzice, podróż po wybojach przyprawiła jego żonę o lekką chorobę lokomocyjną.

– Możemy posiedzieć tu chwilę, nim wejdziemy? – spytała, gdy zatrzymał samochód.

– I tak chciałbym wejść tam pierwszy – odparł. Nie powiedział jeszcze rodzicom, że się ożenił.

– Już mi lepiej – stwierdziła Susan. Nałożyła białe rękawiczki i kapelusz. Wystrojona, z grubą warstwą szminki, roztaczała dokoła tę samą szczególną aurę, którą dostrzegł pierwszego wieczoru. Tyle że teraz miała lekko zapadnięte policzki i podkrążone oczy. Bez wątpienia potrzebowała odpoczynku.

– Chciałbym najpierw omówić z nimi kilka spraw – powiedział, ucałował ją, wysiadł i poszedł zwirowo – gruntową ścieżką do bramy.

Stare, szare zabudowania gospodarstwa stały tam gdzie zawsze, otoczone brunatnymi, suchymi polami, na których rosły tylko chwasty i geranium. Żadnej zielonej murawy, żadnej prawdziwej zieleni oprócz bluszczu oplatającego ogrodzenie, najgęściej obok bramy. Na werandzie jaśniał rząd doniczek z kwiatami. Dalej stało wyplatane krzesło i stół z plikiem egzemplarzy „Reader’s Digest”.

I ja urodziłem się w tej ruinie, pomyślał i otworzył bramę.

Na tyłach zaszczekał głośno pies. Zza okiennic pokoju od frontu sączyło się żółte światło. Słychać było ryczący telewizor. Przed walącym się garażem stał wciąż ten sam wrak dodge'a model 1930. Bruce bawił się w nim jako dziecko.

No i mieszkalem tu jeszcze przez cały czas, gdy chodziłem do Hobarta.

Okna piwnicy zasnuwały pajęczyny, jedno nadtluczone zostało zatkane szmatami. Czyli gdy on i Frank się wyprowadzili, ojciec przestał sypiać na dole. Przeniósł się najpewniej do w któregoś z pokoiów na górze.

Ojciec sypiał za dnia, niejako, pod podłogą, gdzie stały poza tym słoje z morelami i poniewierały się wszelkie graty, w tym sporo złomu. Wstawał o dziesiątej wieczorem. Otwierał klapę w podłodze i pokazywał się na chwilę rodzinie. Golił się, zjadał coś i wychodził do roboty.

Gdy wracał rano, strzepywał z siebie biały pył: po nocy przepracowanej w piekarni Snow White był umączony od stóp do głów. Potem schodził do piwnicy, gdzie osiadał na nim inny jeszcze pył, także biały: od dłuższego czasu usiłował postawić kilka ścianek działowych i nie było widać końca tej murarki. Chciał urządzić na dole parę pokoi z łazienką i następnie je wynajmować. Podczas wojny były jednak problemy z materiałami budowlanymi. Wzdłuż podjazdu piętrzyły się zwoje drutu i sterty desek, obecnie grubo pokryte ptasimi odchodami, przerdzewiałe i przegniłe. Worki z cementem dawno już zamokły i z wolna wrosły w ziemię, aż w końcu pokryły je chwasty. Ojciec szedł spać około drugiej, a wcześniej ciągle coś piłował w piwnicy, wdychając przy tym mnóstwo pyłu drzewnego i trocin. W ogóle był w tym względzie odporny, bo latem cierpiał bez słowa także tumany pyłków kwitnących chwastów.

Stojąc na ścieżce, Bruce dojrzał w wieczornym zmierzchu, że morele na tyłach domu uschły. Dzięki Bogu, pomyślał. I tak nikt nigdy ich nie jadł: w piwnicy stały tysiące słoików, które nie doczekały się otwarcia. W dzieciństwie wynosił je na zewnątrz i ciskał w nie kamieniami, aż rozpryskiwały się, siejąc lepkiem sokiem i szkłem. Ten sok przyciągał potem szerszenie. Latem morelowe kałuże były aż żółte od odwłoków tych owadów. Nikt nie ważył się podejść do nich bliżej niż na kilka jardów.

Wszedł po paru stopniach na werandę. Deski uginały mu się pod stopami. Cały budynek podupadał. Kiedyś, wiele lat temu, dom i weranda zostały pomalowane na kolor stalowo – szary. Teraz farba obłaziła płatami i spod spodu wyglądały pasy żółtawobrazowego drewna.

Uniósł metalową kołatkę i zastukał.

Otworzyły się drzwi i w progu stanął Noel Stevens z całodniowym zarostem na twarzy, w szelkach i koszuli z podwiniętymi rękawami. Wpuścił Bruce'a bez słowa. Nieco ociężały i powolny, skinął na żonę, która krzątała się akurat w kuchni. Bruce'owi ojciec kojarzył się zawsze z robotnikiem z przełomu stuleci, masywnym, uczciwym i niezbyt rozgarniętym pomocnikiem murarskim, który przypląnąwszy ze Szwecji, trafił od razu do Minnesoty i nigdy nie nauczył się miejscowego języka, nigdy nie widział żadnego dużego miasta. Miał szeroką

twarz, gładką oprócz podbródka i policzków, długi mięsisty nos zagięty albo i złamany na samym środku. Skórę pod oczami znaczyły ciemnobrązowe ślady przypominające plamy wątrobowe.

– Proszę... kto by pomyślał – powiedział ojciec i wyciągnął czerwoną, bezwłosą dłoń. Bruce ją uściskał.

Z kuchni wyłoniła się matka. Drobną, opaloną, bystrą i uduchowioną twarz rozpromieniła się na jego widok, zalśniły jasne oczy. W domu ubierała się prosto, na modłę kojarzącą się Bruce'owi z wiejskim lub małomiasteczkowym sposobem bycia właściwym mieszkańcom Idaho. Uśmiechnęła się do niego, błysnąwszy szarawymi, półprzezroczystymi niczym plastikowy grzebień, sztucznymi zębami.

– Cześć – powiedział Bruce, ściskając nieco bezwładną i wilgotną dłoń ojca. – Jak się macie?

– Dobrze – odparł Noel Stevens. Puścił w końcu jego rękę i siadł z powrotem w fotelu. Sprężyny jęknęły pod jego ciężarem.

Matka objęła Bruce'a i pocałowała go w policzek. Odskoczyła, zanim zdążył się poruszyć.

– Miło cię widzieć! – zawołała. – Jak tam w Reno?

– Nie mieszkam już w Reno – sprostował Bruce. Usiedli. Rodzice patrzyli na niego pytająco, ojciec dość chłodno, matka serdecznie i radośnie, pilnie śledząc każdy jego ruch, łowiąc każde słowo. – Mieszkam w Boise. Ożeniłem się.

– Och! – wykrzyknęła matka, wyraźnie wstrząśnięta. Ojciec milczał.

– Dopiero co – dodał Bruce.

Ojciec wciąż się nie odzywał.

– Nie do wiary... – jęknęła matka.

– Nie mówiłby ci, gdyby to nie była prawda – pouczył ją ojciec.

– Na pewno nie – stwierdziła. – Ale i tak nie mogę uwierzyć. Co to za kobieta? – spytała, patrząc najpierw na jednego, potem na drugiego.

– Nie wiem – odpowiedział ojciec, klepiąc ją w kolano. – Uspokój się. Czy to ona siedzi w samochodzie? – spytał syna.

– Ona tam jest?! – zawołała matka i podbiegła do okna. – Skąd wiedziałeś, że ona tam jest? – spytała męża.

– Słyszałem samochód, więc wyrząłem, kto przyjechał – wyjaśnił niespiesznie.

– Przyprawdę ją – powiedziała matka, ruszając ku drzwiom. – Jak się nazywa?

– Zostań – polecił ojciec.

– Pójdę. – Wychodziła już na werandę.

– Wracaj i siadaj! – huknął na nią ojciec. Posłuchała go.

– Czemu zostawiłeś ją w samochodzie? – spytała z rumieńcem na twarzy.

– Poczekaj, to ci powie – mruknął ojciec.

– Zrobiło jej się niedobrze od jazdy – wyjaśnił Bruce.

– Powiedz jej, żeby weszła i położyła się trochę – zaproponowała matka.

– Najpierw chcę porozmawiać z wami. Nie przyprowadzę jej, dopóki nie przysięgniecie mi na Biblię, że nie będziecie dla niej nieuprzejmi.

– Nikt nie zamierza być nieuprzejmy – powiedział ojciec.

– Nie przyprowadzę jej, dopóki oboje nie zdecydujecie się zachowywać tak, jak powinniście, a nie jak macie ochotę się zachowywać.

– On ma rację – stwierdził ojciec.

– Tak – zgodziła się matka. – Ale dasz nam ją poznać?

– Po pierwsze, jest starsza ode mnie – powiedział Bruce.

– Ile starsza? – spytała matka.

– Nieważne – wtrącił się ojciec. – Bruce się z nią ożenił i to jest najważniejsze. Reszta to nie twoja sprawa.

– Dziesięć lat – odpowiedział Bruce. – Ma trzydzieści cztery lata.

Matka zaczęła płakać.

– Dziesięć lat to dużo – zauważył z powagą ojciec.

– Co wam powiedziałem?

Oboje rodzice siedzieli w milczeniu i próbowali dojść jakoś ze sobą do ładu.

– O czym chcesz najpierw z nami porozmawiać? – spytał ojciec.

– Chcę wiedzieć, jak stoicie finansowo. Bo tak, posłaliście Franka na studia, a ja musiałem zaraz po szkole iść do pracy. Po prawdzie pracowałem już, gdy chodziłem do liceum. Co będzie z prezentem ślubnym?

– Damy ci prezent ślubny – powiedział ojciec.

– Nie mam na myśli dziesięciu dolarów – dodał Bruce. – Potrzebujemy tysięcy dolarów. Sześciu albo siedmiu.

Ojciec skinął głową, jakby to akurat było dla niego oczywiste.

– Woląłem spytać was o to, zanim ją przyprowadzę – wyjaśnił Bruce. – Pieniądze mają być dla mnie, z nią nie ma to nic wspólnego. Jeśli je dostanę, będę mógł otworzyć własny interes. – Opowiedział im pokrótce o sklepie. Słuchali pilnie, ale wątpił, czy wiele zrozumieli. Byli zbyt oszołomieni niespodziewaną wiadomością. – Nie mam czasu na krążenie wkoło sprawy ani na uprzejmości. Musimy je mieć od razu. Chcę dostać je teraz, zanim ją przyprowadzę. – Ostatnie słowa wypowiedział niemal krzycząc, aż cofnęli się nieco w fotelach. Nie próbowali mu nawet przerywać. Zaskoczył ich, ale uważał, że inaczej nic nie uzyska. On mówił, oni słuchali. Wyjaśnił wszystko do końca i wreszcie otwarcie zażądał tego, po co przyszedł. – Wysłaliście Franka na studia i pora, żebyście zrobili coś także dla mnie. A teraz właśnie bardzo potrzebuję

pomocy. – Zignorował to, że Frank zdobywał jedno stypendium po drugim. – Co wy na to?

– Zawsze zamierzaliśmy ci pomóc, gdy już się zdecydujesz co chcesz robić w życiu – powiedział z godnością ojciec.

– Świetnie – stwierdził z ulgą Bruce. Pobił ich. Sama siła jego głosu starczyła, by uznali jego rację. Zapomnieli o swej oszczędności, chwilowo opuścił ich rozsądek. – Co więc możecie dla mnie zrobić? Bo chciałbym ją już przyprowadzić. Na pewno marznie, a ja obiecałem, że nie będzie długo czekała. – Zerwał się i zaczął chodzić po pokoju, żeby nie było wątpliwości, jak bardzo się niecierpliwi.

Rodzice aż się palili, by zaraz wszystko załatwić. Ojciec poszedł do jadalni po książeczkę czekową, matka pobiegła na górę po pióro. Chwilę później Noel Stevens wypisał czek na tysiąc dolarów. Oboje zapewniali przy tym, że chcieliby dać więcej. Zapłakana znów matka chciała już tylko zobaczyć Susan i pieniądze jej nie obchodziły. Ojciec mruknął tonem przeprosin, że może później, gdy się wybierze do miasta, przejrzy obligacje, które trzyma w skrytce bankowej, i coś dorzuci.

– Pójdę po nią – powiedział Bruce tonem świadczącym, że dał się udobruchać i może im przedstawić żonę.

Rodzice szli za nim aż do stopni werandy. Z niepokojem patrzyli, jak otwiera drzwiczki samochodu.

– Już mi lepiej – przywitała go Susan. – To twoi rodzice? Wolalabym nie wchodzić, ale chyba muszę. – Ostrożnie zgarnęła spódnicę i przesunęła się na siedzeniu. Przytrzymał jej drzwiczki, aż stanęła obok niego z torebką i rękawiczkami w dłoniach.

– Nie zostaniemy długo – zapowiedział, gdy wspinali się po schodkach.

– Chwieją się – mruknęła Susan.

– Zawsze się chwiały. Nie zarwą się – zapewnił i wziął ją pod rękę.

Zapaliło się światło na werandzie, w jego bladym blasku twarz Susan poszarzała nienaturalnie. Patrzący na nich z góry rodzice byli już chyba bliscy hysterii. Bruce nigdy jeszcze nie widział, aby ktoś tak intensywnie przypatrywał się innej osobie. Gdy tylko idąca powoli Susan stanęła na werandzie, matka Bruce'a zaraz ją wciągnęła do domu. Na jakiś czas obie zniknęły mu z oczu, ale z różnych stron bez przerwy dobiegały i ich głosy.

– Nikt by nie powiedział, że jest starsza od ciebie – odezwał się do niego ojciec.

To nie była prawda, ale Noel Stevens chciał dobrze.

– Ma na imię Susan – powiedział Bruce i dopiero teraz do niego dotarło, że przecież rodzice mogli ją już kiedyś spotykać chodzili przecież na wywiadówki. Szkoda, że wcześniej na to nie wpadłem, pomyślał. Ale teraz już za późno. – Nie możemy zostać długo – dodał.

– Jak ją poznałeś? – spytał ojciec.

Bruce zdał mu bardzo krótką relację.

– Więc ona jest z Boise, a nie z Reno – ucieszył się ojciec.

Jeśli się jeszcze dowiedzą, że była moją nauczycielką w piątej klasie, to pewnie zażądam, żebym zwrócił ten tysiąc, pomyślał Bruce i aż się roześmiał.

W kuchni matka pokazywała Susan serwis osobiście zdobionych talerzy, istne szkaradzieństwo, który dostali od przyjaciela mieszkającego w Europie. Susan głośno się nim zachwycała. Bruce poczuł wreszcie, że zaczyna go opuszczać napięcie.

W drodze powrotnej do Boise wstąpił jeszcze do drugstore'u. Powiedział Susan, że po papierosy, ale kupił paczkę kopert i kilkanaście znaczków pocztowych za trzy centy. Włożył czek do koperty, wypisał na niej adres swój i Susan, nakleił znaczek i dał list ekspedientowi, by go wysłał.

– Myślisz, że spodobałam się twoim rodzicom? – pytała Susan raz po raz.

– Zobaczymy – stwierdził w końcu Bruce. Nie wspomniał jej o czeku.

– Co to znaczy, że zobaczymy?

– Jeśli cię polubili, to wyrażą to konkretnie. Z takimi ludźmi jak oni, wieśniakami starej daty, wszystko zawsze wygląda prosto. Nie ma drugiego dna. Mówią i robią, co myślą. Sama się przekonasz.

– Pytam, bo nie wiem, co o tym sądzić. Twoja matka była bardzo miła, ale smutna, ojciec zaś uprzejmy, ale nie mam pojęcia, co sobie o mnie myślą.

Następnego dnia przyszła do sklepu koperta z czekiem. Otworzył ją i pokazał Susan.

– Widzisz? – powiedział. – Uznali cię.

– To nam ratuje życie, Bruce! – zawołała całkiem odmieniona Susan. – Pomyśl tylko, ile można za to kupić! – Czek podniósł ją na duchu: przez resztę dnia układała plany i rozważała różne możliwości, jakie dawał im ten zastrzyk gotówki. – Wspaniali ludzie – stwierdziła w pewnej chwili. – Powinniśmy do nich napisać albo pojechać raz jeszcze i podziękować za ten czek. Trochę dziwnie się z tym czuję, ale chyba należy go przyjąć.

– Oczywiście.

– No to może zadzwonię do nich i podziękuję?

– Pozwól, że ja się tym zajmę.

Tysiąc dolarów w gotówce pozwoliło Bruce'owi zabezpieczyć kredyt, który bank przyznał mu pod koniec tygodnia. Miał teraz dwa i pół tysiąca na zakup towarów. Ulokował pieniądze na koncie dającym cztery procent, przy czym całkowita kwota odsetek była tylko trochę niższa niż odsetki od półtora tysiąca kredytu.

Niemniej muszę wkrótce znaleźć jakąś hurtownię pełną czegoś ciekawego, uznał. W przeciwnym razie całe to pożyczanie i wypraszenie pieniędzy okaże się błędem. Na razie nie

zarabiamy, a przecież trzeba regulować bieżące rachunki.

Jeśli to potrwa dłużej, całą tę kwotę zjedzą odsetki i tyle. Zasłynę jako wynalazca nowego sposobu robienia interesów.

Do tej pory przepatrzył okolice Boise i niczego nie znalazł.

– Chyba będę musiał ruszyć w drogę – powiedział Susan.

– Dokąd? Myślisz o dłuższej trasie?

– Może do Los Angeles. Albo Salt Lake City. Lub do Portlandu. Gdzieś, gdzie znajdę porządną hurtownię. Pieniądze nie powinny czekać.

Zaczął wydzwaniać do innych stanów, żeby zdobyć wstępne rozeznanie. Dwa dni później włożył walizkę do bagażnika mercury'ego. Wóz był po przeglądzie, miał wymieniony olej i przełożone opony. Usiadł za kierownicą i ruszył drogą międzystanową numer dwadzieścia sześć w stronę Oregonu i Kalifornii.

Rozdział 9

Pierwszy odcinek drogi biegł przez cały Oregon i najbardziej na północ wysuniętą część Kalifornii. Skręciwszy na południe, Bruce przejechał przez Klamath Falls, minął granicę stanu, pokonał trudny odcinek u podnóża góry Shasta, a następnie ruszył krętą szosą do Dunsmuir i dalej, ku pełnej jezior i bystrych potoków krainie drwali.

Wczesnym rankiem zostawił górskie poręby za sobą i wjechał w upiornie gorącą, rolniczą dolinę, gdzie poczuł się na tyle zmęczony, że zatrzymał się przy pierwszym napotkanym motelu.

Na ów motel składały się dwa rzędy bardziej szałasów niż domków stojących przy żwirowej alejce. Obok drzwi recepcji rosły dwie olbrzymie agawy. W cieniu plażowego parasola spała na leżakach para w średnim wieku. Obok parkowało kilka samochodów, słychać było pokrzykiwanie dzieci bawiących się na werandach domków.

Niemniej Bruce wyłączył silnik i wszedł do recepcji. Uzgodnił, że za półtora dolara dostanie jeden domek na osiem godzin, tyle że nie będzie mu wolno się kąpać, korzystać z pościeli ani używać dużego ręcznika. Właściciel pozwolił mu skorzystać z toalety, umyć twarz i wytrzeć się ręcznikiem do rąk, a także położyć się na łóżku, byle nie tykał prześcieradeł. O ósmej rano zamknął samochód, wszedł do dusznego domku i położył się na łóżku.

O czwartej właściciel go obudził. Pojawiało się coraz więcej samochodów i domek mógł być niedługo potrzebny. Bruce założył zegarek, który zdjął do snu, wsunął buty i wyszedł powoli na wciąż palące słońce. Ledwie opuścił domek, żona właściciela i pospieszyła do środka ze świeżym ręcznikiem do rąk i mydłem.

– Gdzie tu można coś zjeść? – spytał właściciela, niskiego łysiejącego mężczyznę, wyglądającego na ponuraka.

– Dziesięć mil dalej przy stacji benzynowej jest bar – wyjaśnił tamten i oddalił się zaraz w stronę chrzęszczącego po żwirze wielkiego plymoutha pełnego ludzi. Bruce wsiadł do samochodu, zapalił silnik i wyjechał na drogę.

Gdy wypatrzył stację, podjechał pod dystrybutory, kazał zatankować do pełna i zostawiwszy wóz pod opieką obsługi, przebiegł przez szosę do baru. Siedząc nad pieczeniem z twardym konserwowym groszkiem, kawą i ciastem jagodowym, spoglądał na pracownika stacji sprawdzającego poziom wody, stan opon i akumulator w jego samochodzie.

Zjadł i zapalił papierosa. Czuł się bardzo samotny.

Całonocna jazda nie sprawiła mu przyjemności. Światła nadjeżdżających z przeciwka samochodów drażniły go bardziej niż zwykle. I jeszcze konieczność nieustannego wyężania uwagi, by nie przegapić znaków zapowiadających co ostrzejsze zakręty. Przez całą noc grało mu radio, ale przez szum zakłóceń dobiegały go tylko echa dźwięków popularnych melodii

nadawanych przez stacje zbyt odległe, by można je rozpoznać. Muzyka wlatywała jednym uchem, wypadła drugim podobnie jak słabe głosy ludzi reklamujących towary sprzedawane w sklepach, których nigdy nie miał zobaczyć.

No i oczywiście przejechał mnóstwo przebiegających przez szosę, niewyraźnych kształtów. Na pewno były wśród nich króliki i jaszczurki. I chyba jeszcze węże. Zaraz o wschodzie słońca ujrzał przed sobą dwa cudownie kolorowe ptaki. Polatywały nad szosą, potem zniknęły mu z oczu. Gdy uniósł maskę na stacji benzynowej, znalazł je oba. Martwe, zmiażdżone u podstawy chłodnicy. Przygnębiało go, że nie mógł ominąć tych wszystkich zwierzaków. Nie sposób przejechać dłuższego kawałka żadnej drogi, nie zabijając kilkunastu małych stworzeń. To, ile ich widział porożędzonych na asfalcie, przechodziło wszelkie pojęcie.

Po nocy mijał miasteczka, w których wszystkie drzwi były zamknięte, nie paliło się ani jedno światło. Budziły w nim niepokój. Bezludne, zupełnie zamarłe. Brak było nawet samochodów zaparkowanych przed ciemnymi sklepami. Stacje benzynowe też świeciły pustkami, co dla kierowcy zawsze jest niemiłym widokiem. Prędzej czy później trafiał jednak na czynną stację, zalaną potokiem świateł, z wielkimi ciężarówkami stojącymi na podjeździe z włączonymi silnikami. Obok, w barze, ich kierowcy pochłaniali kanapki z wołowiną, huczały szafy grające. Na zewnątrz szeroko otwarte drzwi toalet ukazywały białe kafelki i umywalki, papierowe ręczniki, lustra. Wchodził tam, obmywał twarz i spoglądał przez te otwarte drzwi na porębę. I na ciemność wokoło. Pustka i głucha cisza.

Gdy już przywykniesz do spędzania wieczorów w czyimś towarzystwie, pomyślał, to już przepadło. Starczy, że się dowiesz, jak to jest zasypiać i budzić się z kimś u boku. I móc przytulić się do kogoś nad ranem, w tych najchłodniejszych godzinach. To coś więcej niż tylko seks. Seks zajmuje minuty, a to trwa długo, długie spokojne godziny, gdy ona leży obok ciebie. To właśnie kładzie kres jednej z najstraszniejszych rzeczy w życiu i zapoczątkowuje coś lepszego. Lepszego niż wszystko inne.

To zmienia wszystko, pomyślał. Obejmuje wszystko, co składa się na życie.

Zupełnie się tego nie spodziewał, nie wiedział nawet, że tak może być. Jedna czy dwie noce spędzone z jakąś dziewczyną nie dawały o tym żadnego wyobrażenia. Życie z Susan przyniosło mu o wiele więcej, niż się spodziewał. Te dziewięć czy dziesięć dni całkowicie go odmieniły. Przewartościował swe poglądy, upodobania, inny miał nawet stosunek do jazdy, wrażenia z drogi...

Po posiłku odebrał samochód i ruszył dalej przez Kalifornię w kierunku Zatoki. Dotarł tam późnym wieczorem, przemknął przez most i wjechał do San Francisco. Potem znalazł zjazd z autostrady i w końcu trafił na Market Street. Zaparkował wysiadł, zmęczony, ale i podniecony.

Coś się zmieniło na Market Street. Ruszył dobrze oświetlonym chodnikiem obok wysokich, dostojnych kamienic i dopiero po chwili pojął, co to za zmiana. Zniknęły stare, dzwoniące

tramwaje. Zamiast nich przemykały przy krawężnikach ciche autobusy.

Z rękami w kieszeniach szedł w kierunku nabrzeża, aż natknął się na małe sklepiki sprzedające armijne nadwyżki, głównie menażki, mundury i buty. Przeszedł więc na drugą stronę ulicy i ruszył z powrotem. Skręcił w boczną uliczkę, a potem w jeszcze jedną. Wszędzie było mnóstwo sklepów i sklepików, czasem lepiej, czasem gorzej prosperujących. Po jakiejś godzinie zatrzymał się przed wystawą zapelnioną magnetofonami, aparatami fotograficznymi i maszynami do pisania, wśród których wypatrzył małą aluminiową maszynkę, jakiej jeszcze dotąd nie widział. Nosiła nazwę Mithrias i z tyłu odchodził od niej kabel, była więc elektryczna. Dostrzegł też pasek transmisyjny przy wałku. Miała automatyczne cofanie. Nie wyglądała na importowaną, niemniej rozpoznał w niej jedno z tych japońskich cudeniek, o których słyszał od Milta. Wprawdzie częściowo widoczna przywieszka zawierała informacje napisane całkiem poprawnym, idiomatycznym angielskim, jednak instynkt kupiecki Bruce'a podpowiadał mu, że maszyna na pewno jest japońska.

Sklep był oczywiście zamknięty, lecz Bruce już się dowiedział, co chciał wiedzieć: nowe maszyny trafiły jakoś do dystrybucji w rejonie Zatoki. Ktoś ulokował je w tym sklepiku. San Francisco i Los Angeles były z oczywistych przyczyn pierwszymi miastami, w których powinny się pojawić: musiały przybyć drogą morską, a tutaj były porty. Podobnie jak w Seattle i San Diego. Ale tu można było liczyć na większy zbył.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że nie jest to specjalistyczny sklep z maszynami do pisania. Brakło popularnych marek i materiałów reklamowych. Ot, zwykły przybytek handlu detalicznego, w którym mikroskopy sąsiadowały z połyskliwymi tkaninami i kamieniami, świecącymi w ciemności. Były jeszcze zapalniczki z macicy perłowej i cedrowe na kwiaty. Trochę sklep z pamiątkami, tyle że stawiający raczej na metal, szkło i plastik niż na typową tandetę.

To dawało nadzieję. Firma Mithrias albo nie dopracowała się jeszcze sieci przedstawicielstw, albo z jakiegoś powodu nie wycofywała ze sprzedaży maszyn, które opuściły już magazyny. Tak czy owak, pozwalała, aby handlowano nimi w zwykłych sklepach. Zapewne więc i Bruce mógłby kupić ich trochę. Oczywiście musiałby jeszcze pomyśleć, jak je dowieźć do Boise, ale przecież na początek nie potrzebowałby ich wiele.

Z drugiej strony, nie powinienem się rozdrabniać. Należałoby wziąć tyle maszyn, ile tylko się da. Nawet gdyby miał zarobić na każdej tylko po parę dolarów. Powinny trafić jak najszybciej na wystawę, i to z pompą.

Dobrze też byłoby pomyśleć o sprzedaży promocyjnej. Kup jedną elektryczną przenośną maszynę do pisania za tyle a tyle, a drugą dostaniesz za pół ceny.

Najpierw jednak musiał znaleźć hurtownię, która miałaby je na składzie. Najlepiej taką, której właściciel byłby skłonny przystać na ceny dumpingowe. Bruce gotów był iść o zakład, że

nie znajdzie jej ani w Los Angeles, ani w San Francisco, ale raczej w jakimś mniejszym mieście, gdzie pośrednicy czuli się zawsze swobodniej. Tam najprędzej mogła trafić jakaś partia tych maszyn, czy to do dyskontu, hurtowni sieci akwizycyjnej, czy do supermarketu. I raczej wciąż tam leży, bo to nie miejsce na podobne rzeczy.

Czyli miasteczka w Dolinie Kalifornijskiej. Salinas, Fresno, Stockton, Liyermore. Powinien przeczesać je wszystkie, jedno po drugim.

Tyle że to może zająć nawet miesiąc, a on miał góra tydzień. Jeśli zatem naprawdę chciał dotrzeć do tych maszyn, musiał od razu zacząć szukać hurtowni firmy Mithrias.

Cholera, pomyślał. Gdy pracował w CBB, zawsze miał mnóstwo czasu. Firma płaciła. Mógł bez pośpiechu szukać, penetrować różne zakamarki. Bywało, że ze swym szefem, Edem Scharfem, tygodniami rozważali różne kombinacje i sprawdzali oferty, aż w końcu właściciel, nie kryjąc nudy, pozwalał im cos sfinalizować.

Bruce przywołał przed oczy obraz szefa, łącznie z czarnym wąsem i innymi detalami, siedzącego pomiędzy kartonami, jedzącego lody i robiącego inventaryzację. Zawodowiec z dwudziestoletnim stażem. Zaczynał od nadwyżek armijnych, tych naprawdę interesujących, potem zajmował się hurtem artykułów spożywczych, ratalną sprzedażą chłodziarek i innego sprzętu domowego, a następnie bezpośrednią sprzedażą bez marży. W końcu trafił do braci Paretich i pomógł im otworzyć ich dyskont.

Bruce wrócił do samochodu i spojrzął na mapę. Gdyby ruszył stąd szosą numer czterdzieści albo pięćdziesiąt, to za cztery godziny byłby w Reno. Tyle trwa długi mecz baseballowy.

Była pierwsza trzydzieści. Dojechałby przed wschodem słońca. Lepiej zatem zdrzemnąć się teraz parę godzin w samochodzie, pomyślał, i dopiero potem wyruszyć, żeby pokonać Sierras za dnia. W Reno najpierw wstąpiłby do przyjaciela, wykapałby się u niego, ogolił, zmienił koszulę, może zjadł jakieś śniadanie, a następnie zajrzał do CBB i porozmawiał z Edem von Scharfem.

Zapalił silnik mercury'ego i skręcił w kierunku Oakland Bay Bridge.

Droga przez dolinę Sacramento była szeroka i równa, że trudno by szukać lepszej. Pokonał ją w całkiem dobrym czasie. Biegła przez pola, a ostatni odcinek prowadził wąskim mostem, ale nie ponad wodą, lecz całymi milami trzcin. Stalowe barierki mostu dzwoniły ostro, gdy przemykał tuż obok, co go trochę niepokoiło. Tę część drogi przebył w ciemności, ale gdy wjeżdżał do Sacramento, niebo na wschodzie zaczęło się z wolna rozjaśniać. Jeśli chciał dojechać, nim się wytoczą na szosę wielkie ciężarówki i wszelkie lokalne zawalidrogi, powinien się pospieszyć.

Zgubił się jednak w centrum Sacramento, i to pomimo że ulice wciąż były puste. Drogowskazy dla ciężarówek kierowały go w różne strony. W końcu zaczął krążyć po zacienionych drzewami uliczkach pełnych różnych bud i warsztatów z blachy falistej. Czy któraś

z nich była wylotówką z Sacramento? Minał wielki przejazd kolejowy i kilka krzyżówek z lokalnymi drogami, aż trafił na dwupasmówkę z zamkniętymi barami, sklepikami z owocami i stacjami benzynowymi po obu stronach. Skręcił w lewo, by na nią zjechać. Gdy okrążył jakieś wzgórze, ujrzał tuż za nim cztery ciężarówki z zapalonymi światłami. Grzały silniki i niebawem miały się włączyć do ruchu. Kierowcy przespali całą noc na parkingu i wracali do pracy. Dodał gazu i nie zwalniał nawet przed zakrętami.

Droga wznosiła się coraz wyżej. Zrobiła się wąska, ale wciąż była dobrze utrzymana. Sklepiki z owocami gdzieś zniknęły, obok ciągnęły się lasy. Niebo się już rozjaśniło, aż w pewnej chwili Bruce dojrzał ze szczytu wzniesienia, że zbliża się do gór.

Krótko potem przejeżdżał przez leżące na stoku miasteczko. Wszystkie domy były na palach i całe z drewna. Nie dojrzał ani śladu kamienia czy metalu, nic tylko ciemne bale. Poranne słońce wydobywało z nich lekko czerwony odcień. Wszędzie panował spokój i pustka, ale zaraz za miastem trafił na kilka kolejnych ciężarówek z zapuszczonymi silnikami. Wkrótce włączą się do ruchu, a wtedy koniec z szybką jazdą. Będzie musiał wlec się za nimi po stokach, w dół i w górę, całą drogę do Reno.

Droga wciąż biegła zakosami w górę. Liściaste lasy ustąpiły sosnowym. Trudno było uwierzyć, że ta wąska szosa to jedna z głównych arterii, oznaczona jako czterdziesta międzystanowa. Gdzie podziela się ta wspaniała wielopasmowa autostrada, którą widział pomiędzy Vallejo a Sacramento? Może wjechał na boczną trasę dla wędkarzy i narciarzy, którą omijał ruch międzystanowy? Z rzadka trafiał na znaki potwierdzające status drogi. Przez większość czasu jechał w głębokim na wysokość wozu wykopie w czerwonej ziemi. Co rusz migał mu na poboczu jakiś przykryty plandekami sprzęt budowlany.

Za kolejnym zakrętem ujrzał tył wielkiej ciężarówki. Zwolnił, zmienił bieg i wyprzedził długi pojazd. Pierwszy z wielu, pomyślał – A jeszcze nie dotarłem do przełęczy.

Był pośrodku Sierras, a w każdym razie wydana przez Standard Stations mapa powiadała, że to Sierras, bo Bruce widział przede wszystkim typowe tereny rekreacyjne połączone polnymi drogami zrytymi przez ciągniki i buldożery. Tu i ówdzie dostrzegał stosy drewna, a także śmietniska pełne papierowych talerzy i puszek po piwie. Między drzwiami kryły się pewnie domki kempingowe. Starczyłoby skrócić w którąś z tych gruntowych dróg, żeby zobaczyć całą kolonię białych bud. Dojeżdżając do przełęczy, Bruce pomyślał, że brakuje mu tu jezior.

Sam środek Sierras, pomyślał. Co za demoralizujące miejsce. Droga wznosiła się już bardzo łagodnie, po prawdzie trudno było orzec, czy naprawdę biegnie jeszcze w górę. Może trochę, na długim odcinku. Z prawej opadał dość stromy stok, ale na poboczu stało kilka samochodów. Bruce poczuł nagle, że zeszywniał, że mu zimno i musi na stronę. Zatrzymał się na nie utwardzonym poboczu i zgasił silnik.

Góry emanowały spokojem. Nie dobiegł go żaden podmuch wiatru ani dźwięk. Brakło mu tu

szerokich, otwartych przestrzeni. Otworzył drzwiczki i wysiadł niepewnie. Która to godzina? Siódma trzydzieści. Gdzie to czasem człowieka rzuci. Co za pustkowie... Obok przemknął samochód, aż zaświszczały opony. Bruce zrobił kilka chwiejnych kroków. Ręce trzymał w kieszeni i było mu ogólnie nieswojo.

To miejsce nie dla mnie, uznał. Zwykły parking wśród drzew. Chyba niezbyt wysoko położony, ale powietrze i tak było zimne, jakby rzadsze i pachniało czymś dziwnym, nieprzyjemnym. Nie sosnami czy ziemią, ale jakąś goryczką, od której nos drętwiał. Potykając się na grudach suchej ziemi, Bruce zatrzymał się w cieniu pomiędzy krzakami, ulżył sobie i jak najprędzej wrócił do samochodu.

Pewnie silnik nie będzie chciał zapalić, pomyślał, zatraskując drzwiczki. Na tej wysokości automatyczny zapłon zawsze odmawia posłuszeństwa. Przyjdzie mi tu sterczeć z tydzień... Ale silnik zapalił.

Przepuścił mknący drogą wóz, wyjechał na asfalt i po chwili minął grań kolejnego wzgórza. Skryte dotąd za grzbietami i drzewami słońce uderzyło go w oczy z taką siłą, że zaskoczony nacisnął na hamulec. Z tyłu zatrąbił na niego jakiś pikap i zaraz go wyprzedził.

Całkiem o tym zapomniałem, pomyślał. Będę teraz jechał do końca z przedpołudniowym słońcem w oczy. Nigdy jeszcze nie wydawało mu się tak wielkie.

W końcu dostrzegł jakieś jezioro, a nawet kilka. Rozpościerały się z boku, sporo niżej. Pogodne, błękitne płaszczyzny usadowione pośrodku płaskowyżu. Nad ich brzegami drzewa rosły gęściej. Patrzył na nie, jak długo mógł, ale potem narastająca stromizna drogi zmusiła go, by skupił uwagę na prowadzeniu wozu. Zjazd był znacznie ostrzejszy niż podjazd, a niektóre odcinki szosy tak niebezpieczne, że nie zauważył nawet, kiedy minął granicę stanu.

Wzgórza były coraz rzadsze i niższe, aż w końcu wyjechał na skalistą, suchą i nagą równinę. To już naprawdę musi być Nevada, pomyślał. Żadnej roślinności, ani kropli wody. Niebawem zacznie się pustynia. I rzeczywiście się zaczęła.

Podobnie jak ostatnim razem, gdy tędy jechał, pustynia wywoływała w nim niemiłe odczucia. Nie to co góry... koniec końców górskie lasy zostaną kiedyś ścięte i ku powszechnej satysfakcji odjadą na platformach ciężarówek jako użyteczna tarcica.

Tego popołudnia Ed von Scharf siedział w znajomym biurze ponad hałaśliwą halą dyskontu CBB, która zwykle bardziej przypominała targowisko niż sklep. Były szef Bruce'a dawno już przyzwyczał wszystkim, że nie należy mu przeszkadzać podczas przerwy na kawę, siedział więc sam. Na początek Bruce opowiedział mu o swoim małżeństwie i pokazał zdjęcie, które zrobili sobie w Reno w dniu ślubu.

– Starsza od ciebie? – spytał von Scharf.

– Tak. Ma po trzydziestce.

– Na pewno wiesz, co robisz?

– Jak najbardziej. – Bruce opisał szczegółowo swe plany związane z R & J Mimeographing Service.

Ed wysłuchał go z uwagą.

– Spory ruch na tej ulicy? Wielu przechodniów?

– Między jedenastą a pierwszą kręci się tam mnóstwo ludzi pracujących w pobliskich biurach.

– Mam wrażenie, że nie robisz dobrego użytku ze swej głowy. Czym na razie dysponujesz? Lokalem w dobrym punkcie i skromną kwotą na inwestycje. Mierzysz w branżę, w której jest mało swobody. Dlaczego się upierasz przy maszynach do pisania?

– Bo ten sklep je sprzedaje.

– Błąd. Czego tu się nauczyłeś? Kupować wszystko, co jest dość tanie, aby obiecywało godziwy zarobek. Powinieneś poszukać czegoś takiego, czegoś, co mógłbyś upchnąć. Warzywa czy maszyny do pisania, wszystko jedno. Upierając się przy jednym artykule, podcinasz gałąź, na której siedzisz. Wchodzisz na rynek detaliczny. Powiedzmy, że trafisz na kogoś sprzedającego te japońskie maszyny. Przecież ty nic nie wiesz o maszynach do pisania! Po drugie, wcale nie jest powiedziane, że uda ci się je kupić. Powiem ci, co jest teraz warte zachodu. Benzyna. Na wybrzeżu toczy się prawdziwa wojna benzynowa. Średnia cena detaliczna spadła tam w zeszłym miesiącu do dziewiętnastu centów za galon. Rafinerie nie mają co z nią robić.

– Nie możemy sprzedawać tam benzyny – mruknął Bruce i spytał, czy Ed nie widział gdzieś maszyn marki Mithrias.

– Nie. Nigdy o nich nie słyszałem. Z tego, co wiem, nikt ich tutaj nie ma.

– Więc teren jest dziewiczy.

– A jak sądzisz, ile ich kupisz za te dwa i pół tysiąca dolarów? Powiedzmy, że będą po sto sztuka. To tylko dwadzieścia pięć maszyn. Nonsensownie mało.

Aż do tej chwili Bruce nie próbował tego przeliczać i aż mu się zimno zrobiło.

– Nie warto zawracać sobie głowy takimi zakupami – powiedział jego były szef. – Po prostu masz za mało kapitału.

– Możliwe, że uda mi się kupić partię taniej niż za setkę od sztuki.

– Może i tak. A czego oczekujesz ode mnie?

– Przyjechałem spytać, czy nie wie pan, gdzie mógłbym znaleźć te maszyny.

– Nie wiem. Nigdy ich nie widziałem. Nie rzuciły mi się też w oczy na reklamach czy w prospektach. Ale jeśli ci zależy, to mogę rozpytać tu i ówdzie.

Zadzwoił do paru osób, w tym do jednego z braci Pareti, który bawił akurat na Wschodnim Wybrzeżu. Nikt nie słyszał o maszynach Mithrias, chociaż komuś ta nazwa brzmiała znajomo. Chyba natknął się na nią w jakimś czasopiśmie. Miało to coś wspólnego z Anglią.

– To nie to – stwierdził Bruce. – Tam chodziło o pewien odkopany grób. Bardzo stary grobowiec.

– Cóż, przykro mi. – Ed von Scharf rozłożył ręce.

– Moje zaniedbanie – powiedział Bruce. Mógł zadzwonić tu z wybrzeża i zaoszczędzić sobie drogi.

– Już lepiej byś zrobił, inwestując te pieniądze w dziecinne maszyny do pisania. Takie zabawki.

– Poważnie?

– Tak. Mógłbyś kupić je już teraz, a sprzedałbyś na Boże Narodzenie.

– Na razie może lepiej odzyskam gościa, który mówił mi o tych maszynach. Nazywa się Milt Lumky.

– A, Lumky. – Von Scharf uśmiechnął się. – Tak, jest przedstawicielem jakiejś wytwórni papieru z północnego zachodu. Mały człowiek z donośnym głosem.

– Nie wiedziałem, że pan go zna.

– Kiedyś braliśmy od niego trochę papieru. Trudno robi się z nim interesy. Ale jest sumienny. On ci mówił o tych japońskich maszynach? Biorąc pod uwagę, jaki to bystrzak, pewnie ma ich cały magazyn i szuka sposobu, by go opróżnić.

Bruce wyjaśnił, że Lumky jest obecnie w trasie, gdzieś między Seattle a Montpelier.

– To żadna przeszkoda – oznajmił von Scharf. – Zadzwoń do jego firmy i spytaj o rozkład jazdy pana Lumky'ego. Albo poproś aby mu przekazali, że chcesz się z nim spotkać. Powiedzą mu, gdy tylko się odezwie. Możesz też spytać w dowolnej drukarni na trasie jego przejazdu i poprosić, żeby zadzwonił do ciebie, gdy się u nich zjawi.

Bruce zastanowił się.

– Jego własna firma będzie chyba najlepsza.

Korzystając z telefonu CBB, zadzwonił do Whalen Paper Company i powiedział, że szuka kontaktu z Miltonem Lumkym, ich przedstawicielem na północne wybrzeże. Po chwili poinformowano go, że pan Lumky krąży pomiędzy Pocatello i Boise, ale dziewiątego bieżącego miesiąca będzie na pewno w Pocatello. Jest umówiony z właścicielem tamtejszej mleczarni, który chce zamówić kartony na mleko według nowego wzoru. Rozmówca z Whalena podał dokładny adres i godzinę spotkania. Bruce podziękował i rozłączył się.

– Dziś jest siódmy – powiedział von Scharf, pokazując kalendarz.

– Chyba pojedę do Pocatello.

– Gdybyś chciał się zatrzymać na noc w Reno, to zapraszam do siebie. Zjadłbyś obiad z moją żoną i ze mną. Jeśli o mnie chodzi, możesz się przespać na kanapie w salonie.

– Dziękuję, ale muszę już jechać.

– Pozwolisz, że dam ci radę? – spytał von Scharf.

– Oczywiście.

– Nigdy nie stawiaj wszystkiego na jedną kartę. Gdy coś się zawali, nie zostaniesz wtedy z pustymi rękami.

– Ona ryzykuje o wiele więcej niż ja – stwierdził Bruce. Jego były szef przeprosił go na chwilę, poszedł na dół, a gdy wrócił, podał Bruce’owi paczkę z firmową naklejką, jaką zawsze opatrywano zakupiony towar.

– Żeby nie było ci smutno na odjeździe – powiedział.

– Nie jest mi smutno – zaprotestował Bruce, ale otworzył paczkę. Zawierała ćwiartkę importowanej szkockiej. Ed musiał kupić ją dopiero co na stoisku monopolowym. – Dziękuję.

– Zawsze mówiłeś, że lubisz szkocką. – Von Scharf uścisnął mu dłoń, klepnął go w plecy i odprowadził na chodnik przed sklepem.

Wsiadając do samochodu, Bruce myślał o tych sześciuset milach, które będzie musiał teraz pokonać. Jednak trasę znał doskonale. Zatrzymał się jeszcze przy spożywczym, żeby kupić coś na ząb, i skręcił na drogę numer czterdzieści. Chciał nią pojechać na wschód aż do krzyżówki z dziewięćdziesiątą piątą. No to w drogę, pomyślał. Za Miltonem Lumkym. Gościem, który włóczy się po Idaho, sprzedając hurtowo papier w różnych miastach, jeździ wozem marki Mercedes Benz, nosi cytrynową koszulkę z krótkim rękawem i popielate spodnie, słucha radia w samochodzie i pali cygara White Owl.

Rozdział 10

Droga, którą obrał, wiodła niedaleko Boise i zaczął się zastanawiać, czy nie zatrzymać się w domu. Miał ochotę spędzić wieczór z Susan i Taffy. Jednak pod Winnemucca złapał gumę, co zatrzymało go na kilka godzin. Rezerwa czasowa, choć spora, poważnie się skurczyła, a Bruce chciał dotrzeć do Pocatello ze sporym wyprzedzeniem.

Musiał więc zmienić trasę, i to tak, że o trzeciej nad ranem mimo wszystko przejechał przez Boise. Oczywiście miał przy sobie klucz do domu, ale gdyby wszedł, bez wątpienia zostałby przez większość następnego dnia. Na dodatek Susan najpewniej zażądałaby pomocy w tym czy w tamtym i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w ogóle nie pojechałby dalej.

Ani teraz, ani później, pomyślał.

Przejechał zatem przez ciemne, opustoszałe Boise i zaczęła się trzydziesta międzystanowa. Najpierw bardzo długa prosta, a potem wiodąca w dół paskudnie pokręcona serpentyna. Ruch był niewielki i Bruce miał całą drogę dla siebie.

O świcie zjechał na pobocze, pokuśtykał na stronę, po czym skonany wczółgał się na tylne siedzenie. Zasnął błyskawicznie. Tuż przed południem zbudziło go słońce. Przesiadł się do przodu i ruszył dalej, aż napotkał przydrożną restaurację. Zjadł coś i trochę odpoczął. Właściciel pozwolił mu skorzystać z łazienki; ogolił się, umył górną część ciała, zmienił ubranie i spryskał się dezodorantem. Wracając do samochodu, czuł się znacznie lepiej.

Gdy ruszył, dotarło doń, że wjeżdża na teren Milтона Lumkyego. W każdej chwili mógł ujrzeć na szosie szarego mercedesa benza. A jeśli Milt będzie jechał akurat w przeciwnym kierunku? Czy powinien zawrócić i pojechać za nim? Prędzej jednak Lumky jechałby w kierunku Pocatello, Bruce zatem powinien go dogonić i trzymać się jego zderzaka. Mercury miał większą prędkość maksymalną, więc nie powinno to być trudne. A jeśli to nie będzie Milton, nie jego wóz? – zastanawiał się Bruce. Całkiem inny mercedes z kimś obcym za kierownicą? I co? Będę go ścigał całe mile, coraz dalej od Pocatello...? Chociaż ile szarych mercedesów może teraz jeździć po Idaho? A niechby tylko jeden, nie licząc wozu Milтона. I tak miałbym się z pyszna.

A może natknę się na niego na stacji benzynowej czy w przydrożnym barze. Lub motelu. W sklepiku w jakimś małym mieście, gdzie obaj zechcemy akurat kupić olejek do opalania, papierosy albo piwo. Mogę też zatrzymać się na czerwonym świetle i zobaczyć, jak idzie ulicą. Albo dostrzec go gdzieś na poboczu, drzemiącego na tylnym siedzeniu swojego wozu. Niewykluczone, że gdy dojadę do Pocatello, natrafię na niego na skrzyżowaniu. Lub gdzie indziej, gdy będzie krążył z firmową torbą. Gdziekolwiek i w każdej chwili. Wjechałem już na jego teren.

Do Pocatello dotarł o zachodzie słońca. Milt miał się zjawić w mleczarni dopiero następnego dnia rano, o dziesiątej trzydzięci, zostało więc sporo wolnego czasu. Bruce zatrzymał wóz pod Grand View Motel, wynajął pokój, poszedł z walizką na górę i położył ją na łóżku.

Całkiem możliwe, pomyślał, że następnym samochodem, który zajedzie pod ten motel, będzie właśnie szary mercedes Milta.

Wieczór był ciepły. Wchodząc pod prysznic, Bruce nie zasunął matowych szklanych drzwi miniaturowej kabiny.

Pomyślał, że warto by się dowiedzieć, gdzie jest mleczarnia. Tak więc, zaraz po prysznicu, włożył znoszoną jednorzędową marynarkę i ruszył na poszukiwania. Właściciel motelu opisał mu szczegółowo drogę i po paru minutach Bruce był na miejscu. O tej porze, rzecz jasna, nikogo tu nie było. Na tyłach, przy metalowej rampie, stał rząd pustych ciężarówek. Bruce, przygnębiony tym widokiem, wrócił do miasta. I po to, u diabła, tłułem się tysiąc mil? – pomyślał. Chociaż za dnia okolica pewnie wygląda ciekawiej.

Nie mając nic do roboty, zaczął jeździć po szosie przebiegającej przez Pocatello i wypatrywać szarego mercedesa. Zwalniał przy motelach i lustrował pojazdy stojące przed numerowanymi drzwiami pokoi lub domków. Był chyba pod każdym hotelem, wypatrzył mnóstwo marek samochodów, ale nie trafił na szarego mercedesa. Godzinami jeździł tam i z powrotem, mając oko na każde skupisko samochodów. Późną nocą ruch ustał i około drugiej Bruce miał wszystkie ulice miasta dla siebie. Nie wracał do Grand View Motel nie dlatego, że spodobało mu się to krążenie po mieście, ale po prostu nie ciągnęło go do pustego pokoju, w którym mógłby jedynie pójść spać. O trzeciej jednak był już tak zmęczony i miał tak spowolnione reakcje, że dał za wygraną. Podjechał do motelu, zaparkował, wszedł do pokoju i rozścielił łóżko.

Rano pojechał od razu do mleczarni.

W słońcu rzeczywiście wyglądała znacznie lepiej, chociaż nie dostrzegł wiele więcej oznak życia niż wczoraj. Ciężarówki zniknęły, widocznie mleko zostało przywiezione przed świtem, zabutelkowane i od razu rozesłane do klientów. W małym budynku obok hali z linią produkcyjną mieściło się biuro. Bruce otworzył drzwi i wszedł.

Za lakierowanym dębowym biurkiem siedziała kobieta w kwiecistej sukni. Wyglądała na sympatyczną, kojarzyła się z dziewczyną ze wsi. Spytała, czym może służyć, i Bruce wyjaśnił, że chciałby się widzieć z oczekiwanym tu dzisiaj panem Lumkym.

– Powinien się zjawić w każdej chwili – odparła kobieta. Wskazała mu krzesło i leżące obok egzemplarze „Saturday Evening Post”, gdyby chciał sobie poczytać. Bruce wołał jednak stanąć przy oknie z widokiem na zakładowy parking: wypatrywał szarego mercedesa. Odkąd wjechał na teren Mil – tona Lumky’ego, stało się to jego obsesją. Zupełnie jakby samochód był ważniejszy od jego właściciela.

Jakiś czas później sekretarka podeszła do Bruce'a.

– Przepraszam, ale pan Lumky właśnie dzwonił i powiedział, że nie będzie mógł się dziś spotkać z panem Ennisem.

Bruce popatrzył na nią trochę dziwnie. Nie wszystko rozumiał.

– Powiedział, że jest chory – dodała kobieta.

– Kiedy zatem się zjawi?

– Powiedział panu Ennisowi, że skontaktuje się z nim niebawem.

– Jest tutaj, w mieście?

– O tak. Gdzieś tu się zatrzymał.

– Czy wie pani gdzie?

– Nie. Powiedział tylko, że się z nami skontaktuje.

Bruce podał swoje nazwisko, zostawił namiary na motel i wyszedł.

Nie miał pojęcia, co teraz zrobić. W końcu wznowił poszukiwania z poprzedniego dnia. Jeździł po Pocatello ulica za ulicą. Prawie o niczym nie myślał, tylko krążył i wypatrywał mercedesa. Czuł, że nie może wyjechać bez spotkania. Aż do zachodu słońca nie dostrzegł znajomego szarego wozu. Ani na ulicach, ani na parkingu.

O szóstej trzydzieści zjadł w restauracji spóźniony obiad, potem zajrzał do motelu, by sprawdzić, czy Lumky nie dzwonił. Nie dzwonił. Znowu więc zaczął jeździć.

Na cóż to Lumky mógł zachorować? I jak bardzo? Może miał wypadek na drodze? Albo tylko chciał się wykręcić od spotkania w mleczarni. Niewykluczone, że w ogóle nie dojechał jeszcze do Pocatello, tylko zatrzymał się w innym mieście i telefonował stamtąd. Może nie zdążył dojechać. A jeśli pokaże się w mleczarni dopiero podczas następnej tury, za parę tygodni?

Bruce jednak nie przerwał poszukiwań.

Ruch był spory aż do dziesiątej, a później, tak jak poprzedniej nocy, zaczął słabnąć. Około pierwszej tylko czasem widywało się przemykające z rzadka, pojedyncze samochody.

O drugiej Bruce dojrzał wreszcie mercedesa.

Dostrzegł go przed sobą. Zbliżał się właśnie do skrzyżowania, a mercedes przemykał na żółtym świetle. Bruce musiał się zatrzymać. Gdy światła znów się zmieniły, ruszył jego śladem. Poznał go po charakterystycznym układzie tylnych świateł. Tablicy rejestracyjnej nie mógł odczytać, niemiecki wóz wciąż był za daleko. Może to inny mercedes, pomyślał. W nocy wszystkie samochody są szare. No, prawie wszystkie, z wyjątkiem tych w bardzo jasnych, pastelowych kolorach. W końcu zrównał się ze ściganym wozem i odczytał napis wymalowany na drzwiczkach:

WHALEN PAPER PRODUCTS
REJON PÓŁNOCNO-ZACHODNI

Zatem to był Lumky. Bruce przycisnął kilka razy klakson. Na ulicy było ciemno i nie widział Lumky'ego, nie był też pewien, czy akwizytor go pozna. Mercedes jechał dalej. Bruce trzymał się go, czasem z przodu, czasem obok. Tuż przed granicą miasta tamten przyspieszył. Bruce zrobił to samo.

Przy znaku stopu zajechał mu drogę. Zaciągnął błyskawicznie ręczny hamulec i wyskoczył ku mercedesowi, który już zaczął się cofać, żeby objechać mercury'ego.

– Hej! – zawołał, stukając w drzwiczki.

Mercedes jeszcze się cofnął, potem kierowca zmienił biegi i ruszył do przodu, skręcając tak gwałtownie, że Bruce musiał uskoczyć. Zdołał jednak złapać za klamkę i otworzyć drzwiczki.

Za kierownicą siedziała wystraszona dziewczyna o wielkich oczach. Miała na sobie fałdzistą sukienkę, bardzo jasne włosy spływały jej długimi kędziorami. Przypominała wypucowaną do połysku uczennicę podstawówki. Bruce pomyślał, że nie może chyba mieć więcej niż szesnaście czy siedemnaście lat.

– Szukam Milta – powiedział, czepiając się drzwiczek wciąż jadącego samochodu.

– Co?! – pisnęło dziewczę.

– Zatrzymaj wreszcie ten wóz, do cholery! – warknął Bruce. – Wiem, że należy do Milta. Na co zachorował?

Dziewczyna nacisnęła na hamulec. Na nogach miała domowe pantofle.

– Milt Lumky? – spytała piskliwym sopranem.

– Przyjechałem aż z Reno, żeby się z nim spotkać – sapnął trochę bez związku Bruce.

– Chwilę – powiedziała dziewczyna, patrząc na niego. – Niech się uspokoję.

– Zjedź na bok – polecił Bruce, bo inne samochody zaczęły już na nich trąbić. Pobiegł do mercury'ego, wskoczył na fotel i zjechał do krawężnika. Mercedes zaparkował tuż za nim. Tym razem Bruce podszedł od strony pasażera. Poruszył klamką i dziewczyna mu otworzyła. Nie była już wystraszona, ale jasna twarz o delikatnych rysach wciąż wyglądała dziecinnie. Aż dziwne, że ktoś taki mógł prowadzić ten samochód. Ona w ogóle nie powinna siadać za kierownicą, pomyślał Bruce: stopami ledwie sięgała pedałów, a na fotelu musiała ułożyć sobie poduszkę. Bruce zauważył jeszcze, że ma wstążkę wplecioną we włosy. Przód sukienki był rozcięty, ale dziewczyna nie miała szczególnie kobiecej figury. Sukienka była dziecięca i leżała jak na ciele dziecka.

– Jest pan przyjacielem Milta? – spytała cicho.

– Tak. Próbowalem spotkać się z nim w mleczarni.

– Nie mógł się stawić na spotkanie. A ja pojechałam, żeby znaleźć jakiś otwarty jeszcze spożywczy i kupić mu mrożony sok pomarańczowy.

– Gdzie jest Milt?

– Zatrzymał się u mnie. Pomieszkujemy razem.

To dlatego Bruce nie mógł znaleźć mercedesa przed żadnym motelem.

– Widziałem jakiś otwarty sklep – powiedział Bruce. Przejechał tyle ulic, że chyba zdążył już poznać całe Pocatello. – Pokażę gdzie, jeśli pani za mną pojedzie.

Niebawem zatrzymali się przed porządnym sklepem spożywczym, jednym z tych prowadzonych całą rodziną, którego światła i neon wciąż się paliły.

– Jak się pan nazywa? – spytała dziewczyna, gdy wchodzili. Powiedział jej. – Nigdy o panu nie wspominał – zauważyła.

– Nie wiedział, że przyjadę.

Bruce poczekał, aż sprzedawca zadzwoni kasą, i spytał dziewczynę o adres. Podała mu go. Teraz, nawet gdyby przypadkiem się rozdzielili, wiedziałby już, gdzie szukać Milta. Poczul się podbudowany. I czym się tu martwić? Jedna szansa milion... a tu namierzył Lumky'ego po dwóch dniach jeżdżenia po mieście. Tylko dlatego, że Miltowi zachciało się mrożonego soku pomarańczowego.

Normalnie Bruce nie liczyłby na szczęście, ale tutaj, na terenie Miltona Lumky'ego, wydało mu się to całkiem naturalne, nie był więc zaskoczony, gdy mu się powiodło.

Już przed sklepem dziewczyna spytała, po co właściwie chce się widzieć z Miltem. W pantoflach bez obcasów sięgała mu ledwie do drugiego guzika koszuli. Musiała mieć z pięć stóp i może cal. W lepszym świetle dostrzegł, że jej skóra jest sucha i bardziej szorstka niż u dziecka, a gdy sięgała po torbę z zakupami, przekonał się, że i jej dłonie nie są dziewczęce. Palce miała krótkie i grube, kłykcie pocierane i czerwone. Paznokcie, kiedyś pomalowane, były nierówne, wyraźnie skutkiem systematycznego obgryzania. Na dłoniach widać było głębokie bruzdy, ramiona zaś miała, co zdziwiło Bruce'a, muskularne. Nosila bluzkę bez rękawów, dojrzał więc na jej ramieniu białą bliznę po szczepieniu, która bez wątplenia powstała przed wielu laty. Na jednym z palców dostrzegł złotą obrączkę, prawdopodobnie ślubną.

Odparł, że chciał pogadać z Miltem o interesach, i dziewczyna skinęła głową. Najwyraźniej wyjaśnienie ją zadowoliło. Gdy zapytał, kim jest, powiedziała, że nazywa się Cathy Hermes. Jej mąż, Jack, mieszka gdzieś w Pocatello, ale nie z nią. Od roku żyją w separacji. Milta spotkała u siebie w pracy, czyli w biurze ratusza Pocatello, gdzie jest maszynistką. Milt wpadł z dostawą papieru dla magistratu. Od paru miesięcy mieszkają już razem, tak jakby byli małżeństwem.

– Jak długo Milt jest już w Pocatello? – spytał Bruce, gdy wracali do samochodu.

Odpowiedziała, że prawie tydzień. Nie zamierzał przyjeżdżać tak wcześnie, ale musiał zjechać z drogi z powodu choroby. W drodze na wschód dojechał przez to tylko do Montpelier.

– Co mu jest? – zaniepokoił się Bruce, przytrzymując drzwi mercedesa.

Stwierdziła, że żadne z nich nie wie dokładnie, a jeśli nawet Milt czegoś się domyśla, to nie chce powiedzieć. Chronicznie cierpi na rozmaite stany zapalne, jak wyjaśniła. Za kilka minut

Bruce sam się przekona, jej mieszkanie jest całkiem niedaleko.

Wsiadł do mercury'ego i jechał, trzymając się tylnych świateł mercedesa tak długo, aż dziewczyna skręciła na podjazd przy ulicy z blokami mieszkalnymi i wjechała do drewnianego garażu bez drzwi. Zatrzymał się za nią, na samym podjeździe. Cathy podeszła do niego z zakupami w ramionach.

– To na górze – powiedziała. – Możemy wejść od tyłu. – Poprowadziła go zewnętrznymi drewnianymi schodami obok wiszącego na sznurach prania, butelek i doniczek z kwiatami. Minęli kilkanaście drzwi, aż w końcu dotarli na najwyższe piętro. Starając się nie upuścić torby, wyciągnęła klucz i otworzyła drzwi. Weszli do środka. Korytarz pachniał mydłem.

Gdy zapaliła światło, Bruce odkrył, że trafił do bardzo starego budynku. Rury i armatura były z mosiądzu, a na ścianach wisiały kinkiety przypominające świeczniki. Zauważył też zdobione jajowate klamki, jakie pamiętał z dzieciństwa. Ściany pomalowano na żółto. Korytarz był dość wąski, ale frontowy pokój całkiem obszerny, z wysokim sufitem. Nie było tu elektrycznych świeczników, lecz typowa lampa z przewodem zwieszającym się do podłogi i podłączonym gdzieś do gniazdka w ścianie.

– Milt – odezwała się dziewczyna, znikając w drugim pokoju. – Jedną chwilę – powiedziała do Bruce'a, odnosząc torbę z zakupami do kuchni. Czekał. W pokoju było chłodno. Dziewczyna zaszeleściła zapalkami i zapaliła stary, czarny piecyk.

– Milt – powtórzyła, mijając ponownie Bruce'a. – Jest tu ktoś, kto przyjechał aż z Reno, żeby z tobą porozmawiać. – Zamknęły się za nią drzwi drugiego pokoju i Bruce nic więcej nie zobaczył ani nie usłyszał. Znow mógł tylko czekać.

Po chwili dobiegły go jakieś szmery. Przytłumiony męski. Potem głos dziewczęcy. Chyba się spierali. W końcu jednak ucichli.

Dziewczyna wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

– Nie obrazi się pan, jeśli nic dziś nie wyjdzie z tego spotkania? – spytała.

– Przeżyję – odparł Bruce, chociaż jego cierpliwość była już na wyczerpaniu.

Dziewczyna przeszła do kuchni i zaczęła przygotowywać sok.

– Jakże ma objawy? – spytał Bruce.

– Ciągłe gorączkuje i jest osłabiony. Ma też opuchliznę pod oczami i kłopoty z oddawaniem moczu.

– Wygląda to na zapalenie nerek.

– Owszem – przytaknęła Cathy, przelewając sok do słoiczka po majonezie. – Bierze jakieś pigułki. Przejdzie mu. Już jest lepiej niż wczoraj.

– Powiedziała mu pani, jak się nazywam?

– Na razie jest zbyt otepiały.

– Więc nie wie, kto przyjechał?

– W tej chwili nie nadaje się do przyjmowania gości. Trzeba poczekać, aż mu się poprawi. – Nie wspomniała ani słowem, czy powiedziała Lumky’emu, kto z nią przyszedł. – Jestem pewna, że później będzie chciał z panem porozmawiać.

Bruce stwierdził, że nie może się na dłużej zatrzymać w Pocatello.

– Może jutro – odparła. – Gdy obudzi się rano, będzie pewnie w lepszym stanie. Teraz niezbyt wie, co mówi. Jeśli chce pan z nim rozmawiać o interesach, to lepiej będzie poczekać.

Z drugiego pokoju dobiegły ich przytłumione hałasy. Dziewczyna odstawiła sok i wyszła z kuchni. Bruce usłyszał, że rozmawia z Miltem. Przeszła kilka razy między jednym pokojem a drugim. Słysząc było szum wody nalewanej do miski, jakieś ciurkanie, jej kroki. I znowu kilka słów.

– W takim razie wpadnę jutro rano – powiedział Bruce, gdy dziewczyna wróciła.

– Dobrze. Skoro on nie śpi, to wypuszczę pana frontowymi drzwiami. – Przeprowadziła go przez pokój, w którym leżał zawinięty w koce Milt. Głowę trzymał na białej poduszce. Mijając go, Bruce przekonał się, że to na pewno Milt Lumky. Oczy miał zamknięte, oddychał hałaśliwie. Ręce i twarz miały niezdrowy kolor, cały pokój zalatywał chorobą. Na podłodze przy kanapie stała cała bateria szklanek, garnuszków i fiolek z lekarstwami.

Przytrzymując drzwi, dziewczyna wypuściła go na korytarz.

– Dobranoc – powiedziała, zamykając energicznie za nim. Tak czy owak, Bruce’owi udało się zobaczyć Milta i przekonać, że to na pewno on.

Wrócił do motelu.

Rozdział 11

Gdy następnego dnia rano zjawił się przed starym domem, natknął się na zamknięte drzwi i kartkę:

Szanowny panie

Pan Lumky poczuł się dziś lepiej i pojechał na spotkanie do mleczarni. Ja jestem w pracy. Wrócimy około piątej trzydzieści.

Pozdrawiam serdecznie Cathy Hermes

Nacisnął guzik dzwonka. Nic. Z czym mu się to kojarzyło? No tak, z tym wieczorem, gdy wrócił po marynarkę do pustego i zamkniętego domu Peg Googer, wszedł przez okno i natknął się na Susan leżącą na łóżku i palącą papierosa. Chociaż nie, to było coś całkiem innego... Obszedł dom, wdrapał się po drewnianych schodach na górę. Tutaj drzwi też były zamknięte, podobnie jak małe okno obok. Pani Hermes była zbyt ostrożna, żeby zostawić je otwarte.

Garaż był rzecz jasna pusty. Mercedes zniknął. Któreś nim pojechało, najpewniej Milt. Bruce zastanowił się, czy kiedy Lumky załatwi sprawy w mleczarni, wróci tu jeszcze, czy od razu pogna do następnego miasta, żeby nadrobić przechorowany czas.

Niezdolny myśleć o czymkolwiek innym, Bruce przestawił mercury'ego pod sam dom. Siedział za kierownicą i czekał.

Jakaś godzinę później aż nim wstrząsnęło, i to dosłownie: cały wóz przesunął się nieco do przodu. To mercedes zajechał go od tyłu i grzmotnął mercury'ego zderzakiem. Bruce wyskoczył z samochodu i ujrzał Milтона Lumky'ego, który szczyrzył się do niego zza kierownicy.

– Cześć szanownemu panu! – zawołał Milt przez okno, wyłączył silnik i wysiadł ze swoją skórzaną torbą i kilkoma paczkami próbek. Wyglądał całkiem zwyczajnie, bez śladu choroby: wyzywająca muszka, różowa koszula i sportowa marynarka. Minał Bruce'a i wszedł na schody.
– Chodź – rzucił przez ramię.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedział Bruce. – Obawiałem się, że mogłeś od razu pojechać w trasę.

Na górze Milt przeczytał zatknietą za drzwi kartkę, podarł ją i schował strzępki do kieszeni marynarki.

– I co sądzisz o Cathy? – spytał, otwierając drzwi.

– Jest bardzo opiekuńcza.

– Muszę się spakować – mruknął Milt i wpuścił Bruce'a. – Mam dwa dni spóźnienia.

Bruce stał i czekał. Milt przeniósł koszule z szafy do walizki, zabrał z łazienki przybory do golenia.

– Przepraszam, że nie dałem rady pogadać z tobą w nocy – powiedział, upychając parę spodni w bocznej kieszeni walizki.

– Zrozumiałe. A teraz mógłbyś porozmawiać?

– O czym?

– O tych japońskich maszynach do pisania. Zainteresowały mnie. Nazywają się Mithrias. Widziałem jedną w San Francisco.

– Zgadza się. Na wybrzeżu można je dostać. Jak Susan?

– Dobrze.

– Wykopaliście Zoe?

– Tak – odparł Bruce. – Mamy też trochę kapitału na początek. – Coś go wstrzymywało przed poinformowaniem Milta o małżeństwie. – Nie wiesz przypadkiem, gdzie można by kupić trochę tych maszyn? Niedawno mi o nich mówiłeś.

– Ile możesz na nie wyłożyć?

– Dość, jeśli cena będzie dobra.

– Na to nie mam wpływu.

– Czy to znaczy, że jesteś na procencie od sprzedaży?

– Nie. Ale próbowałem się trochę dowiadywać. Sam myślałem, żeby je kupić.

– I tylko tyle?

– Uznałem, że nie miałbym co z nimi zrobić. Musiałbym je gdzieś trzymać do czasu, aż sprzedałbym całą partię jakiemuś detaliście.

– Ja chcę nimi handlować. Zająć się reklamą i tak dalej. Wszystko zależy od ceny.

– To twoje pieniądze?

– Moje i Susan.

– Mogę ci tylko wskazać hurtownię, gdzie na pewno je mają. Ale nie tutaj. W Seattle.

– Nie szkodzi. – Bruce oczekiwał, że będzie to gdzieś na wybrzeżu. Gdyby hurtownia tych maszyn mieściła się blisko, byłby to zły znak.

– Właśnie – mruknął Milt, zamykając walizkę. – Długie trasy ci nie przeszkadzają. Cathy mówiła, że przyjechałeś z Reno. – Schował kilka przedmiotów do kieszeni i rozejrzył się za czymś jeszcze. – Kiedy chcesz je wziąć? Chodzi o to, że będę w Seattle dopiero za parę tygodni.

– Jak najszybciej. O ile w ogóle je znajdę.

– Wypróbowałeś już jakąś?

– Nie.

– Może jednak powinieneś?

– Na pewno to zrobię, zanim wyłożę pieniądze.

– No proszę, prawdziwy z ciebie kupiec. Za diabła nie interesują cię same maszyny, dla ciebie to tylko inwestycja. Jasno i prosto. Pełen rezerwy, jak naukowiec. – Klepnął Bruce’a w ramię. – Załatwione. Chodźmy.

Zeszli po schodach.

– Chciałbym jeszcze o tym pogadać, ale nie wiem jak, skoro zaraz wskakujesz do mercedesa i odjeżdżasz – powiedział Bruce.

– A nie możesz zabrać się ze mną? – spytał Milt, ale zaraz spojrzał na mercury’ego. – Aha. Pomyślałem, że podrzucę cię do Montpelier i pogadamy po drodze. Miałem nadzieję na towarzystwo. Zresztą czemu nie zostawisz tu tego swojego czołgu? W Montpelier spędzę góra jeden dzień i zaraz tu wracam. Poczekaj na ciebie.

– A potem co?

– To zależy, co nam wyjdzie. – Milt nagle spowaźniał. – Wiesz, prawie mi już odbija od tego jeżdżenia w pojedynkę, – poskarżył się cichym głosem. – Naprawdę potrzebuję towarzystwa. I sądzę, że coś byśmy wymyślili w sprawie tych japońskich maszyn.

Do Bruce’a dotarło nagle, jak bardzo chory jest ten człowiek. Jeśli okaże się, że wymaga ciągłej opieki, Bruce będzie go musiał niańczyć, tak jak Cathy Hermes i zapewne inne jeszcze osoby na terenie Milтона Lumky’ego. Jednak z drugiej strony musiał załatwić sprawę tych maszyn. Jeśli powie nie, to Milt po prostu się pożegna i odjedzie; już siedział za kierownicą, zapalił silnik. Spieszyło mu się. Cud, że w ogóle zajrzał do mieszkania.

– Nie możesz zostać jeszcze chwilę dłużej, żeby pogadać? – spytał Bruce.

– Tu nie chodzi o to, żeby pogadać. Rzecz w tym, żeby zacząć coś robić. Rzucaj swoje manele do tyłu, a za parę godzin będziemy w Montpelier. Twój wóz będzie tu bezpieczny. Weź tylko wszystko ze środka i dobrze go zamknij.

Bruce z wahaniem posłuchał. Ułożył swoją walizkę na stosie kartonów z próbkami leżących na tylnym siedzeniu mercedesa i chwilę później Lumky jechał już niemal pustymi o tej porze ulicami Pocatello.

Jazda do Montpelier nie była nawet w drobnej części tak uciążliwa jak z Boise do Pocatello. Wyrobili się w całkiem dobrym czasie, po drodze mijali głównie farmy i sady, nawierzchnia szosy była porządna, gdzieniegdzie świeżo położona. Ruch panował mały, ale Lumky nie jechał zbyt szybko. Jak zawodowy kierowca utrzymywał stałą prędkość. Wyprzedzał wolne pojazdy, ustępował drogi nowym buickom i cadillacom, które gnały, jakby chciały zaćwiczyć wszystkie trzy setki koni mechanicznych swych nowoczesnych silników. Na prędkościomierzu mieli zwykle około pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę, co na tej drodze nie było złym wynikiem.

Po południu dotarli do Montpelier. Ulice były tu niemal zdewastowane. W niektórych miejscach nawierzchnia całkiem się rozpadła i jechali po nagim tłuczniu. Domy wyglądały

wręcz przygnębiająco. Nie wymagały wprawdzie malowania, ale pokryto je niedzisiejszymi, nijakimi farbami. Przypominały zebrane w jednym miejscu zabudowania gospodarskie. Między nimi ciągnęły się zachwaszczone trawniki i klomby. Wiele parkujących przy krawężnikach samochodów miało zimowe opony – zapewne po długich deszczach tutejsze drogi zamieniały się w błotne ślizgawki. Pierwszy motel, który ujrzeli, miał tylko skromny parking na gołej ziemi, a domki zbito z dykty. Nie było też neonu, tylko ręcznie wymalowany na desce napis. Potem minęli podupadły warsztat samochodowy, ze trzy stacje benzynowe i budkę z lodami. W końcu wjechali na główną ulicę, gdzie mieściły się bary, sklepy z produkowaną w miejscowych szwalniach odzieżą, niewielkie kino i opuszczone magazyny obsługujące niegdyś, przez całe dziesięciolecie, kolejowy ruch towarowy. W powietrzu unosiła się masa kurzu, wszystkie samochody były od niego aż szare. Mężczyźni nosili kapelusze z szerokim rondem, jak z westernów. Widząc to wszystko, i Bruce, i Lumky poczuli się jakoś niewyraźnie.

– Co za dziura – mruknął Lumky. – Nie zostanę tu ani chwili dłużej niż to konieczne. Za granicą stanu, w Utah... – pokazał ręką kierunek – gdy tylko tam wjedziesz, trafiasz na lasy. Kończą się dopiero w Logan. Lubię tamtędy jeździć. Tam jest czysto. Jak w całym Utah.

– Wiem – stwierdził Bruce. Więc dotąd sięga teren Milтона Lumky’ego, pomyślał.

– W Utah nigdy nie ma tyle kurzu – mruknął Lumky, szukając miejsca na parkingu. W większości wypełniały go pokryte skorupą błota półcieżarówki z okolicznych wsi. – Mają tam kanalizację i wszystko. Wszystko dzięki LSD.

– LDS – poprawił go Bruce, kojarząc, że chodzi o Latter-Day Saint, jedno z określeń Kościoła mormonów.

– Zgadza się. Myślę o mormonach. Oczywiście to żart. Ale gdy mieszkasz w Utah, musisz należeć do ich Kościoła. I to działa, bo nigdy nie zostawiają cię w spokoju. Nie możesz kupić papierosów ani flaszki, a jak pijesz kawę, to patrzą na ciebie jak na zjawisko. Pokoju u nich nie wynajmiesz, nawet do toalety cię nie puszczą. – Znalazł miejsce i zaparkował mercedesa. – A ci tutaj nie dbają o nic. Całe miasto popada w ruinę. – Wysiadł na chodnik i zapiął pasek. W drodze zawsze go poluźniał.

Jazda nieco ich znużyła i przygnębiła. Bruce nie przywykł do roli pasażera i czuł się jak piąte koło u wozu. Teraz jednak na powietrzu, zaraz poczuli się lepiej.

– Może coś zjemy? – zaproponował Lumky.

– A kiedy chcesz iść na to spotkanie?

– Jak najszybciej. Ale jestem głodny. Jeśli czegoś nie zjem, będzie mi burczeć w brzuchu. – Ruszył przed siebie. – A to psuje interesy.

Znaleźli długi jak tunel bar, z którego dobiegało skrzeczenie elektrycznych gitar. Źródłem tych dźwięków była stojąca w głębi szafa grająca, pobrązowiała od drobin spalonego tłuszczu. Przy kontuarze siedział nad talerzami rząd mężczyzn, wszyscy w kapeluszach. Ściany

pomalowano na czarno. Trzy kobiety w średnim wieku bez przerwy zmywały naczynia.

– Istny czyściciel – stwierdził Milt. – Ale jedzenie mają dobre. Weź smażoną szynkę. – Wyszukał dwa wolne stołki i zaraz zajął jeden. Bruce usiadł obok.

Jedzenie rzeczywiście okazało się całkiem niezłe.

– Są gorsze miejsca niż Montpelier – powiedział Milt między jednym kęsem a drugim. – Nie pozwól, by cię zdołowały.

– Wiem – odparł Bruce. – Najgorsze widziałem w Greeley pod Cheyenne, gdy wracałem z Denver.

– Mąż Cathy ma w Kolorado złomowisko starych samochodów. Grzebie się w śmieciach, kretyn. Nigdy nie wiedziałem, co się dzieje z tym żelastwem zostawianym na poboczach. Cathy mówi, że on to zbiera do ostatniego kawałka. Pewnie uważa, że to piękne.

Zjedli, wypili kawę.

– Zastanawiam się, ile mogą chcieć za te japońskie maszyny – powiedział Bruce. – Ile od sztuki.

– Ten towar leży w magazynie już od paru lat – mruknął Milt. – Cały import z Japonii to chybiona inwestycja. Nie powinni żądać wiele.

– Mniej niż sto dolarów?

– O wiele mniej.

To poprawiło Bruce'owi nastrój.

– A na twoje wyczucie to ile?

– Na mój nos ze czterdzieści od maszyny. W oryginalnych opakowaniach. W tej konkretnej hurtowni widziałem ich ze dwieście. To by dawało... – policzył w pamięci – około ośmiu tysięcy za całość. Masz tyle?

– Nie. Tylko jakieś dwa i pół tysiąca.

– Myślałby kto, że sprzedałeś samochód. Tyle właśnie można dostać za przechodzonego mercury'ego. Po prawdzie tyle zapłaciłem za mojego mercedesa. Też kupiłem używanego. Oczywiście nie musisz brać wszystkich dwustu, dla sklepu takiego jak twój starczy sześćdziesiąt. Pytanie tylko, czy sprzedadzą ci sześćdziesiąt w tej cenie.

– Sześćdziesiąt byłoby akurat – uznał Bruce. Lepiej tyle niż dwadzieścia pięć. Może jednak warto było jechać taki szmat drogi i zadać sobie trud odnalezienia Miliona Lumky'ego.

– Powinieneś je chyba sprzedawać za jakieś sto osiemdziesiąt dolarów, żeby być konkurencyjnym wobec Smith-Corony. No i będziesz musiał pomyśleć o jakiejś gwarancji na nie. Nie wiem, jak to się załatwia, więc lepiej zbadaj sprawę od podszewki – mruknął, bawiąc się pozostawioną na talerzu resztką jedzenia. – Może mógłbym ci jeszcze pożyczyć jakąś sumę. Dość, żebyś mógł kupić całą partię, gdyby nie chcieli dać części za dobrą cenę. – Zmierzył Bruce'a spojrzeniem. – Chodzi o Susan. Dla niej bym to zrobił. Nie dla ciebie.

– To byłby dobry prezent weselny – zażartował Bruce i poniewczasie pojął, co powiedział. Milt prawie się wyprostował.

– Ty i Susan?

– Tak.

– Kiedy?

– Ledwie kilka dni temu.

Przez chwilę siedzieli w ciszy.

– Ale numer – mruknął Milt. – Do głowy by mi nie przyszło Cóż, wszystkiego najlepszego – powiedział i wyciągnął dłoń do uścisku. Była wilgotna, lekko mu drżała. – Wiesz, wtedy gdy wpadłem do niej i zastałem ciebie, miałem wrażenie, że coś się między wami dzieje, ale machnąłem ręką. Pomyślałem, że tylko mi się zdawało. A tu proszę. Byłeś już kiedyś żonaty?

– Nie.

– Zdumiewające. Nie sądziłem, że tak szybko znów wyjdzie za męża. Cóż, człowiek całe życie się uczy. Na pewno nie kłamiesz. Ja zapłacę. – Wziął oba rachunki i zsunął się ze stołka. Bez słowa wyciągnął portfel i ruszył ku przedniej części lokalu, do kasy.

Bruce dołączył do niego na chodniku.

– Sam nie wiem, czemu od razu ci o tym nie powiedziałem.

– Ale powiedziałaś – rzucił Milt. – I dobrze – sapnął, wsiadając do samochodu. Twarz miał jakąś szarą, ściągniętą. – Może zadzwonię do niej, żeby złożyć życzenia. – Zapalił silnik i spojrzał na zegar na tablicy rozdzielczej. – Nie, najpierw muszę zobaczyć się z tymi ludźmi. Chcą papierowych kubków czy czegoś takiego. Wyobrażasz sobie? Jechać tysiące mil tylko po to, żeby namówić jakiegoś gościa z małego miasteczka do kupna papierowych kubków? To naprawdę dziwna robota.

– Owszem – mruknął wciąż zmieszany Bruce.

– Sięgnij do tyłu. Leży tam taki jeden długi, cienki karton. Pełen kubków.

Bruce znalazł pakunek. Milt otworzył go i sprawdził, czy wszystko w porządku.

– Zostań tutaj – powiedział, wysiadając z kubkami. – Wpadnę tam tylko i zaraz wracam. To w tamtym hotelu z podwójnymi drzwiami. Powiem im, żeby zadzwonili do nas, gdy się namyślą. – I poszedł.

Minęło trochę czasu, nim wrócił. Bez kubków.

– I już – sapnął, wsiadając. Uruchomił silnik, wrzucił kierunkowskaz i odbił od krawężnika. – Teraz do domu i do diabła z Montpelier w stanie Idaho.

Zatrąbił na nich autobus Greyhounda. Milt nie pozostał mu dłużny.

Wracali pośród tych samych pól, które widzieli z godzinę wcześniej. Milt siedział za kierownicą przygarbiony, z wysuniętym podbródkiem i oczami wbitymi w drogę. Tak podkręcił

radio, że muzyka uniemożliwiała jakąkolwiek rozmowę. Z czasem jakby zaczął popadać w letarg. Niezupełnie panował nad wozem, coraz wolniej reagował na zmiany na drodze. Po jakimś czasie wyprostował się jednak, wyłączył radio i chwycił pewnie kierownicę.

– Pojadę z tobą na wybrzeże – powiedział.

– Do Seattle?

– Tak. Znajdziemy te twoje maszyny.

– Wspaniale.

– Jak myślisz, ile to zajmie?

– To zależy od tego, jak pojedziemy. Szybciej by poszło, gdybyśmy wzięli tylko jeden samochód. Moglibyśmy się zmieniać za kółkiem – podpowiedział Bruce.

– Ja muszę tu potem wrócić.

– Odwiozę cię.

Zaczęli zastanawiać się głośno, którym samochodem pojechać. Mercury był większy i tym samym wygodniejszy. No i szybszy. Z drugiej strony mercedes mniej palił.

– Nie przeszkadza ci, gdy ktoś prowadzi twój wóz? – spytał Bruce. – Bo mnie jest wszystko jedno.

– W razie czego do twojego łatwiej o części. Opony, bezpieczniki i inne takie duperele – stwierdził Milt, unikając odpowiedzi.

Ostatecznie zdecydowali się na mercury'ego. W większym wozie zmiennik mógł się wygodniej przespać na tylnym siedzeniu.

Z godzinę później wjechali do Pocatello i zaraz trafili na pogrzeb. Kawalkada samochodów na światłach ciągnęła się bez końca, chronili ją policjanci w lśniących mundurach i kaskach. Milt siedział z początku cicho, ale po paru chwilach zaczął przeklinać zawalidrogi.

– Popatrz tylko – mruknął. – Chyba grzebią burmistrza. – Samochody były w większości nowe i drogie. Zmierzały w kierunku czegoś przypominającego park, gdzie mieściła się zapewne najlepsza w mieście kostnica. – Pieprzone i śmierdzące truchło burmistrza Pocatello – ciągnął Milt coraz głośniej. – Patrz na te lakierowane kaski. Zupełnie jak hitlerowcy. Banda cholernych nazistów z SS! – krzyknął przez otwarte okno.

Policjanci nie zwrócili na niego uwagi. W końcu ulicą przetoczył się ostatni samochód, rozległy się gwizdki i mogli ruszyć.

– Kurestwo – warknął Milt, zapalając silnik i dusząc go na niskich obrotach.

– W sumie nie straciliśmy aż tak wiele czasu – zauważył Bruce, ale Lumky nie odpowiedział.

Gdy dotarli pod dom, Milt wjechał mercedesem do garażu bez drzwi i zaczęli przenosić swoje rzeczy z tylnego siedzenia i bagażnika do mercury'ego.

Nie skończyli jeszcze, gdy przy krawężniku zatrzymał się jakiś samochód, otworzyły się

drzwiczki i na chodnik wyskoczyła Cathy Hermes. Pomachała kierowcy na do widzenia. Samochód, chrysler rocznik 1949, ruszył i zniknął im z oczu za zakrętem.

– Jej mąż – powiedział Milt, biorąc całe naręcze próbek z tylnego siedzenia. – Przywozi ją z pracy do domu. Takie to porządki.

Cathy szła ku nim szybkim krokiem. Brązowy płaszcz łopotał jej za plecami. Zaciskała dłonie na torebce.

– Tak szybko z powrotem?! – zawołała ze zdziwieniem i podbiegła do Lumky’ego. – Co robisz? Jedziesz gdzieś tym samochodem?

– Znow ruszamy w trasę – wyjaśnił Milt.

– Dokąd? – Stała twardo między nim a mercurym.

– Do Seattle.

– Teraz? Zaraz? – Oddychała gwałtownie, przyglądając mu w późnopołudniowym słońcu. – Skąd ten pośpiech? Myślałam że przez trzy dni nigdzie teraz nie pojedziesz. Że zostaniesz tu i odpoczniesz przynajmniej do wtorku.

– Wrócę.

– Nie powinienesz tyle jeździć – Nastroszyła się. – Wiesz, że to dla ciebie zbyt duży wysiłek. Niby dlaczego musisz z nim jechać? Zostawiasz tu mercedesa?

– Możesz go używać – powiedział Milt, okrążając dziewczynę. Złożył stertę próbek w mercurym. – Tu są kluczyki.

– Mam kluczyki. Czy możesz mi wyjaśnić, o co tu chodzi? Chyba powinnam wiedzieć, skoro mam ci pilnować samochodu.

– On ożenił się z moją przyjaciółką, a ja chcę im pomóc rozkręcić interes. To będzie prezent ślubny ode mnie.

Odeszli na bok, by porozmawiać. Bruce nie chciał się wtrącać do ich sprzeczki, dalej więc przeładowywał wszystko, co tylko udało mu się znaleźć w mercedesie.

W końcu Milt pomachał na niego.

– Muszę jeszcze zajrzeć na górę, wezmę parę drobiazgów. Wrócę za kilka minut – powiedział ponuro. Powłócząc nogami, wszedł do budynku.

Cathy została na chodniku. Wciąż ścisnęła torebkę w dłoniach. Nagle odejście Milta chyba wytrąciło ją z kontenansu.

– To chyba moja wina – powiedział Bruce, wciąż przenosząc to i owo.

– Wie, że nie powinien jechać.

– To ja będę prowadził przez większość drogi.

– Nie powinien siedzieć zbyt długo – dodała coraz bardziej czerwona na twarzy. – Gdy jest w drodze, nie zatrzymuje się dość często, by pójść do toalety. No i sama jazda też mu szkodzi. Nie mógłby po prostu zadzwonić, żeby załatwić to coś dla pana?

– Tego nie wiem. Trzeba by go spytać.

– Czemu po prostu nie zadzwonisz? – zaczęła Cathy, gdy wrócił.

– Bo nie – stwierdził Lumky. Ułożył, co przyniósł, w mercurym. – Nic mi nie będzie – rzucił do dziewczyny. – Położę się na tylnym siedzeniu, a Bruce będzie prowadził.

– Ta kobieta musi być twoją niezwykle dobrą przyjaciółką – odcięła się Cathy. – Mam nadzieję, że dość dobrą, by się o ciebie zatroszczyć, gdy się rozchorujesz. Bo ja nie zamierzam. – I ruszyła do domu.

– Jak chcesz – warknął Milt i wsiadł do mercury’ego. – Ruszajmy – powiedział do Bruce’a.

– Nie wracaj tu! – krzyknęła Cathy sprzed drzwi.

– Dobra – sapnął Milt.

Cathy rzuciła kluczyki do mercedesa na ziemię.

– Niech twoi przyjaciele z Boise się tobą zajmują! – krzyknęła, weszła do domu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Ruszajmy – powtórzył Milt.

Bruce uruchomił silnik. W milczeniu wyjechali na ulicę.

– Zobaczmy, co powie, jak wrócę – mruknął Milt jakiś czas później, gdy przejął już kierownicę.

– Ona naprawdę chce twojego dobra – powiedział Bruce. Czuł się odpowiedzialny za całe to zajście, ale nie zapomniał, że jeśli chce dostać te maszyny, to musi skorzystać z pomocy Milta.

– Tak jak Susan twojego. Pewnie myśli, że mam na ciebie zły wpływ.

– Nie wie, gdzie jestem.

– Gdyby wiedziała, ostrzegłaby cię przede mną. Kobiety zawsze podejrzliwie traktują przyjaciół męża. Całkiem instynktownie. Boi się taka, że mąż mógłby się okazać pedziem.

– Nie sądzę, żeby dlatego się uniosła. A ty?

– Też mi się nie wydaje.

– Nie ma powodów sądzić, by któryś z nas był homo. – Bruce’owi nigdy by to nie przyszło do głowy.

Milt uśmiechnął się półgębkiem.

– Tylko tak mi się skojarzyło.

Minęło znów trochę czasu, nim Bruce się odezwał.

– Jak ci się prowadzi amerykański wóz po mercedesie?

– Jak po lodzie.

– Dlaczego tak uważasz? – spytał nieco dotknięty Bruce.

– Bo lata po szosie jak pies spuszczonej z łańcucha. – Poruszył kierownicą ze wspomaganiami, aż samochód przejechał ciągłą linię i zbliżył się do przeciwległego pobocza. – Jesteś pewien że to kółko ma połączenie z czymś tam na dole? Zupełnie nie czuję drogi. To nie

samochód, ale torba z pierzem. Chociaż okna ma ładniejsze. – Szturchnął lekko Bruce’a pod zebro. – Jak w nowoczesnych pociągach.

– Spróbuj je otworzyć, a poczujesz różnicę – powiedział Bruce – Ten wóz może cały dzień gnać dziewięćdziesiątką.

Trzydziestą międzystanową dojechali do północnego Oregonu. Nie zatrzymali się w Boise. Przed świtem Milt zaproponował, żeby coś przekąsili. Znaleźli przydrożny bar, zjedli i zaraz ruszyli dalej. Milt wyglądał nieszczególnie i oddał Bruce’owi kierownicę. Oparł się po swojej stronie o drzwi, objął ciasno rękami, ale nie zasypiał. Bruce słyszał, że ciężko oddycha.

– Dobrze się czujesz? – spytał.

– Jasne. Zdrzemnę się.

– Nerki ci dokuczają?

– Nie mam nerek.

– Może powinniśmy się gdzieś zatrzymać – sugerował Bruce, chociaż zdecydowanie wolałby jechać bez przerwy, jednym ciągiem. Podniecenie długą trasą zaczęło brać w nim górę nad tym, po co właściwie wybierali się do Seattle. Większość podobnych podróży odpracowywał dotąd sam, bez zmiennika i bez kompana do pogawędki. Rozumiał, dlaczego Milt pragnął towarzystwa. Chciał jakiejś odmiany. Oto jechali razem, podobnie jak kiedyś Bruce towarzyszył Edowi von Scharfowi, dopóki nie nauczył się dość, by załatwiać interesy samodzielnie. Tyle że teraz sytuacja się odwróciła. To Bruce więcej prowadził i Bruce decydował o większości spraw. Poza tym jego towarzysz coraz bardziej się wyłączał. Z czasem pewnie wszystko zostawi na głowie Bruce’a...

A jednak mu się to podobało. Kierownicę miał dla siebie, Milta obok na fotelu. I świadomość, że bez niego nie dotarliby do Seattle w dobrym czasie. Trzeba by zatrzymywać się na noclegi. Po części wynikało to z wieku, a po części ze stanu zdrowia Milta. Ale przede wszystkim Bruce był tu w swoim żywiole. Wyrósłszy w takiej dziurze jak Montario, najlepiej czuł się w drodze. W szkolnych czasach jeździł do Reno; siedemnastoletni, a już go ciągnęło w świat...

– Co z tobą? – przerwał mu rozmyślenia Milt. Spojrzał na niego przenikliwie i usiadł prosto.

– Jak to się porobiło, że taki jesteś? – zachrypiał. – A może to jakaś poza?

– Nie wiem, o czym mówisz – odparł kompletnie zaskoczony Bruce.

Nagle Milt pokazał ręką na drogę przed nimi, na krajobraz wokoło.

– Ty to chłoniesz. Obserwowałem cię: zerujesz na tym. Im więcej, tym lepiej. Zastanawiam się na okrągło, jak tak można żyć. Niczego więcej nie potrzebujesz? Ludzie nic dla ciebie nie znaczą?

Cała ta tyrada, tak niespodziewana i wygłoszona prawie na jednym oddechu, zdumiała Bruce’a. Czyżby uraził czymś Milta?

– O co ci chodzi? – spytał.

– O to, że jesteś tak cholernie samowystarczalny – odparł już spokojniej Milt. – Nie, gorzej. O to, że masz wszystkich za nic. Siebie może zresztą też. Po co ty w ogóle żyjesz? Jesteś niczym jeden z tych finansowych rekinów, którzy traktują ludzi jak przekąskę. – Mówił z takim przekonaniem i zapałem, że Bruce mimowolnie się roześmiał. Milta tylko to zirytowało. – Tak, to naprawdę śmieszne – sapnął. – A twoja żona? Obchodzi cię? A może wzięłeś ją tylko po to, żeby wejść do interesu? Do diabła, wariat jesteś.

– Nie jestem wariatem – powiedział Bruce i spojrzał na Miltona. Stłumił śmiech, bo jego towarzysz podróży poczerwieniał na twarzy i wytrzeszczył oczy. Co go napadło? Bruce nie miał pojęcia. – Słuchaj, jeśli cię uraziłem...

– Nie uraziłeś. Żal mi ciebie.

– Dlaczego?

– Bo nikogo nie kochasz.

– Nie możesz tego wiedzieć.

– Z nikim nie jesteś związany emocjonalnie. Przecież widzę. Nie masz serca. – Nagle Milt uderzył się dłonią w pierś. – Nie masz serca, kurwa, pojmujesz? Przyznaj się.

Nie do wiary, że ktoś może tak mówić, pomyślał Bruce. Traktować równie poważnie wyświechtane zwroty. Że też puste frazy wzbudzają takie emocje, zmuszają do wygłaszania podobnych słów. Na dodatek dla Milta była to najwyraźniej bardzo ważna kwestia. To ostatnie otrzeźwiło nieco Bruce'a.

– Z Susan jesteśmy sobie bardzo bliscy.

– A co ze mną? – spytał Milt.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nieważne. Nie było pytania.

Bruce nigdy się jeszcze nie zetknął z takim zachowaniem.

– Wiem już, co ci działa na nerwy – powiedział. – To ten krajobraz. Mnie nie przygnębia, ale ciebie owszem.

– Ciebie nic nie przygnębia?

– Na pewno nie krajobraz – stwierdził Bruce, ale zaraz sobie przypomniał, jak jechał przez Sierras. Skały, bezludzie, pustka. Rzadka roślinność. I cisza. – Chociaż owszem. Czasem mnie bierze. Niezbyt lubię puste odcinki pomiędzy miastami. Chyba każdy, kto jeździ, tak to odbiera. Zwłaszcza na Wielkiej Pustyni Zachodniej.

– Ja w ogóle nie zapuszczam się na pustynię – powiedział Milt. – Omijam Nevadę.

Lumky znów wyglądał na chorego i osłabionego. Ponownie oparł się o drzwi. Rumieniec spelzł mu z twarzy. Przez dłuższy czas milczeli. W końcu Milt trochę się ożywił.

– Zatrzymajmy się gdzieś i zdrzemnijmy – zaproponował i zamknął oczy.

– Dobrze – odparł niechętnie Bruce.

O świecie wypatrzyli mały motel, nieco oddalony od drogi.

Neon informujący o wolnych miejscach migał zapraszająco. Właścicielka, którą zastali w płaszczu kąpielowym, zaprowadziła ich do domku. Zamknęli samochód, wnieśli bagaże i runęli na łóżka.

Zasypiając, Bruce pomyślał z zadowoleniem, że do Seattle zostało im już tylko dwieście mil. Prawie byli na miejscu.

Chociaż nie, poprawił się w myślach. Raczej trzysta mil. Ale to niewielka różnica. Parę godzin jazdy i będziemy.

Obudził się o jedenastej rano. Wstał, poczłapał do łazienki, zrzucił nieświeże ubranie i z przyjemnością wszedł pod prysznic. Potem ogolił się, uczesał, włożył czyste rzeczy, a przede wszystkim świeżo wykrochmaloną bawełnianą koszulę. Od razu poczuł się o wiele lepiej, jednak na progu świadomości wciąż czaiło się coś podejrzanie niepokojącego. Ale co? Nie wiedział. Coś mgliście niemiłego. Spojrzał w lustro, próbując zrozumieć, o co chodzi. Za oknem słońce połyskiwało na przejeżdżających szosą samochodach. Pora była ruszać. Niecierpliwym krokiem wyszedł z łazienki i wrócił do pokoju.

Milt Lumky leżał na boku, z podkurczonymi nogami i twarzą częściowo zakrytą kocem. Nie poruszał się, ale nie spał. Bruce widział jego oczy. Milt wpatrywał się bez mrugnięcia w kąt pokoju.

– Jak się czujesz? – spytał Bruce.

– Dobrze – mruknął Milt, nie unosząc wzroku. Po chwili jednak powiedział: – Głupio mi to mówić, ale jestem chory.

Bruce wziął walizkę i zaczął się pakować.

– Bardzo chory?

– Jak cholera.

Bruce'a nagle zdjął lęk. Nogi pod nim zadrżały. To tego właśnie bał się przez cały czas, zrozumiał. Wciąż się jednak pakował.

Milt obserwował go z łóżka.

– Niedobrze – powiedział Bruce. – Przykro mi to słyszeć. Chociaż w sumie to żadne zaskoczenie. Od wczoraj mogliśmy oczekiwać czegoś podobnego.

– Będę musiał jakiś czas poleżeć w łóżku – oznajmił Milt. Mówił powoli, ale tonem nie zostawiającym miejsca na wątpliwości. Jakby dobrze wiedział, co z nim jest, i nie dopuszczał możliwości jakiegokolwiek dyskusji.

– Wygląda na to, że Cathy miała rację.

– Bo miała – przyznał Milt.

– Żeby to cholera – warknął Bruce. – Diabli nadali. – Przerwał pakowanie i stanął beczynnienie.

– A nadali, ale chwilowo nic się nie da zrobić – odburknął Milt. Najwyraźniej nie miał zamiaru przeproszać.

– Przynieść ci twoje lekarstwo?

– Może później. Teraz muszę poleżeć. – Nie próbował w ogóle wstawać. Wydawał się spokojny, chyba nic go nie bolało. Ale rezygnacja, takie szczególne oklapnięcie, rzucała się w oczy. Nie próbował nawet żartować na swój temat.

Czy wiedział, że do tego dojdzie? zastanowił się Bruce. Założę się, że tak. Może to jego zemsta na nas. Na mnie i Susan. Chce nam dołożyć, bo się pobraliśmy. Bruce popatrzył znów na Milta. Tak, przecież wyraźnie dał do zrozumienia, że interesował się Susan.

– Chyba nie dojedziemy do Seattle.

– Później – powiedział Milt.

– Mam na myśli, że w ogóle tam nie dotrzemy.

Milt nie odpowiedział. Potem skrzywił się, albo z bólu, albo akurat przyszło mu do głowy coś przykrego. Poruszył się. Spod koca wychynęła dłoń z grubymi palcami i ugniotła poduszkę pod głową. Twarz znów zniknęła pod nakryciem. Po chwili Bruce widział już tylko zarys pleców Milta.

Po paru minutach otworzył drzwi domku i wyszedł na parking. Stał obok mercury'ego. Wieczorem podnieśli szyby i w wozie musiało się zrobić niemiłosiernie gorąco. Otworzył drzwiczki i opuścił okna. Tapicerka wręcz parzyła. Wnętrze samochodu pachniało płótnem i kurzem, jak zawsze nad ranem. Bruce usiadł za kierownicą i zapalił papierosa.

Nie mogę go zostawić, pomyślał. Nie mogę odjechać i zostawić go tu samego. Naprawdę jest chory. A bez niego nie zdobędę tych maszyn.

Nic nie mógł zdziałać: miał związane ręce. Zostało mu tylko siedzieć tu i czekać, aż Lumky poczuje się lepiej.

Załutwił go jak najlepsza kotwica. Bruce nie mógł ani wrócić do Boise, do Susan, ani ruszyć do Seattle po maszyny. Ani do Reno, ani gdziekolwiek. Utknął w podrzędnym hotelu przy szosie, gdzieś w północnym Oregonie albo w stanie Waszyngton, sam dokładnie nie wiedział. Nie zauważył, czy przekroczyli granicę stanu. Nie wiedział nawet, jak nazywa się ten motel.

Rozdział 12

Bruce ruszył ścieżką do recepcji. W środku właścicielka motelu, jasnooka kobieta w średnim wieku, czyściła białą maszynę z seven-up. Uśmiechnęła się do niego, gdy wszedł.

– Dzień dobry! – zawołała i wróciła do czyszczenia.

W rogu pomieszczenia siedziało jakieś dziecko i czytało komiks. Przy drzwiach stał obrotowy stelaż z pocztówkami przedstawiającymi krajobrazy Waszyngtonu i Oregonu. Z lewej był kontuar, po prawej automat telefoniczny. Biuro było czyste, pełne słońca.

– Nie zna tu pani jakiegoś lekarza? – spytał Bruce. – Takiego, którego mogłaby pani polecić?

– Pański kolega zachorował? – Przerwała pucowanie i wyprostowała się. – Zauważyłam, że chyba długo spaliście. W nocy wyglądał mi na wyjątkowo zmęczonego. – Odłożyła ścierkę i puszkę dutch cleanser. – Jesteście panowie spokrewnieni? – spytała, stając za kontuarem.

– Nie – odparł nieco zirytowany Bruce.

– Bo myślałam, że to może być pański starszy brat. – Zaśmiała się nerwowo i sięgnęła pod blat, po notes. – Mamy tu paru dobrych lekarzy... Chwileczkę.

Tylnymi drzwiami wszedł jej mąż, szczupły i zimny mężczyzna, jakich wielu w Oklahomie.

– Do czego? – spytał Bruce'a. – Co to za choroba?

– Nie wiem dokładnie. Coś przewlekłego. – Oboje spojrzeli na niego wyczekująco. – Nie znam go za dobrze, robimy tylko wspólnie interesy.

– Lepiej niech pan się dowie, co mu jest – powiedział mężczyzna. Jego żona skinęła głową.

– Może faktycznie – przyznał Bruce.

– Niech pan zaraz wraca i spyta – powiedziała kobieta i wymieniła spojrzenie z mężem. – Niech pan się dowie, czy to nie jest zaraźliwe, dobrze? – Wraz z mężem odprowadziła go do drzwi biura.

– Wiem, że to nie jest zaraźliwe – stwierdził na odchodnym Bruce. – Coś z nerkami.

– Są i zakaźne choroby nerek! – zawołał za nim mężczyzna.

Wracając do domku, Bruce słyszał, jak tamci rozmawiają przyciszonymi głosami.

Pewnie nam powiedzą, że nie możemy tu przebywać, bo to niezgodne z prawem, pomyślał. Będą chcieli, żebyśmy sobie pojechali.

Gdyby tak się stało, to są jeszcze inne motele, a Milt w ostateczności da się ruszyć, uznał jednak.

Bruce nie miał ochoty wracać do domku, stanął więc przed drzwiami. Szosą nieustannie przemykały pojazdy. Stąd nie widział ich kół, tylko ślizgające się płynnie nadwozia. Metalowe zabawki na sznurku gnające coraz szybciej i szybciej... Na ten widok Bruce znowu zrobił się

niespokojny. W tym stanie ducha wszedł do środka.

– Cześć – mruknął Milt z łóżka.

– Nie wiesz, jak mógłbym złapać Cathy?

– Po co?

– Chcę się jej poradzić.

– Nic ci nie powie. Nie wierzysz, że dobrze wiem, co się ze mną dzieje?

W końcu Bruce'owi udało się jednak wydobyć od Milta numer telefonu do pracy Cathy. Zajmowała się w ratuszu podatkami.

– Nie chcę, żebyś do niej dzwonił – powiedział Milt, siadając na łóżku. Twarz miał ściągniętą bólem. Worki pod oczami powiększyły się, skóra była zarazem napięta i pomarszczona. – Dojdę do siebie, gdy odpocznę. Muszę tylko poleżeć. Nie powinienem wstawać. Może już wieczorem będę w formie.

– Powiedz mi dokładnie, na co chorujesz.

– Zapalenie nerek. Skutek przejścia w dzieciństwie szkarlatyny. Inaczej płonicy.

– Bardzo ci dokucza?

– Przychodzi i mija. Najgorszy jest ból pleców. Nic nie poradzisz, więc nie dzwoń do Cathy. Przestań się zamartwiać. Jutro przed wieczorem będziemy w Seattle. – Ułożył się z powrotem, ręce wyciągnął po bokach.

– Jesteś pewien, że nic nie mogę dla ciebie zrobić?

– Idź zjeść śniadanie.

Bruce wyszedł i zaczął się kręcić po okolicy. Powłókł się w stronę ogrodzonego pastwiska, na którym dwa konie szczypały trawę. Powietrze pachniało nawozem i sianem. Pod butem zachręściły mu grudy suchej ziemi. Wdepnął w kopczyk przy norze jakiegoś gryzonia. Pochylił się, by popatrzeć na krzątaninę wielkich, czerwonych mrówek. Gdzieś daleko przemykały wciąż samochody.

Pewnego lipcowego dnia musiał zjechać na pobocze pod Wendover w Nevadzie. Pękł przewód olejowy. Bruce sterczał tam od dziesiątej rano do trzynastej trzydzieści i grzebał się w silniku, chociaż wiedział, że sam nie naprawi wozu. Próbował tylko pokazać ludziom z przejeżdżających samochodów, że sobie radzi. Cały czas stał tyłem do drogi, z głową pod uniesioną maską. Zawstydzony i wściekły, miał nadzieję, że nikt się nim nie zainteresuje. W końcu jednak obok zatrzymał się samochód pomocy drogowej z Wendover. Wezwał go ktoś z przejeżdżających. Dlaczego czuł się wtedy winny? Nie wiem, pomyślał teraz. Wtedy też nie wiedział. Ale teraz znowu gdzieś utknął, i to na znacznie dłużej. To było najstraszniejsze.

Czy obawiałem się, że będą się ze mnie śmiać?

Tak jak stary Hagopian, gdy kupowałem u niego prezerwatywy. To zawsze wszystkich bawi. Ledwie to sobie przypomniał, zaraz się zarumienił.

Chryste, pomyślał. Ale co w tym śmiesznego? Każdemu przychodzi kupić je wcześniej czy później. Chyba że się ożeni, bo wtedy to kobieta kupuje coś innego w tubce. Coś bardziej przypominającego lekarstwo.

Kiedyś widział małego kolorowego chłopca, który znalazł porzuconą gumę, chyba w rynsztoku, i zaraz nadmuchał jak balon.

Boże, przecież musiała być używana. Bruce sam nie wiedział, czy bardziej go to bawi, czy brzydzi. Może należało wytrącić ją dzieciakowi z rąk? Tak czy owak, poszedł dalej, nie oglądając się za siebie. Udał, że niczego nie zauważył.

Właściwie to było śmieszne.

Czy każdy śmieje się z podobnych rzeczy?

Muszę się stąd wydostać, pomyślał. Nawet gdyby Milt był moim krewnym, jak myślała właścicielka motelu, i tak musiałbym odjechać.

Chociaż to paskudne tak kogoś zostawić. Ktoś powinien przy nim być.

Bruce wrócił przez pole do recepcji motelu. Właścicielki nie było w zasięgu wzroku, podobnie jak jej męża w stylu Oklahomy. Bruce rozprostował kartkę z numerem telefonu Cathy, wrzucił monetę do automatu. Gość z centrali powiedział mu po chwili, ile jeszcze musi wrzucić, żeby uzyskać połączenie. Zrobił co trzeba i na drugim końcu ktoś odebrał. Jakaś kobieta, ale nie Cathy. Poprosił o wezwanie pani Hermes. Po paru chwilach jej głos zabrzmiał w słuchawce.

– Mówi Bruce Stevens – odezwał się.

– Jak on się ma? – spytała Cathy, orientując się natychmiast, kto dzwoni i o co chodzi.

– Leży w łóżku. Kiepsko wygląda.

– Jak daleko zajechaliście?

– Dość daleko. – Bruce wiedział już, że są w stanie Waszyngton, a miasteczko nazywa się Pasco. – Zatrzymaliśmy się na noc w motelu. Aż do rana nie wiedziałem, że tak z nim źle. Pamiętam, że mnie pani ostrzegła, no ale jesteśmy tutaj. Co pani proponuje?

– Nic nie mogę dla was zrobić.

– Ma pani jego wóz. Mogłaby pani podjechać po pracy. – Zaczął jej wyjaśniać, gdzie leży ten motel, ale mu przerwała:

– Nie mam kluczyków. Wyrzuciłam.

– Zostały na podjeździe.

– Nie. Nie było ich tam. Rano szukałam i nie znalazłam. Po prawdzie aż spóźniłam się przez to do pracy.

– Pamiętam, że tam zostały. Nie podniósł ich.

– Sama widziałam, że ich tam nie było – upierała się Cathy.

– No to może przyjedzie pani autobusem?

– Nie.

– Ja muszę jechać do Seattle. Mam sprawy do załatwienia.

– Naprawdę chce pan odjechać i zostawić go chorego w tym motelu?

– Muszę – powiedział. Milczała. – Ostatecznie to mój samochód.

– Mam kluczyki do mercedesa – odezwała się w końcu Cathy. Bruce'a to specjalnie nie zdziwiło.

– Więc proszę tu przyjechać – powiedział i wyjaśnił dokładnie, gdzie jest „tu”.

– Zabierze mi to mnóstwo czasu – rzuciła niemal przerażona. – Nie dam rady przejechać tyle za jednym razem. Będę musiała zatrzymywać się po drodze. Nie sądzę, żebym dotarła przed pojutrzem. Musiałabym też załatwić sobie wolne w pracy. Nie wiem, czy mi się uda. Chce pan powiedzieć, że on aż tak długo będzie sam, czy zostanie pan z nim do czasu, aż przyjadę?

– Wyjechać muszę zaraz.

– Więc nie ma sensu, żebym przyjeżdżała – powiedziała Cathy. Była bliska łez. – Powiedzmy, że pan go zostawi, a co będzie, jeśli on poczuje się w końcu lepiej i też gdzieś wyruszy, zanim tam dotrę?

– Nie wyruszy, bo nie będzie miał samochodu, żeby odjechać.

– No tak. Nie, nie zrobię tego – postanowiła w końcu. – Musi pan z nim zostać. Ostatecznie to pańska wina.

W słuchawce stuknęło. Rozłączyła się.

I co ja mam teraz zrobić? – jęknął w duchu Bruce.

Odwiesił słuchawkę. Zadzwoić do niej raz jeszcze? Ale przez telefon i tak nic nie wskóram. Nie zmuszę jej, żeby tu przyjechała. Ani samochodem, ani autobusem. Jak nie chce, to nie. I już. I ma rację, że to moja wina.

Chociaż nie rozumiem, dlaczego nie może przyjechać, pomyślał. Sądziłem, że zaraz wskoczy do samochodu i ruszy w drogę. Tego wieczoru, gdy ją spotkałem, gotowa była objechać całe Pocatello, żeby tylko kupić mu sok pomarańczowy. A mercedes to łatwy samochód dla kierowcy. I ona go dobrze zna.

Bruce wyszedł z recepcji i rozejrzał się za właścicielką. Znalazł ją w pustym pokoju. Wieszala czyste ręczniki.

– Mogłaby mi pani wymienić trochę drobnych? – spytał. – Na telefon.

– Spytał pan przyjaciela, co mu jest? – odezwała się, gdy wrócili do biura.

– Zapalenie nerek. Nie zakaźne.

Rozmieniła mu pięciodolarowy banknot.

– Czy on ma jakąś rodzinę? Żonę?

– Chyba tak – odparł Bruce. Wrzucił kilka monet do aparatu i wykręcił numer Susan. Właścicielka motelu kręciła się jeszcze przez chwilę dokoła, w końcu jednak wyszła. – Mam złe wiadomości – powiedział do słuchawki. – Jestem aż w stanie Waszyngton, razem z Miltem

Lumkym. Milt zachorował. – Zaczął wyjaśniać wszystko tak samo jak wcześniej właścicielce motelu.

Susan mu przerwała:

– Wiem, że Milt choruje na nerki.

– I to chyba od lat.

– Lepiej z nim zostań – powiedziała. – Masz dość pieniędzy? Mogę ci coś przesłać. – Ustalili, że gdy już będzie miał te maszyny, ona prześle mu pocztą pieniądze na zakup.

– Wszystko się ułoży – stwierdził Bruce.

– Gdy Milt ma atak, zwykle musi przez kilka dni leżeć spokojnie na plecach – poinformowała go Susan. – To bardzo bolesne.

– Ostrzegano mnie. Dziewczyna, z którą mieszka w Pocatello, też mi to mówiła. Gdy tam przyjechałem, już był chory. Nikogo więc oprócz siebie nie mogę winić, a szczególnie już jego.

– Niesłusznie – stwierdziła Susan rzeczowo, wyważonym tonem – Tylko on może ocenić, jak się czuje, a skoro z własnej woli pojechał z tobą, to nie masz się o co obwiniać. Musiał wiedzieć, co robi, w końcu jest dorosły. Nie możesz się czuć odpowiedzialny za cudzą chorobę, szczególnie gdy ledwie kogoś znasz. Dlaczego ta dziewczyna nie przyjedzie, żeby się nim zająć?

– Dzwoniłem już do niej. Powiedziała, że niezbyt może.

– To nie twoja sprawa. Chyba że bardzo chcesz wziąć ją sobie na głowę. Albo czujesz się za to odpowiedzialny. Czasem trudno jednoznacznie orzec...

– To moja wina, bo gdybym go nie zagadnął o te maszyny, to by nie pojechał. W końcu wyruszyliśmy tylko po to, żebym mógł je kupić. On nic z tego nie ma. Zrobił mi uprzejmość.

– Ale nie możesz siedzieć przy nim zbyt długo.

– Zgadza się. Jednak z drugiej strony muszę.

– Dobrze. Bądź ze mną w kontakcie.

– Zadzwoń – powiedział Bruce. Dodał jeszcze, żeby się nie niepokoiła, i odwiesił słuchawkę. Po chwili wyszedł z recepcji i powlókł się do domku.

Tak już bywa, pomyślał. Gdy ktoś jest chory, staje się to ważniejsze niż wszystko inne. Szczególnie sprawy praktyczne. Nie zawsze możesz robić to, co uważasz dla siebie za najlepsze. Nikt nie może ciągle tak postępować. Rachunek ekonomiczny nie zawsze jest najważniejszy, nie można się opierać wyłącznie na nim. Poza tym, gdybym to ja zachorował, Milt na pewno by został.

I dlatego teraz jest najważniejszy. Zaoferował mi swą przyjaźń i dowiódł, że nie były to czcze słowa. Do diabła więc. Nic więcej nie mogę zrobić.

Gdy otworzył drzwi, Milt mruknął doń z łóżka:

– Już mi lepiej. To draństwo wraca falami. – Zdołał usiąść, za plecami ułożył poduszkę. – Zamknij drzwi – poprosił. – Światło mnie oślepia.

– Właściciele motelu boją się, że masz jakąś chorobę zakaźną.

– No to im powiedz, żeby czym prędzej uciekali. Wiesz, trochę myślałem o sprawie. Może jednak powinienes pojechać. Podaj mi portfel, jest w kieszeni marynarki. Mam tam zapisane nazwisko faceta od tych maszyn.

– Nie trzeba. Posiedzę tu.

– Dawaj portfel.

Bruce podał mu go. Milt zajrzał do środka. Postępując, wyciągał wizytówki i luźne karteczki. Każdej przypatrywał się uważnie, jakby chciał sobie przypomnieć, skąd się wzięła i po co ją trzyma. Niektóre wizytówki się posklejały; oddzielał je ostrożnie i przysuwał do oczu. Nad jedną się zamyślił. Przez dłuższy czas obaj się nie odzywali.

W końcu Milt wznowił poszukiwania i znalazł wizytówkę, o którą mu chodziło.

– Phil Baranowski – powiedział, odczytując zapiski na odwrocie. – Tu jest adres i numer telefonu. Phil to zabawny gość. Spotkałem go na przyjęciu dla hurtowników. Potem pokazał mi te maszyny; trzymał je razem z całą masą innego śmiecia, które chciał upłynnić. To było jakieś sześć lub siedem miesięcy temu. Pewnie wciąż ma tego ponad tonę.

– Nie pojedę – powiedział Bruce. – Po pierwsze dlatego, że z całą pewnością nie sprzeda mi tych maszyn, jeśli ciebie ze mną nie zobaczy, a po drugie, ponieważ nie powinienes zostawać sam. Nie jesteś w dość dobrej formie.

– Sprzeda ci je, jak użyjesz głowy. Daj mu jasno do zrozumienia, że mnie znasz.

W końcu Bruce wziął wizytówkę, jednak wątpliwości nie zniknęły. Co jeśli pojedzie sam do Seattle, a Baranowski nie zechce z nim gadać? Mimo że postanowił zostać w motelu, spytał:

– Może napisałbyś mu kilka słów? Albo zadzwonił do niego?

– Nie trzeba. – Milt wzruszył ramionami i zaraz się skrzywił.

– Jeśli zaczniesz się wymigiwać, mogę mu powiedzieć, żeby do ciebie zadzwonił? – Bruce znowu poczuł się winny, ale wolał nie zostawiać zbyt wiele przypadkowi.

– Jak chcesz. Jeśli mu się uda. Tutaj nie ma telefonu.

– Jest w recepcji.

Milt pokiwał głową.

Bruce usiadł na krześle w kącie, dokładnie na wprost Lumky'ego. Spróbował się uspokoić, ale kiepsko mu to szło.

– Słuchaj – powiedział nagle i wstał – rozejrzę się po okolicy i kupię coś do czytania. Co wolisz? Jakiś magazyn czy książkę?

Milt osunął się powoli do pozycji horyzontalnej. Otworzył oczy i zmierzył rozmówcę spojrzeniem od stóp do głów.

– Chciałbym ci coś powiedzieć, Bruce. Zastanawiałem się, co z tobą jest nie tak, dlaczego jesteś, jaki jesteś. I chyba w końcu wiem. Ty nie wierzysz w Boga, co?

Tym razem Bruce się roześmiał, tak bezsensowne było dlań to pytanie, chociaż Milt zadał je całkiem poważnym tonem. Najpierw krótko zachichotał, ale po chwili nie mógł już przestać. Prawie leżał na krześle, oczy przesłonił dłonią i łapiąc ciężko powietrze, zanosił się śmiechem. Milt patrzył wciąż na niego z powagą, a on nie mógł opanować śmiechu. Im bardziej się starał, tym było gorzej. W końcu całkiem go zatchnęło, nie mógł wykrztusić słowa. Ale wciąż się śmiał. Nie obśmiał się tak od podstawówki. Od tamtego sobotniego popołudnia, gdy oglądał w kinie Luxor komedię z The Three Stooges. Wiedział już, że Milta wzięło na żarty. Wcześniej, w samochodzie, też żartował. Cały czas bawił się jego kosztem, i to z kamienną twarzą. Bruce zaczął się niemal dusić ze śmiechu. Żebra go bolały, płucom brakowało tchu.

W końcu zdołał się jakoś pozbierać.

– Przepraszam – wykrztusił, idąc małymi kroczkami do łazienki. Zamknął za sobą drzwi i obmył twarz zimną wodą. Wytarł się ręcznikiem, uczesał włosy, przejrzał się w lustrze i wrócił do pokoju.

Milt leżał w tej samej pozycji co przedtem.

– Przepraszam – powtórzył Bruce drżącym głosem i ponownie usiadł na krześle.

– Czegoś tu nie rozumiem – powiedział Milt. – Zadałem ci proste pytanie, a ty mało płuc nie wypłułeś ze śmiechu.

– Proszę, dość.

– Dość czego?

– Więcej nie wytrzymam.

Milt przyjrzał mu się uważnie.

– Zwariowałaś? – spytał rzeczowo. – Spójrz tylko na siebie. Co ty masz w głowie, że śmiejesz się jak czubek, kiedy ci zadać podobne pytanie? – Usiadł na łóżku i skłębził sobie poduszkę za plecami. Twarz mu poczerwieniała i pomarszczyła się, jakby nagle zniknęły spod skóry zęby, kości i cała reszta. Jakby zapadła się w sobie.

– Powiedziałem, że przepraszam. Co więcej mogę dodać? – powiedział Bruce i podszedł do Milta z wyciągniętą ręką.

Milt uścisnął mu dłoń.

– Bardzo się o ciebie niepokoję – dodał jednak. – Nie próbowałbym z tobą poważnie porozmawiać, gdybym się nie niepokoił. – Puścił dłoń Bruce'a. – Jesteś bystry i masz osobowość, nie ma powodu, żebyś nie mógł wysoko zajść. Nie mogę patrzeć, jak poprzestajesz na kompromisach.

– Jakich kompromisach?

– Myślę o tym, że poddajesz się bez walki w sprawach, na których ci zależy. Nastawiłeś się na zrobienie pieniędzy na handlu, a stworzony zostałeś przecież jeszcze do... – Przez chwilę szukał słów. – Zaniedbujesz swoją duchowość.

– Przepraszam, ale chyba znowu nie uda mi się pohamować śmiechu – powiedział z wysiłkiem Bruce i podejrzenie zdrząła mu broda. Musiał przytrzymać ją dłońmi.

– Czemu to cię tak bawi?

– Nie wiem.

– Interesy robi się tylko z jednego powodu. Dla pieniędzy.

– Nie.

– No to dlaczego jeszcze?

– Jest też satysfakcja – powiedział Bruce.

– Jaja sobie robisz.

– Uważasz więc, że powinienem zostać raczej strażakiem lub kowbojem?

– Powinieneś cenić coś jeszcze w życiu. Coś stałego.

– Tak jak ty? – spytał, znów chichoczący, Bruce.

– Nie chcę wcale, żebyś stał się taki jak ja.

– Jeśli ci to nie odpowiadało, mogłeś się nie zajmować handlem. Ale ja nie widzę w tym nic złego.

– O tym właśnie myślę.

– Pragnienie poprowadzenia sklepu jest czymś stałym. Dla mnie to się liczy. Zawsze chciałem robić coś takiego. Odkąd byłem dzieckiem, zawsze chciałem.

– Może teraz tak myślisz. Oszukujesz sam siebie.

– A ty skąd możesz wiedzieć coś takiego lepiej ode mnie?

– Z zewnątrz zawsze więcej widać. Nikt nie ma wglądu w siebie.

– To znaczy, że lepiej niż ja sam wiesz, czego chcę? – spytał Bruce. – Nie potrafisz czytać w myślach. Nie wiesz, co się dzieje w mojej głowie.

– Powiem ci, co byłoby dla ciebie najlepsze. Co powinieneś robić, zamiast marnować sobie życie.

– Nie marnuję życia.

– Jasne, że marnujesz. Jak dzieciak próbujesz teraz dorwać trochę tanich japońskich maszynek. Czy to coś, z czego można być dumnym?

– Do diabła z tobą – warknął Bruce.

– Właśnie – sapnął Milt. – Do diabła ze wszystkimi. Ze mną, z Susan, ze wszystkimi. Ale spójrz w oczy prawdzie o sobie. Wiem, co w tobie siedzi. Nie jesteś dość dorosły, by się skupić na czymkolwiek poza zwykłymi, nastoletnimi zachciankami. Jesteś samolubny i niedojrzały. Jesteś przy tym dobrym dzieckiem i wszyscy cię lubią, ale tylko dzieckiem. Nie dorosłeś na tyle, na ile mógłbyś w tym wieku. Wciąż ci do tego daleko, a jeśli masz zamiar kiedyś tam dojść, to lepiej naucz się, co naprawdę liczy się w życiu.

– Za twoją poradą.

– Tak, bo ja wiem, dlaczego taki jesteś – potwierdził Milt.

– Chyba jednak będzie lepiej, jeśli się przejdę i poszukam czegoś do czytania. – Bruce otworzył drzwi. Oślepił ich blask słońca.

Milt się nie odezwał.

– Do zobaczenia – rzucił mu Bruce.

Nie było odpowiedzi.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Gdy wrócił jakąś godzinę później, Milt siedział na łóżku i wypisywał czek.

– Proszę – powiedział, podając go Bruce'owi. – To, co ci obiecałem. Prezent ślubny.

Czek opiewał na pięćset dolarów.

– Nie przyjmę go – zaprotestował Bruce.

– Ale bez tego nie kupisz maszyn. Poza tym to nie dla ciebie, ale dla Susan. Moja ostatnia szansa, by jej okazać, jak ją lubię. – Uśmiechnął się lekko. – Nie skorzystać z niej byłoby zbrodnią. Zresztą opływam w forszę i nie mam jej na kogo tracić.

– Dziękuję – powiedział Bruce, chowając czek do portfela. Żaden z nich nie wspomniał ani słowem o niedawnej sprzeczce.

– Mówiłem ci już, że zadzwoniłem do Cathy? – spytał Bruce.

– Nie.

– Znalazła kluczyki od samochodu, więc może tu przyjechać. Podałem jej adres.

Milt pokiwał głową.

– Właściciele motelu wiedzą, że jesteś chory – dodał Bruce. – Mają listę miejscowych lekarzy. Pytałem o nich.

– Świetnie – mruknął Milt. – Jak sądzę, zapewnią mi wszystko, czego potrzebuję – rzucił obojętnie.

– Nie będzie źle, jeśli pojedę?

– Już ci powiedziałem.

– Bo jeśli uważasz, że dasz sobie radę, to chyba bym pojechał.

– Będziesz tędy wracać, gdy załatwisz sprawę w Seattle?

– Nie. Myślałem pojechać wzdłuż wybrzeża i dalej dwudziestą szóstą przez Oregon.

– Szkoda, że zadzwoniłeś do Cathy. Nie ma powodu, by tłuła się aż tutaj. Za jakiś dzień wstanę i spokojnie wrócę Greyhoundem. – Położył się i wbił spojrzenie w sufit. – Mam nadzieję, że dostaniesz te maszyny – powiedział w końcu.

– Wolałbym nie rozstawać się w złości.

– Jestem tylko przygnębiony.

– Nie martw się o mnie.

- Dobra – mruknął Milt.
- Nawet jeśli nie wierzę w Boga, to ciągle wiem, jak korzystać z życia.
- Jest w tobie jakieś piętno martwoty.
- Niemożliwe – zaprotestował Bruce.
- Przypominasz tych naukowców, co wymyślili bombę wodorową – stwierdził Milt. –

Zimne i racjonalne dranie.

- Bez duszy – podsunął Bruce. Milt skinął głową.
- Może wszystkich nas rozwali – powiedział Bruce. – A wtedy to przestanie być istotne.
- Idę o zakład, że nawet to nie zburzyłoby twojego spokoju.
- Wręcz przeciwnie.
- Nawet byś nie zauważył.

Bruce zaczął zbierać swoje rzeczy z łazienki i pakować je do walizki.

– Może zresztą wyszłoby to ludziom na dobre – mówił Milt. – Mam na myśli bombę. Może by to ich obudziło.

- Wątpię. Wątpię, żeby to komuś mogło wyjść na dobre.

– Człowiek powinien czasem stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością – powiedział Milt z przekonaniem. I z goryczą.

Spakowawszy wszystko, Bruce poszedł jeszcze do recepcji i powiedział właścicielom, jak sprawy stoją. Potem dał im telefon Cathy, a po namyśle także swój i Susan w Boise. Dla pewności dopisał też nazwę i telefon firmy Milta. Wyjaśnił motelarzom, że Milt ma dość pieniędzy na swoje utrzymanie. Chciał być pewien, że będzie dobrze traktowany, gdy on odjedzie.

– Proszę się o niego nie martwić – powiedziała kobieta, odprowadzając Bruce'a do samochodu. – Będziemy mieli na niego oko. – Chętnie pomogła mu wyładować rzeczy Milta.

Zaniósł wszystko do domku.

- No to do zobaczenia – powiedział Lumky'emu. – I nie przejmuj się – dodał z progu.

– Nie przejmuję się – odparł Milt, nie patrząc na niego. – Tylko nie daj sobie wcisnąć niczego na piękne oczy.

W końcu Bruce wyjechał na drogę i zostawił motel oraz Milta za sobą.

Rozdział 13

Do Seattle dojechał wieczorem. Od razu zaparkował przy stacji benzynowej i zadzwonił do Phila Baranowskiego.

– Jest już dość późno – zauważył Baranowski, gdy usłyszał, kim jest gość i czego chce. – Dochodzi dziesiąta.

Bruce nie zdawał sobie sprawy, że to już ta godzina.

– To może jutro rano? – spytał. Koniec końców też potrzebował snu: po całym dniu jazdy nie był w formie do robienia interesów.

Umówili się na dziesiątą rano na rogu ulicy na przedmieściu. Baranowski zapewnił, że Bruce trafi tam bez problemu, ale w kwestii transakcji pozostał enigmatyczny. Stwierdził tylko, że chętnie pogada o maszynach.

Odwieszając słuchawkę, Bruce czuł, jak ogarnia go rozczarowanie. Przebył taką drogę... znalazł w końcu właściwego człowieka... A ten miał całkiem zwykły głos. Niczym nie różnił się od innych ludzi interesu.

Następnego ranka Bruce zaparkował wóz przy wskazanym rogu. Cierpliwie czekał, aż Baranowski się pokaże.

Za kwadrans dziesiąta chodnikiem nadszedł szczupły ciemnowłosy mężczyzna w lśniącej błękitnej dwurzędowce w drobne prążki. Miał chyba czterdzieści kilka lat. Pomachał do Bruce'a i nachylił się do okna mercury'ego.

– Pojedziemy pańskim wozem czy moim? – spytał. – Niech będzie pański. – Wskoczył na miejsce obok Bruce'a i pojechali. Baranowski pilotował. Był oszczędny w słowach, energiczny, o wyrazistym spojrzeniu. Nieustannie gestykulował. Wyglądał na uczciwego, ale zapracowanego. Bruce miał wrażenie, że dla Baranowskiego partia maszyn do pisania nie znaczy zbyt wiele, niemniej zna ich wartość i nie zamierza ich sprzedawać za pół darmo. Tyle że w zestawieniu z całą zawartością magazynu ten akurat punkt był dla niego jednym z pomniejszych. Bruce dowiedział się, że zasadniczo Baranowski działa w branży optycznej. Importował soczewki, pryzmaty, lornetki i mikroskopy z Japonii i Europy. Zaczynał przed laty jako szlifierz soczewek dla producenta okularów z Portlandu, potem do spółki z pewnym okulistą otworzył własny sklep. W latach czterdziestych pracował na potrzeby wojska, no a teraz miał to. Bez wątplenia utrzymywał bezpośrednie kontakty z japońskimi eksporterami soczewek. Maszyny do pisania musiały się wziąć z ich ubocznej działalności.

– Milt przypuszczał, że będą po jakieś pięćdziesiąt dolarów od sztuki – powiedział Bruce, zatrzymując wóz obok drewnianego magazynu położonego obok terenów jakiejś firmy chemicznej. Zaraz za płotem ciągnęły się rzędy wspartych na stelażach zbiorników. Chodnik był

zaniedbany, w wielu miejscach popękany.

– Milt był optymistą – rzucił Baranowski, wysiadając z samochodu. – Wspomniał, że wszystkie są w oryginalnych kartonach? – Otworzył boczne drzwi magazynu i weszli.

Wewnątrz było sucho i ciemno. Baranowski zapalił kilka lamp sufitowych.

– Mogę panu zaoferować do czterech setek tych maszyn. Wszystkie absolutnie identyczne. – Zdjął ze szczytu sterty niewielki karton i podał go Bruce'owi. Przy okazji pokazał mu wymalowane przez szablon oznaczenia na boku. – Zdziwiłby się pan, co czasem można znaleźć w takich kartonach zamiast oczekiwanej zawartości. Ale te są w porządku. Sprawdziliśmy je przed przejściem od przewoźnika. – Opowiedział Bruce'owi o pewnym bogatym brokerze na emeryturze, który zamówił sobie skrzynkę szkockiej marki Cutty Sark, a gdy dostał przesyłkę i otworzył ją, trafił na cegły. – I to ze Szkocji – zakończył Baranowski.

– Mogę otworzyć? – spytał Bruce.

– Proszę.

Bruce wyjął maszynę. Była identyczna jak ta na wystawie sklepowej w San Francisco.

– Mogę ją podłączyć i wypróbować? – spytał. Maszyna wydawała mu się nieoczekiwanie lekka. Nie cięższa niż książka i nieco mniejsza, niż pamiętał. Jednak wykończono ją starannie. Przyjrzał się śrubkom, stwierdził, że zostały dobrze dokręcone i nie wystają ponad obudowę.

Baranowski poklepał go po ramieniu.

– Proszę ją zabrać ze sobą – powiedział. – Trochę się spieszę – Niech pan wraca z nią do hotelu, czy gdzie tam się pan zatrzymał, i wypróbuj ją tak, siak i owak. Na ostro. Ja używam jednej od sześciu miesięcy i nie miałem z nią dotąd żadnych kłopotów. Świetna robota. – Wyłączył światła i poprowadził Bruce'a do drzwi. Po obu stronach piętrzyły się kartony mithriasów. Była ich cała sterta. Za nimi mroczniały jeszcze większe kartony z innymi maszynami. – Jak się pan upewni, że o to właśnie panu chodzi, to proszę do mnie przekreścić. Dobra? Wie pan, gdzie mnie znaleźć.

Podjechali z powrotem do dzielnicy biurowej. Baranowski wysiadł i wcisnąwszy rękę głęboko do kieszeni, zniknął w jakimś budynku. Maszyna została na siedzeniu obok Bruce'a. Baranowski dał mu ją bez wahania, chociaż przecież nigdy wcześniej się nie widzieli.

W motelowym pokoju Bruce ustawił maszynę na łóżku, obok ułożył papier i kalkę. Wielka szkoda, że nie jestem w tym dobry, pomyślał. Włączył urządzenie, które zaraz zaczęło pomrukiwać. W samej maszynerii potrafił się nieco zorientować. Niemal natychmiast docenił genialność konstrukcji. Szczególnie zaintrygował go mechanizm powrotny wałka: nie było żadnych cięgieł, tylko prosta sprężyna i zapadki, całkiem jak w kuszy. Można było regulować siłę uderzenia czcionek, wybierając albo mniejszą (przy jednej kopii), albo większą (gdy kopii miało być więcej). Stopień twardości klawiszy zmieniało się za pomocą śruby wystającej z tyłu,

tam też ustawiało się interlinię i marginesy. Wszystko ręcznie, jak w przedwojennych maszynach. W ostatecznym rachunku bez znaczenia. Najważniejsze, że konstrukcja była solidna i sprawiała się jak trzeba w szybkiej pracy. Była hałaśliwa: każda czcionka uderzała z rozgłośnym klik, ale to już wada wszystkich elektrycznych maszyn do pisania. Bruce odkrył, że przy dłuższym przyciśnięciu klawisza czcionka nie uderza ponownie, trzeba w tym celu całkowicie zwolnić klawisz i ponownie go wcisnąć. To chroniło przed przypadkowymi, wielokrotnymi nabiciami znaków. Dwoma palcami spróbował wypisywać litery *f* i *j* tak szybko, jak to tylko możliwe. Maszyna ani razu niczego nie poplątała, cały czas nadażała bez kłopotu. Wyraźnie skupiły się w niej wszystkie zalety elektrycznych maszyn: była szybka i nie wymagała silnego uderzania w klawisze.

Wziął śrubokręt i zdjął dolną płytę obudowy. Przyjrzał się wnętrzu. Czcionki poruszał gumowy wałek starego typu. Z silniczkami łączył go pasek, który wyraźnie się ślizgał. Już teraz było na nim widać ślady tarcia. Zapewne należało się przygotować na jego stosunkowo częstą wymianę. Zwiększało to obciążenie silniczka. Bruce zostawił maszynę włączoną na większość dnia, ale nie nagrzała się za bardzo. Pomyślał, że w razie zakleszczenia czcionek po jakiejś godzinie silniczki mogłyby się spalić. Jednak to też było zwykłą wadą większości elektrycznych maszyn.

Krój czcionek był dość tradycyjny. Bez wątplenia skopiowano go z typowych amerykańskich.

Bruce usiadł wygodniej i zaczął test roboczy. Przez ponad godzinę przesuwiał wózek tam i z powrotem, aż podrzucana wstrząsami maszyna przesunęła się na skraj łóżka. Niemniej mechanizm ani raz się nie zaciął. Podobnie sprawdził pozostałe mechanizmy. Działały idealnie, chociaż przy pisaniu klawisze zakleszczyły się parę razy i trzeba było wyłączać silniczek, żeby je odblokować.

Odciski poszczególnych czcionek wyglądały niczego sobie. Wszystkie uderzały z równą siłą. Potem przyjrzał się wyrównaniu znaków. Z tym było gorzej. Na przykład *n* prawie całkiem wyszło już z linii.

Bruce wkręcił nową kartkę papieru i napisał list do Susan. Stukał tylko dwoma palcami, więc trochę to trwało, ale ostatecznie osiągnął satysfakcjonujący efekt. Poinformował Susan, że list jest próbką tego, co potrafi nowy *mithrias*, i że napisał go, by sama mogła ocenić, ile warta jest ta maszyna, jego znajomość sprawy kończyła się na części mechanicznej, ona zaś od lat zarabiała na życie przepisywaniem. Co do konkretów, napisał, wszystko zależy od ceny. Jeśli tylko nie będzie wygórowana, zaraz je weźmie, żeby wstawić do sklepu, poprosił też Susan, by zadzwoniła do niego, jak tylko się zdecyduje. Dopisał numer telefonu motelu, włożył list do koperty razem z pierwszą i piątą kopią, zaniósł go do głównego urzędu w centrum i nadał do Boise pocztą lotniczą.

Następnego dnia poszedł z maszyną do punktu, który ogłaszał się, że „naprawia wszystkie rodzaje maszyn”.

Pulchny młody człowiek z kręconymi włosami obejrzał maszynę i spytał:

– Co to jest, u diabła? Jakaś włoska? Olivetti? – Odwrócił ją do góry dnem, szukając oznaczeń producenta.

– Nie, japońska.

– Co nawaliło?

– Nic. Chcę tylko sprawdzić, czy moglibyście się nią zająć w razie potrzeby.

– Proszę poczekać. Zawołam mechanika – powiedział młodzieniec i zniknął za zasłoną. Po chwili wrócił z masywnym starszym mężczyzną o ciemnych włosach i nagich, zarośniętych przedramionach. Ten bez słowa wziął maszynę, włączył ją, obejrzał sobie i posłuchał, jak pracuje.

– Zbudowana w Japonii – powiedział Bruce.

Mechanik zmierzył go spojrzeniem.

– Wiem. Skąd pan ją ma?

– Kupiłem w jednym sklepie w San Francisco.

– Jaką gwarancję panu dali?

– Dlaczego pan pyta?

– Z ciekawości.

– Żadnej – stwierdził Bruce.

– No tak. Ja nie wziąłbym czegoś takiego nawet za darmo.

– Dlaczego? – spytał ponownie Bruce. Ostatecznie po to właśnie przyniósł maszynę do punktu napraw, by dowiedzieć się o niej jak najwięcej od zawodowego mechanika.

– Nie dostanie pan części. Bo i skąd? Będzie pan pisać do Japonii? Czy ktokolwiek prowadzi u nas sprzedaż części do niej? – Włączył i wyłączył maszynę.

– Chyba nie – mruknął Bruce, konsekwentnie grając swą rolę.

– Nieźle złożona – powiedział mechanik, potrząsając maszyną i sprawdzając tempo powrotu wałka. – Ci Japończycy to bystrzaki i mają do tego małe palce. Mogą sięgnąć przy montażu tam, gdzie biały nie wsunie nawet kciuka. Proszę tylko popatrzeć. – Pokazał Bruce’owi, jak blisko zostały zmontowane niektóre ruchome części. – Dlatego budują takie małe urządzenia. Ale jakby co, to jak u licha naprawiać, gdy nawet narzędzia nie pasują? – Wsunął końcówkę śrubokrętu w parę miejsc, demonstrując, że jest o wiele za duży do niektórych widocznych śrubek. – A żeby ją wyczyścić, to trzeba by ją praktycznie całkiem rozebrać.

– Miał pan już jakąś w naprawie?

– Kilka – powiedział kudłaty młodzieniec.

– Lepiej trzymać się amerykańskich produktów – powiedział mechanik. – Dobra marka to

znana marka.

Bruce wziął maszynę, podziękował i wyszedł z warsztatu.

Na wszelki wypadek sprawdził w jeszcze jednym miejscu. Tym razem trafił na ponurego mężczyznę, który chyba nigdy nie widział mithriasów. Bez słowa obejrzał maszynę ze wszystkich stron, nawet jej nie włączył, o nic też nie pytał. W końcu pokręcił głową.

– To coś nowego? – spytał. – Niektóre śruby są w systemie metrycznym. Będzie z tym trochę kłopotu.

– Może pan ją uruchomić?

– Oczywiście. Co się w niej zepsuło? – Teraz dopiero włączył ją do kontaktu i wkręcił papier.

– Na razie nic.

– Rozumiem, z góry się pan zabezpiecza. To pańska?

– Niezupełnie. Może być moja. Jak pan sądzi, ile powinienem za nią dać?

– Jest nowa? – Mężczyzna postukał w gumowy wałek. – Była używana. Widać odciski czcionek na gumie.

Porozmawiali jeszcze trochę i wyszło im, że nowa maszyna tego typu warta jest około dwustu dolarów. Tyle że zapewne będą z nią spore kłopoty w razie konieczności jakiegokolwiek naprawy. Niemniej wyglądała na solidnie zbudowaną, taką, co to przy odrobinie szczęścia długo może służyć bez awarii. Mechanik wystukał pracowicie kilka słów. Używał tylko jednego palca, a nie dwóch, ale i tak zablokował czcionki. W końcu skapitulował.

– Nie piszę zbyt biegle – przyznał się w końcu.

– Ja też nie – powiedział Bruce. Podziękował i wyszedł z maszyną pod pachą.

Zatem można było liczyć na serwis, o ile mechanik skłonny byłby się podjąć trochę trudniejszej roboty. Tak samo jak z zagranicznymi aparatami fotograficznymi lub samochodami. Wkalkulowane ryzyko. To poprawiło Bruce'owi humor. Mógł z czystym sumieniem brać się do sprzedaży mithriasów.

Pojechał pod adres, który podał mu Phil Baranowski. Na drzwiach biura widniał napis WEST COAST OPTICS, za nimi zaś rozciągał się jasno oświetlony i udrapowany aksamitami stół z ekspozycją sprzętu optycznego.

– Zdecydował się pan? – spytał niewidoczny Baranowski. Po chwili wyszedł skądś z łomem w dłoni. Miał podwinięte rękawy. Obok biura Bruce dojrzał mały magazyn. Baranowski musiał właśnie podważać wieko jakiejś skrzyni. – Jeśli nie będzie to panu przeszkadzać, wrócę do pracy. – Podeszedł znów do skrzyni i podniósł leżącego na niej papierosa.

– W zasadzie jestem zdecydowany, ale wszystko zależy od tego, ile pan za nie chce – powiedział Bruce.

– Ładnie zrobione, prawda? Tam za morzem nie mają taśm produkcyjnych, jak u nas.

Wszystko robią w jednym miejscu. Najpierw ktoś zaczyna, potem przychodzi drugi, a następnie trzeci i tak dalej. Taką metodą potrafią wyprodukować profesjonalny sprzęt nawet w garażu. Albo w piwnicy. Starczy im kilka prostych obrabiarek. Podczas wojny robili w takich piwnicach nawet soczewki i lustra. I to podczas bombardowań. Większość tych swoich elektronicznych cudeniek składają narzędziami za jedyne sto dolarów. Gdyby w Japonii sprzedawano te zestawy do majsterkowania, które teraz każdy ma w garażu, to mieliby bombę atomową wcześniej niż my.

– Ile pan chce za te maszyny? – spytał Bruce.

– Bierze pan je wszystkie?

– Nie. Wszystkich nie upchnę. Za diabła. Zbyt dużo problemów z serwisem.

– Że jak? – zdziwił się Baranowski. Przerwał pracę i zamachał łomem.

– Brak części, konstrukcja opracowana w skali metrycznej, mało miejsca do pracy w środku.

Wszystko ciasno upakowane. Do niczego nie można się swobodnie dostać.

– Uważa pan, że będą się psuły?

– Każda maszyna się psuje. A elektryczna wymaga nieustannej konserwacji.

– Niech się klient o to martwi.

– Będziemy musieli dodać do nich jakąś gwarancję.

– Z importowanym towarem lepiej tego nie ryzykować. Bo chyba nie będzie pan informował na wstępie, że to japońskie?

– Nie.

– To już połowa sukcesu – powiedział Baranowski. – Jeśli pomyślą, że to krajowa robota, wtedy i o serwis nie będą się martwić.

– Tak się nie robi – zauważył Bruce. – Nie handluję tandetą.

– To nie jest tandeta – uniósł się Baranowski. Zostawił skrzynię i wymachując łomem, wrócił do biura. – To dobry kawał roboty i każdy, kto choć trochę zna się na maszynach, z miejsca to rozpozna.

– Ile? – spytał Bruce, czując, że Baranowski zajmuje właśnie pozycje obronne.

– Za ile sztuk? Nie chcę sobie napytać kłopotów. Nie chcę rozbijać partii, wolę sprzedać komuś te maszyny na wyłączność. Jak panu puszczyć trochę i komuś trochę, to będzie pan musiał uważać na konkurencję.

– Nie będę ich sprzedawał w tej okolicy.

– A gdzie?

– W południowym Idaho.

– W rejonie Boise?

– Tak.

– Gdzieś jeszcze?

- Nie – stwierdził Bruce.
- Mogę dać panu dwieście.
- Za ile?

Baranowski siadł przy biurku i zaczął coś liczyć.

- Piętnaście tysięcy – powiedział w końcu.

Bruce'a to niemal ogłuszyło. Szybko oszacował, że Baranowski życzy sobie po siedemdziesiąt pięć dolarów za maszynę.

- Za dużo i za wiele – odpowiedział.
- No to ile? Więcej nie mogę opuścić.
- Może być pięćdziesiąt?

- Żartuje pan? – rzucił cicho Baranowski. – Pięćdziesiąt to dla mnie prawie detal.

- Nikt nie kupuje w detalu pięćdziesięciu maszyn do pisania.

– A pan ile chce za nie brać, żeby zarobić przy takiej ilości? Dziwne ma pan metody sprzedaży. Wyraźnie brakuje panu doświadczenia – stwierdził Baranowski i wycofał się do magazynu.

- Dobra – powiedział Bruce. – Niech będzie siedemdziesiąt pięć.

- Przy siedemdziesięciu pięciu wyniesie to pana około stu dolarów za sztukę.

- Nie. Siedemdziesiąt pięć po czterdzieści dolarów sztuka.

– Cóż, miło było pana poznać – mruknął Baranowski, odwrócił się do Bruce'a plecami i zajął się skrzynią.

– Kupię siedemdziesiąt pięć maszyn po czterdzieści dolarów za jedną. Płacę trzy tysiące gotówką. Mam gotówkę. Wezmę je bez gwarancji, ale muszą być identyczne z tą, którą mi pan pożyczył. I wszystkie w oryginalnych kartonach.

Baranowski nawet się nie odezwał.

– Dam panu czas do jutra. Będę czekać na telefon – powiedział Bruce i ruszył do drzwi. – Tę pożyczoną maszynę zostawiam na stole.

Zamknął za sobą drzwi i nieco roztrzęsiony zszedł schodami na dół.

Następnego dnia rano zadzwoniła do niego Susan.

– Dostałam twój list – powiedziała. – Wygląda niczego sobie. Kupuj je. Bardzo jestem ich ciekawa. Jak myślisz, ile zdołasz przywieźć?

- Czas pokaże – odparł Bruce.

Dzień ciągnął się niemiłosiernie. Telefon odezwał się znów dopiero późnym popołudniem. Tym razem dzwonił oczywiście Baranowski.

– Mogę zaproponować panu tylko jedno. Albo pan to przyjmie, albo nie. Nie zamierzam się targować. Sześćdziesiąt maszyn po pięćdziesiąt dolarów sztuka. Jak wiem, ma pan trzy tysiące

do wydania, więc wyjdzie akurat.

– No to się dogadaliśmy – stwierdził Bruce.

– Dobra. Nie jestem zachwycony, ale wyraźnie nie ma pan za diabła doświadczenia w tej robocie, więc niech będzie. Tyle że proszę nie nachodzić mnie już więcej z podobnie niepoważnymi propozycjami.

Niebawem Bruce znów podjechał pod magazyn. Spisali umowę na jednej z maszyn, Bruce zapłacił potwierdzonym czekiem. Potem załadowali sześćdziesiąt zapieczętowanych kartonów do mercury'ego. Bruce sprawdził, czy wszystkie noszą identyczne oznaczenia.

– Chyba jednak je otworzę – powiedział nagle. Baranowski jęknął.

– To ja mam je sprzedawać ludziom – rzekł Bruce. – A panu nie powinno to przeszkadzać.

Wyładował sześćdziesiąt kartonów z samochodu i złożył je z powrotem na rampie załadunkowej. Mimo że stał nad nim skrzywiony cierpko Baranowski, otworzył wszystkie po kolei śrubokrętem. Każdą maszynę wyjmował i upewniał się, że to jest dokładnie to, za co zapłacił. Nie trafił na nic niespodziewanego, tyle że jedna miała wgniecioną z boku pokrywę. Baranowski bez słowa przyniósł z magazynu jeszcze jeden karton i wcisnął go Bruce'owi w rękę.

– Powodzenia – powiedział i zniknął we wnętrzu hurtowni, tym razem na dobre.

Bruce odjechał z sześćdziesięcioma przenośnymi maszynami do pisania. Wyraźnie czuł, jak amortyzatory samochodu siadają pod ich ciężarem. Czy dobrze zrobił? Było już za późno, żeby się nad tym zastanawiać.

Zajrzał do motelu, spakował walizkę, zapłacił rachunek i ruszył z powrotem do Boise.

Rozdział 14

Ponad dobę później, o pierwszej po północy, Bruce wjechał do Boise. Zaparkował przed domem, zamknął samochód i wspinał się po schodach. Sam otworzył sobie drzwi i od razu poszedł do sypialni. Stał w nogach łóżka i poczekał, aż Susan się obudzi.

– Och! – krzyknęła, widząc go nagle nad sobą.

– Wróciłem – powiedział.

Zerwała się z łóżka i sięgnęła po podomkę.

– Obejrzyjmy je – powiedziała, zapinając guziki. – Wciąż jeszcze są w samochodzie?

– Jestem zbyt zmęczony – sapnął Bruce. Przysiadł na brzegu łóżka i zaczął ściągać buty. – Przyjechałem, jak mogłem najszybciej. Spałem tylko kilka godzin.

Susan pochyliła się i pocałowała go.

– Cieszę się, że wróciłeś.

– Ale to była harówka – mruknął. Rozebrał się i nie wkładając piżamy, tak jak siedział, wsunął się pod koce. W łóżku było ciepło i pachniało Susan. Zasnął niemal natychmiast.

Jednak nie na długo.

– Bruce – odezwała się Susan, budząc go. – Mogę wziąć jedną? Chciałabym obejrzeć.

– Dobra – wymamrotał i znów zasnął.

Gdy znowu się obudził, ujrzał Susan siedzącą na skraju łóżka. Wciąż była w podomce i domowych pantoflach, ale Bruce czuł, że musiało minąć sporo czasu.

– Cześć.

– Bruce, jesteś dość przytomny, żeby na coś spojrzeć? – spytała Susan.

Ton jej głosu sprawił, że mimo zmęczenia Bruce niemal natychmiast się dobudził. Usiadł i spojrzał na zegarek. Spał półtorej godziny.

– O co chodzi?

Susan wstała z łóżka i podeszła do drzwi sypialni.

– Chcę, żebyś coś zobaczył.

Pozbierał się, naciągnął spodnie i poszedł za nią na dół, do salonu. Na stole stała znajoma maszyna marki Mithrias, a obok leżały dwie kupki papieru maszynowego, jedna biała, druga żółta. Susan musiała trochę pisać.

– Proszę. – Podała mu broszurkę. Poznał instrukcję obsługi maszyny.

– I co?

– Sam zobacz.

Przyjrzał się broszurce. Na okładce widniało jedynie słowo „Mithrias”, a pierwszą stronę zajmował rysunek maszyny z numerkami wskazującymi na poszczególne jej części. Bruce

odwrócił stronę.

Instrukcja była po hiszpańsku.

– To znaczy, że nie przypląnęły do Seattle wprost z Japonii – stwierdził Bruce. – Najpierw musiały trafić do Meksyku albo Ameryki Łacińskiej.

– Aż się boję ci to powiedzieć – odezwała się Susan, patrząc na niego jakoś dziwnie. – Klawiatura nie jest standardowa.

– Co to znaczy?

– Nikt, kto pisze zawodowo, na pamięć, nigdy do niej nie siądzie. Sprawdziłam dziesięć sztuk. – Wskazała w bok i dopiero teraz dostrzegł dziesięć otwartych kartonów. – Zapewne wszystkie są takie same.

– Wyjaśnij dokładnie, w czym rzecz – poprosił, ale już rozumiał. – Myślałem, że klawiatura zawsze jest standardowa.

– Nie. W różnych krajach obowiązują różne standardy. Ta jest hiszpańska. Patrz. Tutaj jest odwrócony znak zapytania. I jeszcze *n* z tyldą. – Wystukała oba znaki. Bruce nie zwrócił na nie wcześniej więcej uwagi niż na znak procent czy nawiasy. – Większość liter jest w tym samym miejscu co w klawiaturze angielskiej, ale nie wszystkie. Zresztą nawet u nas istnieje kilka różnych wzorów klawiatury. Tylko w tym jednym kraju.

Przez dłuższy czas oboje milczeli.

– Czy każda maszynistka to pozna?

– Owszem. Ledwie zacznie pisać.

– Czyli prawie nikt tutaj nie będzie mógł z nich korzystać?

– Nie sprzedamy ich z niestandardową klawiaturą – powiedziała Susan. – Takich nie ma już w handlu. Od lat ich się nie sprzedaje. Wszystko zostało znormalizowane i nikt nie oczekuje niespodzianek. Co powiedział ten człowiek, który ci je sprzedał? Chcę zobaczyć umowę.

Bruce przyniósł umowę i oboje ją przeczytali. Oczywiście nie było w niej nic o klawiaturze.

– Trzeba sprawdzić, czy czek został już... Chociaż to był potwierdzony czek, prawda? To przepadło. Możemy pojechać do Fancourta i zobaczyć, co powie. Pomyślałam jednak, że wolałbyś, abym najpierw cię obudziła i powiedziała, co odkryłam.

– Jasne.

– Zostały ci jakieś pieniądze?

– Nie.

– No to jak chciałeś je zareklamować?

– Sprzedając kilka, żeby kupić miejsce w gazecie.

– Muszę się ubrać – powiedziała Susan, idąc do sypialni. Po jakimś czasie wróciła w sukni, ze związanymi na plecach włosami. – Masz papierosa? – spytała, myszkując po salonie.

– Proszę. – Podał jej paczkę. – Ciekawe, czy Milt wiedział.

- Oczywiście, że nie wiedział.
- Sądzę, że chyba jednak.
- Milt nigdy nie pozwoliłby ci ich kupić, gdyby wiedział. Znam go od lat.
- Nie przypuszczasz, że może mieć do nas żal? I że chciał się odegrać?
- Za co?
- Za to, że się pobraliśmy – powiedział Bruce.
- Dlaczego?
- Bo interesował się tobą.
- Rozumiem, że najchętniej wróciłbyś teraz do tamtego motelu, żeby go spytać.
- To nieważne. – Bruce był głęboko przekonany, że Milt wiedział. – Chyba będziemy musieli się ich jakoś pozbyć.
- Tak – przyznała Susan. – Pytanie, czy zdołamy.
- Wszystko można sprzedać – zapewniał Bruce. – To tylko kwestia ceny. Może da się je przerobić. Przetawić klawisze i czcionki.
- Nie mamy już pieniędzy. Może gdybyś coś zachował...
- Gdybym oszczędzał, to w ogóle bym ich nie kupił.
- I oszczędziłbyś nam wstydu! – wybuchnęła Susan.
- Całe dwa dni ich szukałem.
- I nie zauważyłeś odmiennej klawiatury.
- Nie znam się na pisaniu.
- Ale że nic cię nie tknęło...
- Nie. Nie tknęło – rzucił Bruce. – Cóż, stało się.
- Nie przywykłam do takich wypadków – powiedziała Susan nieswoim głosem. – Nigdy nie pracowałam w dyskoncie, który kupuje każde barachło.
- Problem polega na tym, że nie mamy dość kapitału, aby to spisać na straty – stwierdził Bruce, starając się ignorować jej słowa. – I to mi się nie podoba. To bardzo źle. – Nie patrzył na nią, gdyż nie mógł znieść tego, co malowało się na jej twarzy. Mieszanki złości, lęku i wyrzutu.
- Chodźmy spać. Rano obejrzymy resztę. Może nie wszystkie są takie.
- Dlatego właśnie chciałam pozbyć się firmy – ciągnęła Susan. – To straszna rzecz, gdy ktoś cię oszuka.
- Bruce wzruszył ramionami.
- Cóż, musiał być jakiś powód, że były takie tanie. Teraz już wiemy, co to jest. Ale z pewnością zdołamy coś wymyślić. Nie... – Urwał. – Uporamy się z tym.
- Znowu coś kombinując?
- Coś wymyślę.
- Dziwnie się z tym czuję – powiedziała drżącym głosem. – Sama jestem sobie winna, że

wdałam się w coś takiego. Nie winię ciebie.

– Nie ma co mówić o winie.

– Prawda. – Zacisnęła mocno dłoń na dłoni. – Chcę powiedzieć, że to moja wina. Chciałam kogoś, kto mówiłby kupieckim językiem, myślał jak kupiec. No i mam, czego chciałam więc nie będę się nad tym rozwodzić. – Zaczęła chodzić tam i z powrotem. Po drodze poprawiała przedmioty stojące na kominku, układała równo gazety na stoliczku. – Zostałam ukarana. Powinnam pozbyć się wszystkiego. Odsprzedać mój udział Zoe.

Nic nie powiedział.

– W końcu powinnam też wiedzieć, jak działa sklep dyskontowy.

– Pozbędziemy się ich – zapewnił ją raz jeszcze Bruce. – Jak?

– Całą partią. I za tyle, ile zapłaciliśmy. Sprzedamy je komuś, kogo będzie stać na przeróbki. Gdybyśmy mieli pieniądze zapewne sami moglibyśmy się nimi zająć.

– Oczywiście – parsknęła Susan. – Spróbujesz zrobić komuś to samo, co ten gość zrobił nam. Poszukasz kogoś, kto nie zauważy. Gdybyś ty się zorientował, to pewnie i tak nabrałby kogoś innego.

– Zgadza się. – Bruce'owi zaczynało się już coś rysować. – Mogę pojechać do Reno. Porozmawiałbym z moim byłym szefem. Możliwe, że zainteresowałby go ten towar. Dla nich byłby to dobry interes.

– Powiesz im o klawiaturze?

– Cóż... Jak to się mówi: strzeż się, kliencie.

– Jeśli to zrobisz, nie waż się nawet wracać.

– Co?

– Jeśli tam pojedziesz, to do nich zadzwonię. Znam nazwisko twojego szefa. Powiem mu o klawiaturze.

– Dlaczego? – zdumiał się Bruce.

– Nie chcę zrzucić ich nikomu na głowę. Nigdy nie robiłam interesów w ten sposób. Wolę już stracić.

– Nie stać nas na stratę.

– Chcesz powiedzieć, że mnie nie stać. To moja firma, nie twoja. I ja zgodzę się stracić. Prędzej wyjdę z interesu, niż je komuś wcisnę. Chyba że ktoś je zechce, wiedząc, co z nimi jest. Zdaje się, że tego nie rozumiesz?

– Rozumiem, że jesteś rozżalona i że oboje potrzebujemy snu – powiedział Bruce. – Kładźmy się, na miłość boską! Cały tydzień byłem w drodze. – Okręcił się na pięcie i wrócił do sypialni. Usiadł na łóżku, rozpiął spodnie, wstał, żeby je zdjąć i wsunął się pod koce.

Susan stanęła w drzwiach.

– Słuchaj, dość mam tego. Więcej nie wytrzymam.

Wstał i ponownie się ubrał, tym razem całkowicie. Założył nawet krawat.

– Do zobaczenia – powiedział.

– Gdzie się wybierasz? – spytała, idąc za nim na dół.

– A kogo to obchodzi? – Otworzył frontowe drzwi. – Do zobaczenia – powtórzył i ruszył do samochodu.

Drzwi zatrzasnęły się za nim tak gwałtownie, że aż echo poszło po pustej, ciemnej ulicy. Gdzieś rozszczękały się psy. Bruce wsiadł do samochodu, zapalił silnik i odjechał.

Przez godzinę jeździł bez celu, aż znalazł się na dziewięćdziesiątej piątej międzystanowej. Skręcił na Montario. Dlaczego nie? – pomyślał.

W Montario podjechał znajomymi ulicami pod dom Peg Googer. Parkując, przyjrzał się oknom, ale nie dostrzegł choćby smużki światła. Oczywiście, mruknął pod nosem. Była trzecia albo czwarta nad ranem. Wysiadł z samochodu i podszedł do drzwi. Dość długo pukał, ale nikt nie otworzył. Obszedł więc dom i zastukał do okna, które wedle jego rozeznania należało do sypialni Peg.

Wreszcie otworzyły się drzwi. Stała w nich Peg w białym szlafroku.

– Boże, Bruce Stevens – wyszeptała, wyraźnie spłoszona. – Co się stało? Znów zapomniałeś marynarki?

– Może byś mnie wpuściła i pozwoliła przenocować? – spytał Bruce. – Właśnie wróciłem z Seattle.

– O nie. Chyba zapomniałeś, że teraz masz żonę – stwierdziła Peg, zastawiając ciałem drzwi.

– Jestem zbyt zmęczony, żeby jechać do Boise – mruknął i przepchnął się obok niej.

Nim zdążyła zamknąć drzwi i rzucić się za nim w pogoń już powiesił marynarkę w szafie w jej sypialni. Chciał jedynie spać i nie zwracał uwagi na głośne protesty dziewczyny. Zrzucił ubranie, padł na łóżko i naciągnął koc na głowę.

– A ja niby gdzie mam iść?! – krzyknęła nieco histerycznie Peg.

Zamknął oczy i nic nie powiedział.

– Będę spała w drugim pokoju – oznajmiła w końcu dziewczyna i zebrawszy swoje ubranie oraz kosmetyki z toaletki, wyszła. Po chwili jednak wróciła. – Co tam trzymasz w samochodzie? Spakowałeś wszystko i wyprowadziłeś się? Wolałabym wiedzieć. – Czekaając na odpowiedź, chodziła wkoło łóżka. – Jeśli zamierzasz tu spać, to lepiej mi powiedz. To chyba niezupełnie zgodne z prawem, co? Jesteś żonaty. Susan będzie cię tu szukała?

– Nie – mruknął.

– Nie śpij jeszcze – zażądała wręcz pogodnie Peg. – Chcę z tobą pogadać. – Zapaliła lampę przy łóżku. – Naprawdę wyglądasz na skonanego. Chyba od miesiąca się nie goliłeś. Urwałeś się na weekend?

Nie odpowiedział. W końcu zgasła światło i wyszła z pokoju.

– Dobranoc – rzuciła z korytarza. – Muszę wstać wcześniej do pracy, więc pewnie się nie zobaczymy. W lodówce są jajka i kielbasa wieprzowa. Jak będziesz wychodził, zamknij dom. Bo wyjdiesz, tak? – spytała, zaglądając raz jeszcze do pokoju.

– Tak.

W końcu zamknęła drzwi i mógł zasnąć.

Następnego dnia wstał w południe, wykapał się, ogolił, ubrał, zjadł śniadanie w kuchni Peg i pojechał do Boise.

Susan była w firmie. Siedziała za jednym z biurek nad sporym plikiem papierów. Gdy zauważyła Bruce'a, odłożyła papierosa.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć.

– Przepraszam za sprzeczkę. – Oparła brodę na dłoniach, potem potarła czoło i wbiła spojrzenie gdzieś w dół. – Wiesz, to już koniec firmy i mam tylko nadzieję, że to nie będzie i nasz koniec.

– Też mam taką nadzieję. – Podeszedł do niej i przysunął sobie krzesło. Usiadł. Objął ją i pocałował. Miała suche wargi, prawie nie oddała pocałunku.

– Jeśli zamierzasz zrobić kogoś w kupno tych maszyn... – Jej podkrążone oczy wypełniły się łzami. – To moja wina. Ja jestem za to odpowiedzialna.

– Dlaczego?

– Bo byłem twoją nauczycielką – wykrztusiła wreszcie. Głos jej drżał, ścisnęło ją w gardle. – Miałam wpływ na twoje wychowanie.

Bruce musiał się uśmiechnąć.

– To aż taki grzech? A co robisz, kiedy ktoś da ci fałszywy banknot? Nie przekazujesz go dalej?

– Nie.

– Naprawdę? – Sądził, że Susan mówi tak tylko dla efektu. – Każdy to robi.

– Nie widzisz, że na tym właśnie polega różnica pomiędzy nami? Wciąż uważasz, że żartuję...

– Nie przypuszczam, żebyś żartowała, ale w praktyce... – Rozmyślił się i nie dokończył zdania. – Teoria to jedno. A my musimy pozbyć się tych maszyn, zgadza się? Nie możemy sobie pozwolić na stratę. Wielka firma, jak CBB, nawet by tego nie zauważyła. Co roku pewien procent transakcji z góry spisywany jest na straty. Ściągają tyle różnych rzeczy, że zgodnie z regułami statystyki jakaś część zakupów musi być chybiona...

Skinęła głową. Słuchała.

– Ale z nami jest inaczej – zakończył.

– Wszyscy w świecie biznesu myślą tak jak ty, prawda? Ale to zupełnie inny świat niż mój. Nie ma w nim miejsca na dobro i zło. Ja bym tak nie potrafiła. Nie wiem, czy zostaniemy z tymi maszynami, czy jednak ktoś je weźmie, ale żądam, byś temu komuś powiedział, co to za towar. Naprawdę. Jeśli pojedziesz do Reno, zadzwonię do tego człowieka, Eda van Scharfa czy von Scharfa. – Pokazała mu notes, gdzie miała nazwisko Eda, i telefon dyskontu.

– Mogę dziś zostać w domu na noc? – spytał po dłuższej chwili.

– Oczywiście – odparła, gładząc Bruce'a po ręce i wpatrując się intensywnie w jego oczy, jakby oczekiwała jakiegoś znaku. Czegось, co podpowiedziałyby jej, jak dalej postępować. – Zeszłej nocy też mogłeś. Nie musiałeś wychodzić. Gdzie pojechałeś?

– Przespałem się w samochodzie.

– Nie rób tego więcej, proszę. Nawet się nie położyłam, do rana krążyłam po domu i biłam się z myślami. Nie powinnam wypominać ci pracy dla dyskontu, ale to prawda. Twoje podejście do sprawy różni się od mojego. Zadzwoiłam do Fancourta, przyjdzie zaraz po zamknięciu biura, około szóstej. Chcę go zapoznać z sytuacją. Wiem, że nic nie poradzi, ale chcę mieć pewność.

– Dobry pomysł – stwierdził Bruce, chociaż nie widział, jaki z tego mógłby być pożytek.

– A potem pozbędę się biura. Sporo się tu nauczyłam. Z trzech tysięcy zostało do spłacenia tylko pięćset, więc zostanie nam całkiem sporo. Możliwe nawet, że Zoe będzie chciała kupić ten lokal. Zażądam za niego około pięciu tysięcy. Chcę się go pozbyć, mieć wszystko z głowy. A gdy już to zrobię, zastanowimy się, co dalej. – Uśmiechnęła się do niego z nadzieją.

– Nie chcesz spróbować sprzedać tych maszyn?

– Wątpię, czy się uda – odparła po chwili wahania.

– Uda się.

– To nie jest takie pewne.

– Pojadę do domu i wezmę te dziesięć, które wniosłaś – powiedział Bruce i wstał.

– I co potem?

– Nawet jeśli sprzedasz lokal, coś trzeba będzie z nimi zrobić.

– Chcesz jechać do Reno?

– Tak – stwierdził. – Chyba że wpadnie mi do głowy coś innego.

– Mam nadzieję, że gdy wrócisz, ja już załatwię sprawę lokalu.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że jej uwierzył. Naprawdę zamierza sprzedać biuro, pomyślał, i jeśli tylko nic nie stanie jej na przeszkodzie, niezawodnie to zrobi. Jednak na pewno nie aż tak szybko, uznał. Taka transakcja wymaga trochę czasu i starań.

– Mogę wziąć pięćdziesiąt dolców na wydatki? – spytał. Wydał wszystko, co miał.

– Chyba tak. – Spojrzała na rejestr kasowy i wyciągnęła z portmonetki dwadzieścia pięć

dolarów. Potem dorzuciła jeszcze dwie dziesiątki i garść bilonu z szuflady. – Razem prawie pięćdziesiąt – powiedziała.

– Starczy. Benzynę kupię na kartę kredytową.

– Wierzysz mi, gdy mówię, że zadzwonię do twojego byłego szefa?

– Zobaczymy. – Nie sądził, żeby naprawdę chciała przeszkodzić mu w sprzedaży feralnych maszyn. Oboje wiedzieli, w jakiej sytuacji się znaleźli: nie było ich stać na luksus uczciwego opowiadania o nietypowych klawiaturach. Podobnie jak Baranowski, musieli liczyć na to, że ktoś się jednak nie zorientuje. Może zresztą Baranowski też nic o tym nie wiedział, póki nie rozpakował którejs z czterech setek zakupionych maszyn...

I tak to szło, z kupca na kupca, pomyślał Bruce. Z Meksyku do Seattle, może przez San Diego, Los Angeles, San Francisco albo Portland i jeszcze mniejsze miasta po drodze.

A teraz my je mamy.

Pora na kolejny ruch. Trzeba się ich pozbyć, niech ruszają dalej w świat.

Bruce w głębi ducha był pewien, że Susan widzi to tak samo. Sprawa była zbyt poważna. Tak trzeba.

– Wiesz, kiedy zadzwoniłeś z trasy i wspomniałeś o Milcie... – powiedziała Susan. – Zaniepokoiłam się, gdy powiedziałeś, że mógłbyś odjechać i go zostawić. Pomyślałam, że ode mnie też będziesz czasem odchodzić, jak ostatniej nocy. Gdy wyliczysz sobie, że nie opłaca ci się być ze mną dłużej, gdy dojdiesz do takiego punktu, w którym przestaniesz widzieć się tutaj, ze mną. Może mogłabym ułożyć się z tobą na twoich warunkach. Bo sądzę, że można żyć inaczej, niż ja żyję. Może nawet mogłabym żyć sama. W sumie zawsze tak było. Przynajmniej od czasu, gdy... chciałam powiedzieć: „gdy byłam w twoim wieku”, ale po prawdzie miałam wtedy dziewiętnaście lat. Może byś się nad tym zastanowił? Nie o to ci chodziło? O żonę, która zadba o siebie, a przy okazji też o ciebie?

– Wiesz, że nigdy tak nie myślałam.

– Świadomie może nie.

– Głupie gadanie – rzucił coraz bardziej wkurzony.

– Naprawdę podświadomie nie szukałeś we mnie oparcia? Wszystko za tym przemawia: starsza od ciebie kobieta, która zawsze kojarzyła ci się z kimś, na kim można polegać, kto poprowadzi przez życie.

– Nigdy tak tego nie widziałem – stwierdził Bruce, stojąc w drzwiach biura. – Bałem się ciebie. Żyłem, wypatrując dnia, kiedy będę mógł odejść z twojej klasy.

– Kłamiesz. Potrzebowałeś czyjśgo wsparcia. Opiekuna, który by ci powiedział, jak żyć.

– Nie bądź mściwa – powiedział w miarę spokojnie, choć uszom nie wierzył. Jak ona może tak mówić? – myślał. Chyba robi to tylko po to, żeby mnie zranić. Gada, co jej ślina na język przyniesie...

– Byłeś dzieckiem o słabym charakterze – ciągnęła. Błada, ale opanowana. – Łatwo uzależniałeś się od innych.

– To nieprawda – wykrztusił Bruce.

– Prawda. Miałeś starszego brata. Zajmuje się teraz badaniami medycznymi, prawda? Zdobył wiele stypendiów. Pamiętam jego oceny. Był świetny, pamiętam.

– Dobrze się bawisz? – spytał Bruce. – Baw się tak dalej.

– Rozumiem, chcesz mi dowieść, że jesteś dorosły i potrafisz samodzielnie podejmować decyzje – powiedziała Susan z bezlitosną przenikliwością. W chwilach największej złości za wszelką cenę pragnęła się odegrać. – Gdybyś tylko sam potrafił to dokończyć... Chciałabym, żeby tak było, dla twego i naszego dobra. Żeby starczyło ci umiejętności i doświadczenia. Pewnie nie powinnam ci tego wszystkiego mówić, co? Nie jesteś dość silny psychicznie, by to znieść. Przepraszam. – Jednak nawet teraz oczy lśniły jej czystym okrucieństwem. Wciąż się zastanawiała, jaką by tu jeszcze wbić mu szpilę. – Wcześniej czy później trzeba stawić czoło prawdzie o sobie – rzuciła, zmieniając ton. Teraz prawie krzyczała, i to ostrym, nieprzyjemnym głosem, który Bruce pamiętał sprzed lat. Wtedy ten głos mroził mu szpik w kościach. Skrzywił się. Znów, tak jak wtedy, zaczynał się bać, prawie że kulił się ze strachu i poczucia winy. Przypomniał sobie, jak bardzo nie cierpiał wtedy Susan i jaki czuł się bezsilny. Nagle pogroziła mu triumfalnie palcem. – Chyba cię przejrzałam. Kupiłeś te maszyny, wiedząc podświadomie, że mają pewien defekt, bo chciałeś się na mnie zemścić. Rozładować nienawiść, którą żywiłeś do mnie jako jedenastolatek. Ty wciąż masz jedenaście lat. Emocjonalnie zatrzymałeś się na poziomie podstawówki. – Spojrzała na niego i lekko zdyszana czekała, co on na to powie.

Nie miał nic do powiedzenia. Bez słowa opuścił biuro. Z początku nie patrzył nawet, gdzie idzie. Wlókł się na oślep po przedmieściach Boise.

Co za podłość, myślał. Zrobi wszystko, żeby urwać choć punkt.

Może to i prawda. Może faktycznie całkiem podświadomie zauważył nietypową klawiaturę. Koniec końców długo się w nią wpatrywał. I wyszło podobnie jak z Miltem, który zachorował w odpowiedniej chwili. Zachorował, żeby odpłacić mu i Susan za swą krzywdę.

Ale jak sprawdzić coś takiego?

Może to zresztą nieważne. Kupiłem te maszyny, Milt zachorował. Takie czy inne ukryte powody nie miały z tym nic wspólnego. W tej chwili muszę się przede wszystkim pozbyć sześćdziesięciu elektrycznych maszyn do pisania marki Mithrias.

I niech mnie szlag, jeśli wspomnę o klawiaturze. Od tego mają oczy, żeby patrzeć, co kupują.

Począł do zachodu słońca i ruszył w drogę.

Lepiej, jeśli zawczasu wysmażę odpowiednią opowieść, powiedział sobie, siedząc za

kółkiem. Przede wszystkim będą chcieli wiedzieć, dlaczego się ich pozbywam. Zależnie od tego, co odpowiem, albo od razu ich przekonam, albo wszystko zawalę.

Jechał zatem i myślał.

Przez kilka godzin nic nie przyszło mu do głowy. Potem, całkiem znikąd, zakiełkowało najlepsze kłamstwo, jakie kiedykolwiek sklecił. Absolutnie perfekcyjne wyjaśnienie jego poczynań.

Musi sprzedać te maszyny, bo przedstawiciel jakiejś wielkiej amerykańskiej firmy, Royała, Underwooda albo Remingtona, dostał cynk, że Bruce je ma, i zagiął na niego parol. Zjawił się w biurze i powiedział, że jeśli zacznie sprzedawać te maszyny, to nigdy już nie dostanie przedstawicielstwa żadnej amerykańskiej firmy. Co więcej, odmówią mu także dostaw części i akcesoriów. Po prostu go wykończą. Gdyby zaś sprzedał maszyny gdzieś dalej, na przykład w innym stanie, to zostanie uznany za przedstawiciela firmy Mithrias.

To jedno akurat było w tych maszynach dobre – one naprawdę mogły utkwąć amerykańskim firmom cierniem w boku.

Sklep dyskontowy w rodzaju CBB powinien być skłonny skorzystać z takiej szansy. O ile kupią tam jego opowieść, oczywiście.

Jeśli uwierzą, to świetnie. Jak nie, to nie. Na dodatek, jeśli je kupią, to pewnie za godziwą cenę, ze sporym zyskiem dla mnie. Nie za pięćdziesiąt od sztuki, ale może siedemdziesiąt pięć. To by znaczyło zarobek rzędu tysiąca pięciuset dolarów. Pięćdziesiąt procent na górkę, całkiem ładnie.

Oczywiście nigdy potem nie będę mógł postawić nogi w Nevadzie, pomyślał Bruce.

Ciekawe, czy mi się uda. Sam pomysł dość go podniecał. To już nie była wyłącznie kwestia pozbycia się maszyn, ale i zarobku. I to nie na byle kim, ale na sklepie dyskontowym. Na tych, którzy uczyli go fachu.

Żeby tak nabrać byłych pracodawców... To było wyzwanie.

Rozdział 15

Usiedli z Edem von Scharfem w biurze górującym nad halą CBB.

– No to spójrzmy, co tam masz – powiedział rzeczowo.

– Mówi pan tak, jakby mnie oczekiwał.

– Twoja żona dzwoniła – wyjaśnił von Scharf. – Przedstawiła sytuację. Ile za nie zapłaciłeś?

– Pięćdziesiąt od sztuki – mruknął zasmucony Bruce.

– Muszę ściągnąć tu kogoś z działu maszyn do pisania – powiedział von Scharf, przepraszając gościa na chwilę. Gdy wrócił, prócz fachowca od maszyn towarzyszył mu także Vince Pareti, jeden z dwóch braci, właścicieli sklepu. W trójkę pochylili się nad przyniesionym przez Bruce'a mithriasmem.

– Klawiaturę da się przerobić – powiedział w końcu spec od maszyn. – Będzie się trochę różniła, ale tylko w drobiazgach. Prawie bez znaczenia. Litery i cyfry są w porządku, a to najważniejsze. – Skinął głową Paretiemu i von Scharfowi, po czym ruszył do drzwi.

– Ile to będzie kosztowało? – spytał go Pareti. – W przybliżeniu.

– Zrobimy to po kosztach, więc góra pięć doliczów od maszyny.

Wyszedł, a von Scharf wycofał się na tyły biura. Negocjacjami zajął się Pareti.

– Zapłacimy czterdzieści pięć dolarów od sztuki. Weźmiemy twoje sześćdziesiąt i będziemy chcieli jeszcze adres tej hurtowni, gdzie leży reszta. Jak sądzisz, ile mu zostało?

– Około trzystu czterdziestu.

– Ile może za nie chcieć?

– Nie wiem – powiedział Bruce, czując, że wszelkie kombinacje nie zdadzą się psu na budę.

– Zapewne udałoby się zbić cenę poniżej pięćdziesięciu za sztukę. Tyle ja zapłaciłem.

– Właśnie. Tak powiedziała nam twoja żona. Chcieliśmy się tylko upewnić. Nie chcemy, żebyś tracił, ale sam widzisz, że będziemy musieli ponieść pewne koszty, aby można je było sprzedać. Stracisz tylko trzysta dolarów. W sumie niewiele.

– Może dla pana.

– Ja dałbym mu pełne pięćdziesiąt.

– O, nie! – orzekł Pareti tonem zwiastującym, że nie zmieni zdania.

– Przywiózł je nam. I sam je wynalazł, myślę, że to też jest coś warte. Jego żona mówiła, że tydzień za nimi jeździł. My wycenimy je gdzieś pod dwieście.

– Jestem przeciwko takim rozwiązaniom, ale jeśli chcesz, to proszę, wypisz czek na trzy tysiące. Może być? – spytał Bruce'a. – Pozbędziesz się ich, nic nie tracąc.

– Myślę, że są warte znacznie więcej niż pięćdziesiąt za sztukę – zaprotestował słabo Bruce.

Obaj mężczyźni się uśmiechnęli.

– Rzućmy monetą – zdecydował von Scharf. Wyciągnął pięćdziesięciocentówkę i rzucił ją w powietrze. – Reszka, że nie sprzedasz ich drożej... – Moneta przeleciała obok jego dłoni i spadła na podłogę. – Reszka – oznajmił. – Nie sprzedasz. – Podniósł monetę i schował ją do kieszeni.

– Czy mogę prosić o godzinę do namysłu? – spytał Bruce. Obaj pokiwali głowami.

Gdy wyszedł z biura, po chwili dołączył do niego von Scharf. Przy drzwiach wyjściowych klepnął go w plecy.

– Wiesz, trochę mnie rozczarowałeś. Przecież widziałeś je chyba przed kupnem?

– Widziałem.

– Gdybyś kupił je dla nas, już byś tu nie pracował.

– Zobaczymy się za godzinę – powiedział Bruce. Odwrócił się i wyszedł na parking, gdzie stał jego samochód.

Jakąś godzinę jeździł po ulicach, a potem zatrzymał się przy lokalu dla zmotoryzowanych i zamówił piwo ananasowe.

W długich trasach, kiedy zasychało w gardle, słodowe piwo o smaku ananasa kojarzyło mu się z dziewczynami, plażami i błękitną wodą, z radiami tranzystorowymi i tańcami, szczęściem późnych lat szkolnych. Tym, co miał z nich najlepszego.

Dokoła w większości samochodów siedziały pary nastolatków. Słuchali radia, zajadali hamburgery, popijali piwo słodowe.

Czy powinienem sprzedać im te maszyny? – myślał. Skoro mogą je przerobić za pięć dolarów od sztuki, to pewnie ja też bym mógł. Chociaż nie. To ich cena. Oni mają na tyłach warsztat i fachowców, ja nie.

Niemniej dotarło do niego, że gdyby nie miał wyjścia, mógłby uporać się z tym sam. Kosztowałyby to co najmniej trzysta dolarów, a zapewne więcej. Tyle że nie musiałby przerabiać od razu wszystkich sześćdziesięciu maszyn, starczyłoby kilka. Potem by je sprzedał, zyskując pieniądze na przerobienie następnych, i tak po kolei.

Skończył piwo i ruszył dalej, aż ujrzał szyld punktu napraw maszyn do pisania. Zaparkował i wziął jednego mithriasa. Pokazał go mechanikowi i spytał, ile kosztowałoby przerobienie klawiatury i czcionek.

Mechanik, niski i poważny, porządnie ubrany gość w białej koszuli, krawacie i wyprasowanych spodniach, obejrzał maszynę ze wszystkich stron i stwierdził, że dwadzieścia do dwudziestu pięciu dolarów.

– Aż tyle?! – wykrzyknął struchlały Bruce.

Mężczyzna wyjaśnił, że czcionki da się rozlutować i pozamieniać miejscami, ale klawisze trzeba będzie wyrywać z mocowań, a to zawsze ryzykowna robota.

– Dałbym radę zrobić to sam? – spytał Bruce.

– To zależy, na ile pan jest dobry w rękach.

– A co narzędziami?

– No właśnie. Potrzebowaliby pan jeszcze narzędzi. Ale kupować je do jednej maszyny...

– Mam ich sześćdziesiąt.

– Powinien pan się dogadać z jakimś mechanikiem – poradził mężczyzna. – Takim, co ma warsztat, narzędzia i wie, jak to zrobić. Gdy zacznie pan sam kombinować, najpewniej zruszmy pan na początek parę czcionek, a wtedy koniec z maszyną. Założę się, że nie dostanie pan do nich części.

Bruce podziękował i wyszedł.

No i klops. Chyba żeby rzeczywiście się dogadać. I ewentualnie dopuścić takiego mechanika do spółki.

Ale ilu ich znał? Ani jednego. W każdym razie nikogo dość dobrego.

Mają mnie, pomyślał. Kupią te maszyny, przerobią i zgarną olbrzymi zysk. Cała moja praca, jeżdżenie, planowanie i szukanie na nic... I koniec z R & J Mimeographing Service, czy jak byśmy to nazwali. Odzyskamy prawie wszystkie pieniądze, ale się nie odbijemy. Bo i jak? I co dalej?

No i mam maszyny, pomyślał, ale nie mogę z nimi nic zrobić. Ani przerobić, ani sprzedać. A trzeba mi do tego tylko pieniędzy. Pieniądzy. Kilkuset dolarów. Tysiąca. Albo lepiej dwóch tysięcy. Ale niech by było cokolwiek. Tyle że skąd je wziąć? Jesteśmy winni bankowi tysiąc pięćset plus odsetki. Co gorsza, rodzina i Milt Lumky już wykorzystani. Nic do sprzedania, do wynajęcia, zamiany, zastawienia.

A może mój samochód?

Nie jest dość wiele wart. Nic z tego.

Może więc dom Susan? Pożyczylibyśmy pod zastaw na termin dość długi, żeby przerobić te przekłete maszyny i sprzedać.

A potem przypomniał sobie, że Susan jednak zadzwoniła. Zadzwoniła do nich i powiedziała o klawiaturze. Skoro tak, to najpewniej nie będzie już chciała ciągnąć tej sprawy. Może więc dać spokój temu kombinowaniu?

Głupio postąpiła. Niemoralnie. Chociaż ona myśli inaczej, pomyślał. Dla niej to absolutnie uczciwe posunięcie.

I to było najgorsze. Postępowała, kierując się tym, co uważała za swą moralną powinność.

On jednak wiedział swoje. To było żalosne posunięcie stawiające go w bardzo przykrym położeniu. Twoja żona do nas dzwoniła, powiedział mu Ed. Twoja żona nam powiedziała. Wysłała cię w drogę, żebraku i kłownie. W imię czego to zrobiła? Aby uchronić CBB przed stratą? Przecież nigdy nawet nie widziała tego sklepu i wyraźnie go nie lubiła.

Nigdy się nie dowiem, pomyślał. Nie rozumiem jej. Więc do diabła z tym.

W końcu zadzwonił do żony z automatu w drugistorze.

– Wzięli je od nas – powiedział.

– Och, dzięki Bogu – ucieszyła się Susan. – Za ile?

– Czterdzieści pięć od sztuki.

– Co za ulga – westchnęła. – Cudownie, Bruce. To znaczy, że prawie odzyskamy pieniądze.

Ile tracimy? Trzysta dolarów? Zbyt się cieszę, by ta suma robiła na mnie wrażenie. Możemy sobie powiedzieć, że to były pieniądze Milta, część jego prezentu ślubnego. Nawiasem mówiąc, przy okazji zadzwoniłam do niego. Jest w Pocatello, w mieszkaniu swej przyjaciółki. Spotkałeś ją, to Cathy Hermes.

– Jak on się miewa?

– O wiele lepiej. Wraca na trasę. Spytał, czy mamy te maszyny, więc powiedziałam mu... – zawahała się – powiedziałam mu, że z nich zrezygnowaliśmy.

– Dlaczego?

– Bo... pomyślałam, że mógłby się zmartwić.

– Dlaczego miałby się tym martwić?

– Gdy się zastanowiłam, doszłam do podobnego wniosku co ty. W gruncie rzeczy nie wiem. Postąpiłam tak bezwiednie. Chociaż gdyby poznał prawdę, mógłby się poczuć winny. Chyba po to dał nam te pięćset dolarów: żeby uspokoić sumienie. Długo o tym myślałam. To duża suma.

– Ja myślę raczej, że to przez pamięć dawnych czasów. Byliście przyjaciółmi.

– Nie. Skąd ci to przyszło do głowy? Nie sędzę, że bym znała go lepiej niż ciebie.

– Więc jak, mam im sprzedać te maszyny? – spytał Bruce.

– Tak, tak. Bezwarunkowo. Zanim się rozmyślą.

– Nie rozmyślą się. Zamierzają wpakować w nie jakieś dziewięć tysięcy dolarów plus jeszcze trochę godzin roboczych mechanika.

– Czy pan von Scharf wspomniał coś o twojej pracy?

– Dlaczego pytasz? – spytał Bruce, czując, że dreszcz przebiega mu po plecach.

– Byłam ciekawa, czy poruszył ten temat. Skoro zamierzamy zamknąć biuro, będziesz musiał pomyśleć o pracy. Bo naprawdę zamierzam zamknąć firmę, Bruce. Po twoim wyjeździe porozmawiałam z Fancourtem. Powiedział, że to dobry pomysł. Mogłabym wtedy siedzieć w domu z Taffy.

– Wspomniałaś o tym von Scharfowi?

– Tyle, że może przeniesiemy się do Reno.

– Co odpowiedział?

– Że czeka na ciebie praca.

– Dobra. Do zobaczenia – rzucił Bruce i chciał odwiesić słuchawkę.

– Wrócisz do jutra? – spytała jeszcze Susan.

– Tak.

Na Boga, pomyślał, rozmawiała z nim o mojej pracy. Pewnie wszystko już uzgodnili. Wymiar godzin, pensję, zakres obowiązków.

Wrócił do samochodu. Przez dłuższą chwilę tylko siedział za kierownicą, w końcu jednak zapalił silnik i wrócił do punktu napraw, gdzie porządnie ubrany mechanik podał mu szacunkową cenę.

– Chcę, żeby się pan do tego zabrał – powiedział Bruce. – Może od razu?

– Tak. Proszę postawić tu maszynę – polecił mężczyzna cichym, spokojnym głosem. Wziął ją i przeniósł na blat roboczy. – Nie jest ciężka – zauważył.

– Chciałbym popatrzeć, jeśli nie będzie to pana irytować – powiedział Bruce, szykując sobie długopis i kartkę.

– Chce pan się nauczyć, jak to się robi, tak?

– Zgadza się.

– Postawmy więc sprawę uczciwie. Żeby to panu coś dało, samo przyglądanie się nie starczy. Musi pan wiedzieć więcej. – Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę. – Bardzo się panu spieszy? Może pan zaczekać do wieczora?

– Myślę, że tak.

– Proszę więc przyjść po obiedzie. Około siódmej. Siądzie pan tutaj, przy moim blacie, i zrobimy wtedy wszystko krok po kroku. W ten sposób będę miał pewność, że nauczy się pan, co trzeba robić. W przeciwnym razie zniszczy pan sześćdziesiąt maszyn do pisania.

– Myśli pan, że się nauczę?

– Bez wątplenia. Będzie to pana kosztowało trzydzieści dolarów. Pozwolę panu wykonać tyle pracy, ile tylko będzie możliwe. Zamykam wieczorem. – Odstawił mithriasa na bok. – Zatem do zobaczenia o siódmej.

Bruce wyszedł z warsztatu w nieco lepszym nastroju. Całkiem zwyczajny na oko introwertyczny mechanik siadł tymczasem na swoim miejscu i kołysząc krawatem, zaczął znów stukać w klawisze starego elektrycznego IBM-a.

Nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś takiego, pomyślał Bruce.

Wrócił tam wieczorem. Mężczyzna wpuścił go i przystąpił do pracy. Nie wyglądała na trudną. Gdy skończył, sprawdził wszystko, a Bruce zabrał się do drugiej maszyny. O dziesiątej wiedział już co trzeba o lutowaniu i przeróbce czcionek i przeszedł do klawiszy. Potem mężczyzna pokazał mu jeszcze, jak wyrównywać znaki specjalnymi narzędziami, które przyginały wysięgniki.

– Pewnie będzie pan musiał kupić te narzędzia – powiedział. Skrupulatnie zanotował na kartce ich nazwy i wymagane rozmiary. Ręcznie, staromodnym charakterem pisma. – Zapisałem też panu kilka miejsc, gdzie można je kupić. Gdyby ich nie mieli, może je pan ściągnąć ze

wschodniego lub zachodniego wybrzeża. Przydadzą się też później. Jeśli zamierza pan sprzedawać maszyny do pisania, to prowadzenie serwisu pana nie minie. Trzeba będzie wynająć człowieka, urządzić stanowisko robocze. W przeciwnym razie zbyt wiele będzie to pana kosztowało.

Bruce zapłacił mężczyźnie, podziękował i wyszedł.

Wiem już, że mogę sam dokonać przeróbek, mówił sobie, wracając do samochodu. Potrzebuję tylko narzędzi. Spisał krok po kroku wszystko, co trzeba zrobić, a potem sprawdził całą listę. Mógł sięść do pracy w każdej chwili, czy to za tydzień, czy za miesiąc. Według mechanika narzędzia nie powinny go wynieść więcej niż piętnaście dolarów. Pod warunkiem że tanio kupi palnik spirytusowy. Wiedział już, gdzie najlepiej szukać tego wszystkiego: w dziale z narzędziami CBB. W nocy ruszył z powrotem do Boise. Sześćdziesiąt maszyn wciąż leżało w samochodzie.

Gdy Susan zobaczyła kartony, natychmiast zapytała:

– Czemu ich nie sprzedałeś? Rozmyślili się?

– Nie. To ja zmieniłem zdanie.

– Dlaczego?

– Zamierzam je przerobić. Pewien gość w Reno pokazał mi jak.

– Ale ty nie jesteś mechanikiem!

– Lecz to umiem. – Potrzebne narzędzia kupił w Reno. – Nic nas to nie wyniesie, chyba że chcesz doliczyć robociznę po kosztach. – Zaczął ładować kartony na wózek.

– Nie tobie o tym decydować – stwierdziła Susan.

– Już postanowiłem.

– Gdy rozmawiałam z nimi przez telefon, powiedziałam, że przywieziesz maszyny, żeby je sprzedać.

– Nie dogadaliśmy się.

– Nie było nic do dogadywania. Wszystko ustaliłam już z nimi przez telefon. Próbowalesz ich nakłonić, by zapłacili więcej, tak? Chciałeś uzyskać lepszą cenę, oni odmówili, więc sobie poszedłeś? – Wyglądała raczej na zdumioną niż wściekłą. Nie rozumiała, dlaczego wrócił z maszynami, i była pewna, że musiał mieć po temu jakiś ukryty powód. Najpewniej zrobił to rozmyślnie... Patrząc, jak przenosi maszyny, zastanawiała się, co począć. Wypytywać dalej, czy zrobić mu awanturę? Bruce w ogóle nie zwracał na nią uwagi.

– Będę pracować tutaj – powiedział, gdy zamilkła. – Jeśli uda mi się uprzętnąć jakieś biurko. Nie potrzebujemy ich wszystkich natychmiast, na razie starczy kilka, żebyśmy mieli co sprzedawać. – Obie przerobione maszyny umieścił na wystawie. – Dwie już są gotowe – powiedział.

Zaciekawiła się, na czym polegają zmiany. Przerwał pracę by jej pokazać.

– Zniszczysz je – stwierdziła.

– W żadnym razie.

Susan zdołała się wreszcie opanować. Założyła ręce na piersi i głęboko wciągnęła powietrze.

– Wiesz, wynajęłam cię, żebyś zajmował się zakupami – powiedziała niskim, drżącym z napięcia głosem.

Bruce pomyślał, że to może zapowiadać dosłownie wszystko.

– Zgadza się – przyznał. – A gdy kogoś do czegoś zatrudniasz, powinnaś takiej osobie dać wolną rękę i pozwolić, by wykonała pracę w sposób, jaki uzna za najlepszy. W każdej lepszej firmie powiedzą ci to samo.

Popatrzyła na niego tak, że dalej nie wiedział, co o tym sądzić.

– Prezydent Eisenhower stosuje tę zasadę w Europie – dodał.

– Może jedną z tych przerobionych maszyn powinieneś zatrzymać na wzór? – spytała po jakimś czasie Susan.

– Mam wszystko spisane – powiedział Bruce i pokazał notatki. – Widzisz?

– Niemniej... – nie dawała za wygraną.

– Będziemy musieli pomyśleć nad stawką godzinową – zmienił temat Bruce.

– Istotnie – burknęła Susan, chyba sarkastycznie. Bruce nie słyszał jej dość wyraźnie, nie miał więc pewności.

Dalej stała z rękami założonymi na piersi i patrzyła, jak pracuje. Nie odzywali się do siebie, żadne z nich nic nie powiedziało, tylko Bruce pomyślał: zrozumiała wreszcie, do czego mnie zatrudniła. To jest moja praca. To ja decyduję.

Tego wieczora pracował w biurze do późna, przerabiając maszyny. Uporał się z dwoma, po czym zmęczony pogasił światła i pojechał przez miasto do domu. Susan oczywiście poszła już spać. Miło tak wracać, pomyślał, biorąc prysznic w znajomej już łazience. Włożył świeżą piżamę i zasnął obok żony.

Następnego dnia wstał późno. Gdy się obudził, stwierdził, że Susan już wstała, ubrała się, zjadła śniadanie i wyszła. Trochę jeszcze poleżał na wznak, rozkoszując się spokojem. W końcu wstał, zjadł lekkie śniadanie, ogolił się, włożył czystą bawełnianą koszulę w paski, krawat, spodnie i pokręcił się po pokojach. Wciąż go cieszyło, że ma własny dom.

Z okna salonu spojrzął na trawnik i krzaki róż. Obok leżał zwinięty wąż ogrodowy.

Piękny widok, pomyślał, patrząc w głąb ulicy. Z pobrzękiwaniem nadjechał wóz mleczarza. Kierowca wysiadł i pogonił po długich cementowych stopniach domu po przeciwnej stronie ulicy. Miło patrzeć, jak ktoś inny się spieszy, uznał Bruce. Świat pracuje. Każdy człowiek zajmuje w nim jakąś niszę, ja zaś muszę przyznać, że nie jestem szczególnie niezadowolony ze

swojej.

Oto koniec długiej podróży, pomyślał. Koniec wielu męczących godzin za kierownicą.

Włożył marynarkę i wyszedł z domu. Wsiadł do samochodu, zapalił silnik. Po chwili jechał już do biura.

Przy krawężniku, naprzeciwko R & J Mimeographing Service, stała żółta półciężarówka z opuszczoną tylną klapą. Pojazd wydał mu się dziwnie znajomy. Bruce zaparkował i wyłączył silnik. Siedząc za kierownicą, przyjrzał się półciężarówce.

Drzwi biura były otwarte, ktoś podparł je cegłą. Nagle pojawił się w nich chłopak w koszuli i spodniach w kolorze khaki. Ciągnął wózek wyładowany kartonami. Z wprawą zatoczył nim półkole i zatrzymał pod klapą. Przeniósł kartony, wszedł na górę, ułożył je i sprawnie zeskoczył na chodnik. Po chwili zniknął z pustym wózkiem w Murze.

Przecież ja go znam, pomyślał Bruce. Ten sukinsyn jest z Consumers' Buying Bureau, to ich półciężarówka. Zabiera maszyny do pisania. Przyjechał po nie, gdy spałem.

Bruce otworzył gwałtownie drzwiczki merkurycy, wyskoczył zeń i pobiegł chodnikiem do półciężarówki.

– Ejże! – krzyknął prawie bez tchu do chłopaka, który wyszedł właśnie z kolejnym ładunkiem kartonów. – Co tu się, u diabła, dzieje?

Młody człowiek popatrzył na niego i najwyraźniej zaświtało mu, że skądś go zna.

– Cześć – rzucił nieco zmieszany. – Chwilę, niech sobie przypomnę... widzieliśmy się w CBB, pracował pan tam, nazywa się pan... – Zatrzymał wózek i zamyślił się, plasnawszy dłonią w czoło. Miał około siedemnastu lat, krótko przycięte włosy, ciężkie policzki i muskularne ramiona.

– Ona jest w środku?

– Myśli pan o pani Stevens? – spytał chłopak i nagle machnął ręką. – No tak, pan jest Bruce Stevens.

Bruce wszedł do biura. Susan siedziała na skraju jednego z biurek w głębi i paliła papierosa. Włożyła dziś ciemnozielony kostium na oficjalne okazje, była starannie uczesana, miała poważną minę. W pełni nad sobą panowała. Spojrzała na niego, ale nic nie powiedziała.

– Co się dzieje? – spytał Bruce możliwie naturalnym tonem.

– Postanowiłam się ich pozbyć.

O Boże, pomyślał.

– Miałeś rację, mówiąc, że zatrudniłam cię, abyś decydował o zakupach.

– Niech mnie... – wybełkotał Bruce. Musiał ukryć dłonie w kieszeniach, tak mu drżały.

Chłopak z CBB zajął się na powrót załadunkiem kartonów. Chyłkiem przemykał z wózkiem tam i z powrotem. Nic przy tym nie mówił i w ogóle udawał, że go nie ma.

– Czy wciąż jesteśmy małżeństwem? – spytał Bruce, stając przed Susan.

– O tak – powiedziała z emfazą i zamrugła lekko, jakby zaskoczona.

Czyli go zwolniła. Nie miał już pracy. W nocy albo nad ranem przemyślała sobie wszystko i podjęła decyzję. Zadzwoiła do CBB i maszyny były już w półciężarówce. Jakim cudem chłopak przyjechał tak szybko? Może zadzwoniła już wieczorem, gdy on pracował nad czcionkami. Zdecydowała o tym, zanim jeszcze Bruce wrócił do domu i położył się spać. Uzgodniła z nimi, by uwinęli się raz dwa. Pewnie poszukała telefonu zaraz, gdy wyszła z biura. Starczyło jej, że zobaczyła maszyny. Ale nie powiedziała wtedy ani słowa.

– Dlaczego to przede mną ukryłaś? – spytał z wysiłkiem.

– Dość miałam kłótni.

Odjęło mu mowę.

– Uznałam, że dalsza dyskusja na ten temat to marnowanie czasu. Wiedziałam, że się uparłeś i że cię nie przekonam.

– Nadal uważam, że warto spróbować.

– To mój sklep – stwierdziła Susan. – Oboje zgodziliśmy się, że ja jestem tu właścicielką. – Popatrzyła na niego stanowczo. – Maszyny są moje, zgadza się? Niechętnie o tym przypominam, ale są moje. Kupiłeś je za moje pieniądze.

– Nie wszystkie pieniądze były twoje – powiedział Bruce. – Co z tymi, które dostaliśmy od moich rodziców?

– Połowa tej sumy jest moja. To daje tylko pięćset dolarów.

– I były jeszcze pieniądze od Milta.

– Ich połowa też prawnie należy do mnie.

– Tak czy owak, część z tych maszyn jest moja – stwierdził Bruce.

Skinęła głową, jednak nie uznała tego chyba za zbyt ważne.

– Zamierzam zabrać, co moje – oznajmił.

– Nie krępuj się – rzuciła i zaciągnęła się nerwowo papierosem.

Wyszedł na zewnątrz, do półciężarówki. Chłopak właśnie podnosił tylną klapę. Kartony zamocował wcześniej tak, by podczas jazdy nie przesuwały się po skrzyni.

– Do diabła – mruknął Bruce. – Część z nich jest moja.

– Zgadza się – potwierdziła Susan, stając w drzwiach sklepu z ołówkiem w ręku. – Część jest jego. – Szybko obliczyła ile.

– Żeby to wszystko piekło pochłonęło – warknął Bruce. Obrócił się na pięcie i ruszył prosto do mercury'ego. Wsiadł, trzasnął drzwiczkami, włączył silnik i od razu ruszył. Nabierając szybkości, minął półciężarówkę. Chłopak i Susan ciągle stali obok niej i o czymś rozmawiali.

Niech je sobie biorą, pomyślał. Niech je sobie w dupę wsadzą.

Roztrzęsiony zwolnił i skręcił w prawo, w cichy zaułek. Zatrzymał wóz. Hałaśliwa ulica została z tyłu. Tutaj było naprawdę spokojnie. Zgasił silnik. Samochód toczył się jeszcze przez

chwilę, aż Bruce zaciągnął ręczny hamulec.

Czy powinienem pojechać do domu i zabrać rzeczy? – pomyślał. Nie. Pewnie nigdy już tam nie wejdę. Za żadne skarby. Paskudnie wyszło. Tyle pracy na nic. Że też tak się wszystko musiało popieprzyć. Jak ona może tak myśleć? Ustalać na zimno, ile maszyn należy do niej i dlaczego... Może zadzwoniła do swojego prawnika.

Teraz mogę równie dobrze wracać w trasę. Do jeżdżenia. Ale jakoś nie miał na to ochoty. Zapalił silnik i ruszył przed siebie. Jestem w dzielnicy willowej, pomyślał. Same trawniki i podjazdy. Przez jakiś czas jeździł gdzie oczy poniosą. I rozmyślał.

Nie sądziłem, że tak skończę. Ale nigdy nic nie wiadomo. Znam ją od tylu lat, jeszcze z podstawówki. A w szkole średniej doręczałem jej gazety. Nie zaprosiła mnie wtedy do siebie. Właśnie, to mi powinno było dać do myślenia. Cokolwiek by powiedzieć, zostałem wtedy ostrzeżony. Teraz przecież zachowała się tak samo.

Najlepiej będzie, jeśli wynajmę jakiś pokój w mieście i pomieszkam w nim trochę, aż się pozbieram. Może wtedy coś wymyślę.

Na razie nie miał głowy do ważniejszych spraw. Zajmę się tym później, postanowił.

Ostatecznie wjechał w tę część miasta, gdzie – jak wiedział – były mieszkania do wynajęcia. Zatrzymał się przed sporym domem z wieloma dzwonekami i skrzynkami pocztowymi przy drzwiach. W jednym z frontowych okien wisiała kartka oznajmiająca: POKÓJ DO WYNAJĘCIA. Bruce zgasił silnik i wysiadł.

Całkiem ładna okolica, pomyślał, idąc schodami do drzwi. Przed progiem stała skrzynka z pustymi butelkami po coca – coli. Bruce przycisnął guzik najwyżej umieszczonego dzwonka. W końcu otworzyły się drzwi. Stał w nich mężczyzna w średnim wieku, tylko w spodniach i podkoszulku, z wielkim brzuchem przelewającym się znad paska.

– Co jest? – spytał, pocierając oko palcem.

Bruce wyjaśnił, że jest zainteresowany pokojem. Mężczyzna odparł, że on tu nie rządzi, tylko mieszka. Dodał, że jest strażakiem i sypia za dnia. Poprowadził jednak Bruce'a na górę po wyłożonych dywanem schodach, obok drzewek kauczukowych w doniczkach, i pokazał mu ten wolny pokój. Pomieszczenie zostało dopiero co odmalowane i pachniało świeżością. W jednym kącie stała sofa, w drugim gazowy grzejnik. W oknach były zarówno żaluzje, jak i zasłony. Strażak został przy drzwiach, wciąż przecierał oko.

– Niebrzydtko tu – stwierdził Bruce.

– Może się pan od razu wprowadzać – usłyszał. – Administrator zjawi się wieczorem, to mu pan zapłaci. O ile pamiętam, stawka wynosi dwadzieścia dolarów, ale dokładnie to sam już pan z nim ustali.

Bruce wciąż miał sporo swoich rzeczy w samochodzie, głównie ubrania i osobiste drobiazgi, jak przybory do golenia, grzebień, wodę kolońską, spinki do mankietów i buty. Zaniósł walizkę

na górę, rozłożył wszystko w szufladach i szafie. Potem zamknął drzwi, zdjął marynarkę i położył się na pojedynczym łóżku. Prócz kocy były tu też prześcieradła, a nawet poduszka. Wszystko, czego mi trzeba, pomyślał, leżąc na wznak z rękami po bokach. Może prócz dobrego żarcia, ale to akurat nic nowego.

Zostanę tu przez kilka dni. Aż postanowię, co dalej.

W portfelu miał około trzydziestu dolarów, może nawet więcej. Pomyślał, czy by nie sięgnąć i nie sprawdzić, ale po zastanowieniu uznał, że mu się nie chce. Na pewno mam dość, żeby było dobrze, uznał.

Pokój wydał mu się wygodny i cichy. Ulicą przejechały dwa samochody. Posłuchał warkotu ich silników. Mogło być gorzej, powiedział sobie. Naprawdę nie wylądowałem tak źle. Jestem zdrowy i młody, a powiadają, że to najważniejsze i jeśli tego nie brakuje, to nie ma się o co martwić. No i nauczyłem się czegoś. Doświadczenie zawsze coś daje. Na dodatek, jeśli tylko zechcę, będę mógł wrócić po maszyny. Tylko po co tyle zachodu? Niech je sobie weźmie, skoro to dla niej takie ważne. Niech sobie na nich zarobi.

Leżał nieruchomo i myślał o tym.

Rozdział 16

Leżał na łóżku, przypominając sobie pierwszy dzień, kiedy ją zobaczył, młodą nauczycielkę stojącą przy tablicy. Sam w wynajętym pokoju wspominał tamten ważny dzień sprzed wielu lat. Wszedł wtedy do klasy i ujrzał nową nauczycielkę piszącą wielkimi, wyraźnymi literami na tablicy:

PANNA REUBEN

Panna Reuben nosiła niebieski kostium, a nie zwykłą spódnicę. Wszystkim wydawało się to dziwne, bo ich zdaniem taki strój pasował raczej na jakąś uroczystą okazję, do kościoła powiedzmy, a nie do szkoły. Podobnie zdumiał ich kolor jej włosów, niektórzy zaczęli nawet szeptać na ten temat. Były żółte, a nie siwe, jak u pani Jaffey. Żadne z nich nie widziało jeszcze nauczycielki z żółtymi włosami, przystojącymi raczej uczniom niż nauczycielce.

Gdy odwróciła się od tablicy, ujrzeni, że się do nich uśmiecha. Do wszystkich w klasie, a nie do kogoś w szczególności. Niektórzy tak się tego wystraszyli, że siedli w tylnych ławkach. Twarz miała piegowatą, okrągłą i zarumienioną, gładką i ożywioną. Najbardziej jednak zaniepokoiły ich jej oczy: zdawały się widzieć w każdej chwili wszystko i wszystkich. Nie skupiała na nikim spojrzenia. Część dzieci zauważyła białe kwiatki przypięte do kostiumu przy górnym guziku. Guziki też były białe. To również zauważyli.

W końcu rozległ się dzwonek.

Panna Reuben siadła za biurkiem pani Jaffey i powiedziała:

– Dobrze, dzieci. – Ci, którzy jeszcze rozmawiali, zaraz zamilkli. – Mam być waszą nauczycielką do końca tego półrocza. Pani Jaffey już nie wróci. Jest bardzo chora. A teraz sprawdzę obecność. – Na biurku leżał dziennik pani Jaffey. – Wiem, że powinniście siedzieć w ławkach alfabetycznie, ale widzę, że tak nie jest. Żadne z was nie siedzi na swoim miejscu.

Poznała to dość łatwo. Wszyscy chłopcy siedzieli po jednej stronie, a dziewczynki po drugiej we własnym gronie, nikt też nie zajął miejsca w pierwszym rzędzie. Bystra była. Pani Jaffey nigdy niczego nie zauważyła, a pannie Reuben starczyło jedno spojrzenie.

Nagle jedna z dziewcząt wstała.

– Jestem pomocniczką pani Jaffey – oznajmiła. – Zawsze odczytywałam listę obecności.

Rzeczywiście tak było, ale panna Reuben miała inne zwyczaje.

– Dziękuję ci, ale dzisiaj sama odczytam listę. A oto, czego od was chcę. – Znów się do nich uśmiechnęła, do wszystkich i do nikogo zarazem. – Gdy przeczytam czyjeś nazwisko, nie chcę, żeby ten ktoś mi odpowiadał. Rozumiecie?

Milczeli zaskoczeni. I skrajnie zdumieni. Zawsze odpowiadali „obecny”. Tak samo było przez ostatnie półtora dnia z tą nauczycielką, która przyszła na nagłe zastępstwo.

– Chcę czegoś całkiem innego – mówiła panna Reuben, siadając za biurkiem i kładąc dłonie na środku blatu. – Gdy wywołam czyjeś nazwisko, wszyscy pozostali mają mi wskazać tego ucznia czy uczennicę. Bez jednego słowa. Zrozumieliście?

Panna Reuben wyczytała pierwsze nazwisko. Kilkoro uczniów pokazało palcami na kolegę. Nauczycielka zmierzyła go spojrzeniem i zrobiła znaczek w dzienniczku. Potem wyczytała drugie. Tym razem ręce uniosło znacznie więcej dzieci. Nim skończyła, wszyscy ochoczo pokazywali jej kolegów i koleżanki.

– Dobrze – powiedziała. – Teraz chyba będę już was pamiętać. Poproszę was jeszcze, byście usiedli w porządku alfabetycznym. A jeśli zdarzy mi się pomylić czyjeś nazwisko, to proszę, żebyście wszyscy głośno mnie poprawiali. – Uśmiechnęła się. – Wstańcie zatem, proszę, i bez słowa zajmijcie swoje miejsca.

Gdy to robili, patrzyła na nich badawczo, jakby chciała dojrzeć coś konkretnego. Nikt nie wiedział, o co może chodzić, i nawet najbardziej niezależni chłopcy z ostatniej ławki posłuchali jej bez szemrania.

– Świetnie – stwierdziła, gdy wszyscy znowu siedzieli. Zapadła głucha cisza. Cała klasa czekała z lękiem, co będzie dalej.

– Wiem, że przez kilka ostatnich tygodni świetnie się bawiliście – zaczęła panna Reuben. – Mieliście takie trochę wcześniejsze letnie wakacje. Robiliście co wola i ochota. Mam nadzieję, że nacieszyliście się na zapas, bo przez najbliższy miesiąc będziecie mogli to tylko wspominać i wdychać do szczęśliwych chwil. Czy zdajecie sobie sprawę, jakie były skutki waszego zachowania? Czy w ogóle was to obchodzi? Zmusiliście starszą panią, by odeszła ze szkoły. Nauczycielkę, która pracowała w szkole Garreta A. Hobarta od samego początku, nim jeszcze wasi rodzice przyszli na świat. Za miesiąc miała odejść na emeryturę. Uniemożliwiliście jej przepracowanie tego ostatniego miesiąca, na który zasłużyła. Przyprawiliście ją o chorobę. Oczywiście nie wszyscy jesteście za to tak samo odpowiedzialni. Długo rozmawiałam z panią Jaffey. Spytałam ją, kto zawinił. Kto z was. I wiecie, co odpowiedziała? Pani Jaffey nie chciała mi wyjawiać, którzy z was dokuczili jej najbardziej. „To są wszystko dobre dzieci”, powiedziała. I co wy na to? Zaszczuliście ją i wypędziliście z tej szkoły, w której uczyła czterdzieści jeden lat. Zachorowała przez was. Pewnie myślicie, że na was naskarżyła? Nie, ani słowem.

Nawet najwięksi chłopcy skurczyli się w ławkach. Wszyscy poczuli się zawstydzeni i bardzo nieszczęśliwi.

– Wiecie, co teraz zrobicie? – spytała panna Reuben. Mówiła coraz głośniejszym głosem. – Napiszecie list do pani Jaffey i przyznacie się, jak bardzo jest wam przykro. A ja i tak znajdę największych rozrabiaków spośród was. Na pewno ich rozpoznam. Potrafię to zrobić. Wcześniej uczyłam

dzieci znacznie starsze niż wy. Na wschodzie, skąd przybyłam, uczyłam w szkole średniej. Niektórzy z was uzbroją się w cierpliwość i będą chcieli mnie wypróbować. Dobrze. Proszę bardzo, czekam. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

W ostatnich rzędach rozległ się odgłos przypominający pierdnięcie.

Panna Reuben wstała z krzesła.

– Dobrze. – Przeszła wolno pomiędzy ławkami. Twarz miała czerwoną, czoło i wargi jakby nabrzmiały. Gdy mijała kolejne rzędy, dzieci widziały z bliska jej przenikliwe i lśniące oczy. Ruchliwe jak u ptaka.

Nikt się nie odezwał. Tchórz ich obleciał.

W tylnych rzędach panna Reuben zatrzymała się przy ławce pewnego chłopca. Wcale nie tego, który wydał nieprzystojny dźwięk. Popatrzyła na niego, aż cały zaczął drżeć. Wszyscy to widzieli, niektórzy zaczęli nawet chichotać. Panna Reuben zaraz się obróciła.

– Cisza!

Natychmiast ucichli.

– Wstań – powiedziała do ciężko wystraszonego ucznia. Chłopiec wstał, odsuwając niezgrabnie krzesło.

– Jak on się nazywa? – spytała resztę klasy.

– Skip Stevens, panno Reuben – odpowiedzieli chórem.

– Ja tego nie zrobiłem – wykrztusił Skip Stevens, nerwowo przetykając ślinę.

– Czego nie zrobiłeś? O nic cię nie oskarżam – rzuciła panna Reuben takim tonem, jakby to był żart.

Klasa wybuchnęła śmiechem.

Gdy tylko ucichli, Skip Stevens zebrał się w sobie.

– On to zrobił – powiedział możliwie głośno i wyraźnie, wskazując na Joego St. Jamesa, który był odpowiedzialny za fatalny odgłos.

– Przejdź do pierwszego rzędu, Skip – poleciła panna Reuben. – Tam będziesz siedział. – Nie oglądając się, wróciła do biurka.

Skip wiedział, że powinien ruszyć za nią. Opuściwszy głowę, w pełni świadom upokorzenia, poczłapał do przodu.

– Przyniesi sobie krzesło – usłyszał. Wrócił do tyłu, żeby wziąć krzesło.

– Siądziesz tutaj, blisko mnie. Tak, żebym cię widziała.

Musiał zatem przenieść krzesło i usiąść naprzeciwko biurka. Spojrzenie wbił w podłogę: próbował udawać, że jej nie dostrzega.

W sali zalegała cisza. Nikt nie chciał ściągnąć na siebie uwagi nauczycielki. Jeszcze o coś zapyta lub czegoś będzie chciała...

Co złego zrobiłem? – zastanawiał się tymczasem Skip, ciągle wpatrzony w podłogę. Czemu

tu siedzę? Jak do tego doszło?

Nie miała żadnego powodu, by mnie tak potraktować, myślał. To nie w porządku. Zaczynał z wolna jej nienawidzić, chociaż o wiele silniejsze było poczucie winy. Czuł się winny, że popełnił błąd. Dokuczało mu to coraz bardziej. Nienawiść po chwili wygasła, ale świadomość, że nie potrafił postąpić właściwie, pozostała. To był mój błąd, myślał. Mój błąd, za który płacę. Ona ma rację. Nie cierpię jej, ale ona ma rację. Żeby ją cholera.

Zakrył twarz dłońmi.

– Czy ktoś z was był kiedyś w Nowym Jorku? – spytała w końcu panna Reuben i znów uśmiechnęła się tak jak wcześniej: zimno, z wyrachowaniem, do wszystkich i do nikogo.

Po chwili milczenia i bezruchu jedna z dziewcząt odważyła się unieść rękę.

– Kiedy to było? – spytała nauczycielka.

– Trzy lata temu, panno Reuben.

– Idź do szafy z przyborami, weź papier i rozdaj każdemu po kartce – powiedziała panna Reuben do Skipa, pokazując, o jak wielkie kartki jej chodzi. – To będzie pierwsza rzecz na dzisiaj – stwierdziła, wstając i podchodząc do tablicy. – Chcę, abyście napisali wypracowanie. – Wielkimi literami wypisała na tablicy temat:

JAK WYOBRAŻAM SOBIE NOWY JORK

– Wyobraźcie sobie – ciągnęła – że pojechaliście na wycieczkę na wschodnie wybrzeże, do Nowego Jorku. Postarajcie się opowiedzieć mi, co waszym zdaniem warto by tam zobaczyć. Jeśli chcecie, możecie napisać o metrze albo o Conney Island. Lub o giełdzie czy drużynie Yankees. Jak to by było zobaczyć ich mecz. Albo o muzeach. O czymkolwiek zechcecie.

Bez najmniejszych oznak niechęci wszyscy uczniowie wzięli kartki i zaraz zaczęli pisać. Skip wrócił na miejsce na wprost biurka panny Reuben, sięgnął po ołówek i napisał w prawym górnym rogu kartki swoje nazwisko. W klasie słychać było tylko szelest papieru, oddechy uczniów, skrobanie ołówków i gumek do mazania.

Siedział tak blisko panny Reuben, że czuł zapach jej perfum. W zatłoczonej, zamkniętej sali ta woń kojarzyła mu się z jeżynami. I z wylegiwaniem się w ogrodzie w późne popołudnia pod koniec lata, pośród słodkich i rozgrzanych krzaków jeżyn, pod pędami winorośli.

Co ja, u diabła, wiem o Nowym Jorku? – pomyślał Skip. Nigdy tam nie byłem. Jeździłem prawie wszędzie, ale nigdy nie zbłądziłem na wschód. Ona wymyśliła to tylko po to, żeby nam dokuczyć. Jeszcze bardziej nas poniżyć.

Nie dam rady tego napisać, uznał w końcu.

– Stevens – odezwała się panna Reuben, patrząc na niego ponad biurkiem. – Dlaczego nie piszesz?

Odsunął kartkę i odłożył ołówek. Na papierze nie było niczego poza nazwiskiem i tytułem wypracowania.

– Nie dam rady – powiedział, garbiąc się i nie patrząc nauczycielce w oczy. Odzywał się tak cicho, że ledwie go było słychać. – Czy nic się nie stanie, jak tego nie napiszę?

– Wszyscy piszą dalej – rzuciła głośno panna Reuben i przysunęła się z krzesłem do Skipa. Pochyliła się nad nim naprawdę nisko. – Dlaczego nie dasz rady napisać o Nowym Jorku?

– Bo nigdy tam nie byłem. – Zapach jeżyn stał się tak silny, że prawie zapierał dech w piersiach. Skip wstrzymał oddech, było mu gorąco, skóra go swędziała. Jeszcze chwila, pomyślał, i kichnę.

– A nie możesz udąć, że byłeś? – szepnęła mu wprost do ucha, tak że nikt inny nie mógł tego usłyszeć. Teraz jej głos stracił szorstkie brzmienie. Pełen był miłych szelestów i pomruków. Bruce opuścił głowę jeszcze niżej i zamknął oczy. – Wyobraź sobie tylko, jak by to było – szepnęła, przysuwając usta tuż do jego ucha. – Czy to by nie było miłe?

– Pewnie tak – przyznał, obawiając się unieść głowę czy otworzyć oczy. Tak, pomyślał, to byłoby miłe. Ale za daleko. Nierealnie daleko. Nie ma sensu zastanawiać się nad czymś tak niedosiężnym. – Chciałbym pojechać do Nowego Jorku – powiedział. – Wiele rzeczy chciałbym zrobić. Ale... znam swoje miejsce. Nigdy tam nie dotrę. Nie ma co o tym marzyć.

– No to o czym chciałbyś napisać wypracowanie?

O niczym, pomyślał, leżąc na wznak, z twarzą zakrytą dłońmi. Bo i po co? Co by mi to dało? Czy poza tym nie ma już nic przyjemnego? Wyobraź sobie to czy tamto... Podróż wyobraźni do krainy spokoju i wygod wszelakich. Wziął ołówek i zastanowił się. Naprawdę o niczym? Żaden temat mnie nie bierze? A czy można tak? A jeśli mam wybór? Czy naprawdę mogę wybrać cokolwiek?

– Chyba napiszę o tym, co nadejdzie. Co jeszcze się stanie – powiedział. Spróbuję wyobrazić sobie kilka najbliższych miesięcy. Albo nawet lepiej: kilka lat. Jak ułoży się między nami. Jak by mogło się ułożyć, gdyby wszystko poszło dobrze. Gdybym odzyskał te przekłete maszyny i przerobił je wieczorami za śmieszne pieniądze. A potem sprzedałbym je za naprawdę dobrą cenę. Gdyby ona nie zaczęła działać za moimi plecami i nie pozbyła się ich. A gdy prawda wyszła na jaw, bo wyjść musiała, nie pozbyła się także mnie. To wszystko zepsuło. Położyło kres wszystkiemu. Dlatego jedyne, co mi zostało, to leżeć tu teraz i układać w głowie wypracowanie.

Będzie miało tytuł:

HISTORIA ZABÓJSTWA
Z UŻYCIEM JAPOŃSKICH MASZYN DO PISANIA
I CO Z TEGO DLA NAS WYNIKŁO

Sprzedawszy te maszyny, mielibyśmy dość pieniędzy, by zachęcić do współpracy jakąś poważną amerykańską firmę produkującą podobny sprzęt. Moglibyśmy zdobyć przedstawicielstwo. Nawet gdyby nie chcieli drugiego punktu w Boise, to też żadna przeszkoda. Mając pieniądze, moglibyśmy otworzyć sklep gdziekolwiek. Gdzie byśmy zechcieli.

Na przykład w Montario. Znam to miasteczko jak własną kieszeń, więc z góry bylibyśmy wygrani. Muszę tam zajrzeć którejś niedzieli, pomyślał. Zobaczę, jak się sprawy mają.

Była niedziela, więc kino Luxor stało otworem, a wkoło kasy kręciła się gromada chłopców w dzinsach oraz dziewcząt w spódniczkach i bluzkach.

Drugstore'y na obu końcach miasteczka handlowały w najlepsze, ale poza nimi, barami i kinem wszystko było zamknięte. Większość miejsc do parkowania świeciła pustkami, a wiatr przeganiał po ulicach kurz i papiery. Stacja benzynowa przy torach robiła interesy na zajeżdżonych do szczytu samochodach. Przed Roman Columns Motel siedziała na trawniku kobieta w szortach i czytała jakieś czasopismo.

Bruce wysiadł z samochodu i rozejrzał się po wystawach. Większość sklepów była w tych samych miejscach od zawsze, ale teraz spojrzął na nie z innej perspektywy. Nie jak dziecko ani nawet nie klient, ale jak potencjalny inwestor zamierzający otworzyć własny sklep. I to wcale nie było marzenie, ale całkiem realna i nieodległa perspektywa.

W drugstorze na rogu pan Hagopian rozkładał nową dostawę środka na owady. Gruby i ponury staruch, pomyślał Bruce. Gdy mnie zobaczy, znów się zacznie. Nigdy nie przestanie się na mnie wściekać.

Ciekawe, co o mnie pomyśli, gdy otworzę sklep obok niego? Dostanie zawału? A może zacznie mnie gonić z miotłą? Albo nie przyjmie do wiadomości, że to ja.

Bruce wcisnął ręce do kieszeni, przeszedł przez tory i ruszył wzdłuż opuszczonych magazynów. Na ławce przy stacji kolejowej siedział starszy mężczyzna i oganiał się trzcinką od długoskrzydłych much, które zbierały się już w popołudniowym ciepełku.

Gdzieś daleko na szosie zahuczała syrena wielkiej ciężarówki.

W sierpniu zamknęli interes w Boise i przenieśli się ze wszystkim do Montario. Wynajęli lokal po sklepie z artykułami żelaznymi, który od miesięcy stał pusty. Był to długi, pokryty kurzem budynek wciśnięty między skandynawską piekarnię i pralnię. Czynsz wyznaczono im niski i nie musieli kupować wyposażenia: właściciel pozwolił im po prostu usunąć i wyrzucić stare jak świat lady i równie wiekowe oświetlenie.

Wczesnym rankiem przyjechał tam z Susan. Wzięli stare, robocze ubrania. Najpierw posprzątało wszystko i pomalowali, potem Bruce zabrał się do frontu budynku. Obmurował go

bazaltowymi płytami, po bokach zaś ustawił donice z paroma iglakami i niskimi liściastymi krzewami. W końcu wyjął stare drzwi i zastąpił je nowoczesnymi, ze szkła i miedzi.

Interes niemal od początku szedł całkiem dobrze, jednak po dwóch, trzech miesiącach Bruce zaczął odczuwać coś, czego ani on, ani Susan nie przewidzieli. Miasteczko przestało go interesować. Nawet praca we własnej firmie zaczęła trącić monotonią. Codziennie chodził tą samą Hill Street, którą znał od dzieciństwa, spotykał wciąż tych samych farmerów z Idaho i nawet to, że sklep dobrze prosperował, zbytnio go nie cieszyło. Bruce zaczął się zatem zastanawiać, czy nie rozkręcić czegoś nowego. Po raz pierwszy w życiu myślał naprawdę swobodnie: już nie tylko w kategoriach przeniesienia się o parędziesiąt mil, ale wręcz do nowego miasta, może nawet takiego, którego wcześniej w ogóle nie widział, w całkiem innym stanie.

Poza tym Montario też leżało na terenie Miliona Lumky'ego.

Milt wpadł do nich pewnego popołudnia z tą samą co zwykle skórzaną torbą. Robił kolejny objazd dla Whalen Paper Company.

– Gdzie twój wóz? – spytała Susan. – Nie widzę go przed sklepem.

– Sprzedałem – odparł Milt. – Za wiele było z nim kłopotów w trasie. Trudno o serwis. – Wskazał przez okno na zagraniczny samochód, sedan, stojący przy krawężniku. – Zamieniłem go na tego szweda.

– A ze szwedzkimi wozami nie ma kłopotu? – spytał Bruce.

Wyszli na ulicę, żeby obejrzeć samochód.

– Jest nowy – stwierdził Lumky. – Nie psuje się.

Z ulicy widzieli przez okno pracującą za biurkiem Susan.

– Jak to się stało, że przenieśliście się do tej miejsciny? – spytał Milt.

– Tutaj się urodziłem i wychowałem.

– No tak, jesteś chłopakiem z Idaho. To tylko ja wciąż sobie ciebie wyobrażam jako gościa z miasta. Pewnie przez ten dyskont w Reno. – Milt zastanowił się. – I jeszcze ktoś znajomy mieszkał kiedyś w Montario... No tak, Susan. Mówiła mi raz, że uczyła w tutejszej podstawówce.

– A ja byłem jej uczniem w piątej klasie.

– Naprawdę? – Milt popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Naprawdę.

– Nigdy nie wiem, kiedy ci ufać. Mam wrażenie, że lubisz szokować ludzi.

– Nie wiem, co w tym szokującego.

Ruszyli wolno z powrotem do sklepu.

– Wiedziałaś o tym, gdy się z nią żeniłeś? – spytał nagle Milt. Chyba wciąż się zastanawiał, co o tym sądzić.

– Jasne.

– A ona?

– Też – stwierdził Bruce i nagle poczuł, że nie powstrzyma nieco złośliwego wtrętu, który miał już na języku. – To dlatego się pobraliśmy.

– Że jak? – spytał zupełnie zdezorientowany Lumky.

– Chcieliśmy zrealizować nasze dawne pragnienia. Wtedy to nie było możliwe. Ona miała dwadzieścia jeden lat, a ja tylko jedenaście.

– Jakie znowu pragnienia? – wymamrotał Milt, gdy wchodzili do sklepu.

Susan od razu wyczuła, o co chodzi. Uniosła głowę znad maszyny.

– To prawda, że uczyłaś go w piątej klasie? – spytał ją.

– O tak. – Spojrzała na Bruce'a. Oboje byli rozbawieni. Bez wahania podjęła wątek w miejscu, w którym Bruce go przerwał. – Był moim ulubionym uczniem. Nie dlatego, żeby był szczególnie zdolny. Imponował dorosłością. Chodzi mi o to, że był wybitnie atrakcyjny seksualnie.

Miltowi mowę odjęło.

– Wciąż go pamiętam z czasów, gdy miał jedenaście lat – ciągnęła Susan spokojnym, rzeczowym głosem. – Gdy to było możliwe, sadzałam go na lekcjach przy moim biurku. W czasach liceum odwiedzał mnie w domu. Był już prawie we właściwym wieku i niewiele brakowało, byśmy skonsumowali nasz związek. Musieliśmy jednak jeszcze trochę poczekać. Chcesz zobaczyć zdjęcie?

– Nie – odburknął Milt.

– Ale warto było czekać – powiedziała Susan. – Im dłużej się wstrzymujesz, tym lepiej potem smakuje. Prawda, Bruce?

Milt był już wyraźnie zbulwersowany, woleli więc przerwać. Pozostał z nimi jeszcze całe popołudnie, taktowny i poważny, niezdolny zarówno do szybkiego wyjazdu, jak i swobodnej rozmowy. W końcu się pożegnał, wsiadł do swojego szwedzkiego wozu, pomachał im, nie patrząc wcale w ich stronę, i odjechał.

– Nie powinniśmy się z nim drażnić – powiedział Bruce. Ale to było takie kuszące... Setnie się ubawili. Uśmiechnęli się do siebie. Gdyby znów mieli okazję, postąpiliby tak samo.

Pod koniec miesiąca pewien komiwojażer z Kolorado przywiózł wiadomość, że w Denver jest na sprzedaż sklep z maszynami do pisania. Niewielka firma, której właściciel zginął w wypadku samochodowym. Rodzina nie ma smykałki do interesów i zapewne nie zażąda zbyt wysokiej ceny, usłyszeli. Wedle komiwojażera sklep miał autoryzację paru dobrych firm, nowoczesny wystrój i wyposażenie oraz sporo dość nowego towaru na składzie. A Denver rozwijało się z każdym dniem.

Skoro sklep jest na sprzedaż, to ktoś może sprzątnąć mi go sprzed nosa, zreflektował się Bruce i tym razem nie pojechał samochodem, ale od razu wsiadł do samolotu. W porcie

lotniczym Denver spotkał się ze spadkobiercą i razem wybrali się obejrzeć sklep. Nad wejściem wisiał neon, w środku stała całkiem nowa kasa i już tylko te dwie rzeczy warte były co najmniej czterysta dolarów. Wśród maszyn przeważały drogie, biurowe modele, ale Bruce nie wątpił, że zdoła zwrócić je producentom w zamian za tańsze. Lokalizacja mu się spodobała. Wprawdzie nie znał Denver, ale dzielnica biurowa wyglądała atrakcyjnie, ruch był spory, a sąsiednie sklepy, szczególnie po tej samej stronie ulicy, wyglądały na całkiem nowoczesne i zadbane.

Poleciał z powrotem do Boise, odebrał samochód z parkingu i wrócił do Montario omówić sprawę z Susan. Przywiózł ze sobą zdjęcia; obejrzała je i przyznała, że propozycja wygląda ciekawie. Oboje potrzebowali czegoś nowego. Sklep w Montario im nie wystarczał.

– Mam sprzedać mój dom w Boise? – spytała Susan. Na razie go wynajęli, sądząc, że może jeszcze tam powrócić.

– Sprzedaj. Wszystko tu sprzedamy. Denver jest za daleko, by wozic cokolwiek. Zresztą tamten sklep jest lepiej wyposażony niż nasz.

– Nie stracimy, jeśli wszystko sprzedamy?

– Na sprzedaży R & J Mimeographing nie straciliśmy – zauważył Bruce.

Pokiwała głową.

– No to co, złożysz im propozycję? Nie widziałam nic poza zdjęciami, ale jeśli mówisz, że warto i że uda nam się pozbyć tego tutaj... – Uśmiechnęła się do niego. – Zostawiam decyzję tobie.

– Złożę im propozycję. I zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Działając za pośrednictwem Fancourta, zaproponował rodzinie z Denver dwanaście tysięcy dolarów za sklep, wyposażenie, towar, prawa przedstawicielstwa, lokalizację i tak dalej. Po paru tygodniach wahań i prób utargowania czegoś więcej oferta została przyjęta.

Pod koniec roku doprowadzili do końca sprzedaż Montario Typewriter Center i przenieśli się do Denver. Ciągnęło się to tak długo, gdyż sklep w Denver, zwany Colorado Office Equipment Company, był fragmentem masy spadkowej przeznaczonej do podziału pomiędzy kilkunastu dziedziczących. Ostatecznie jednak wyprostowano wszystkie sprawy. Bruce i Susan wrócili raz jeszcze do Montario, a potem objęli w posiadanie firmę w Denver. I to było to.

Interes w Denver szedł dobrze i szybko się zorientowali, że jeśli się tylko przyłożą, to za jakiś czas naprawdę staną na nogi. Susan stopniowo wycofała się ze sklepu, a Bruce wziął wszystko na własne barki. Kupował to, co wedle niego miało szansę na zbyt, decydował o strategii sprzedaży. Susan się nie wtrącała i oboje świetnie czuli się w swoim towarzystwie, gdy Bruce wracał wieczorem z pracy. Kupili dom w Denver, Taffy zaczęła chodzić do miejscowej szkoły. W końcu dotarło do nich, że dobrze wybrali i że najprawdopodobniej w ich życiu żadne większe zmiany nie okażą się już konieczne. Będą zajmować się detaliczną

sprzedają maszyn do pisania na terenie Denver i żyć razem aż do końca swoich dni albo, ewentualnie, do końca dni tego kraju i zamieszkującego go społeczeństwa. Uznali, że dopóki świat wkoło będzie miał się jako tako, dopóty zapewne zdołają utrzymać i sklep, i dom. I będą rodziną. W miarę upływu czasu ostatnie wątpliwości topniały coraz bardziej, aż całkiem zniknęły. W jakiejś trudno uchwytnej chwili lęki ustąpiły. Miesiącami nie zdawali sobie z tego sprawy, spostrzegli się raczej mimochodem, gdzieś pośród zwykłej, codziennej krzątania.

Następnego lata Bruce dowiedział się z wiarygodnego źródła o śmierci Milona Lumky'ego.

Zachował adres Cathy Hermes, napisali więc do niej i jakiś tydzień później otrzymali list z Pocatello, który rzucał nieco światła na śmierć Milona.

Zdaniem Cathy zmarł przez tę chorobę nerek, na którą cierpiał od lat. Nadmieniła, że mógłby jeszcze żyć, gdyby bardziej o siebie dbał. W liście Bruce wyczuł ton wyrzutu pod swoim adresem, ale zapewne Cathy była po prostu rozgoryczona i pełna pretensji do całego świata, w tym nawet do Milta. Co kilka wierszy brało ją na wymówki wobec niego. Że powinien zaprzestać objazdów po swoim terenie. Że powinien podjąć pracę za biurkiem, aby móc regularnie chodzić do łazienki i odpoczywać w razie potrzeby. Nie mogła też darować sobie. Najlepiej by zrobiła, gdyby się rozwiodła, wyszła za Milta, a on osiadłby wreszcie w Pocatello. Po ślubie Bruce'a i Susan zaczął nawet o tym mówić, ale potem przestał. I nigdy już nie wrócił do tematu.

Poza tym list pełen był czysto grzecznościowych zwrotów. Cathy zdawała się oceniać sytuację całkiem trzeźwo.

Kilka dni później w domu zadzwonił telefon. Odebrała Susan. Chwilę potem Bruce usłyszał, jak mówi:

– Może lepiej porozmawia pani z moim mężem.

– Kto to? – spytał Bruce, wstając z fotela.

– Cathy Hermes – odparła Susan z dziwnym wyrazem twarzy. – Dzwoni z Pocatello. Chodzi jej o pieniądze – dodała, gdy Bruce podszedł do niej.

– Jakie pieniądze?

– Lepiej z nią porozmawiaj.

Bruce przejął słuchawkę i przywitał się.

– Mówi Cathy Hermes – usłyszał kobiecy głos. – Chciałabym pana o coś spytać, panie Stevens. – Po dłuższym krążeniu wokół tematu pani Hermes stwierdziła, że krótko przed śmiercią Milt opowiadał jej sporo o różnych osobach, które winne mu były pieniądze. Kilka razy wspominał wtedy, że Bruce jest mu dłużny pięćset dolarów.

– Czy powiedział za co? – spytał nieco oszołomiony Bruce.

– Mówił, że pożyczył je panu na zakup czegoś. Nie chciałabym być natarczywa, ale jeśli skłonny byłby pan coś dla niego zrobić, to może mógłby pan mi je przekazać. – Wyjaśniła mu

szczegółowo, jak bardzo ona i Milt byli sobie bliscy.

– Muszę porozmawiać z żoną – powiedział Bruce. – Czy mogę oddzwonić do pani za kilka dni albo odpowiedzieć listownie?

Cathy zgodziła się, chociaż wyraźnie nie miała nadziei na te pieniądze.

– Cokolwiek uznacie państwo za stosowne, będzie dobrym rozwiązaniem i dla mnie. Rozumiem, że nie został po tej pożyczce żaden ślad na piśmie.

– Zgadza się. – Bruce pożegnał się uprzejmie i odłożył słuchawkę.

– Czy ona twierdzi, że to była pożyczka? – spytała Susan. – Przecież on ci je wtedy dał, prawda?

– Dał je nam obojgu. Jako prezent ślubny.

– Czy to możliwe, żeby uważał to wtedy tylko za pożyczkę? Może zapomniał, że nam je darował, albo się potem rozmyślił. Wiesz, jaki był.

Bruce wziął wyciąg z konta oraz rachunki za ostatni tydzień i zaczął sprawdzać stan ich bieżących finansów.

– Stać nas – stwierdził w końcu. – Jednak o wiele łatwiej byłoby zapłacić jej w dwóch ratach. W tym miesiącu dwa i pół i tyle samo w przyszłym.

– Rób, jak uważasz – powiedziała Susan z wyczuwalnym niepokojem. – Skoro mówisz, że nie wpakujemy się przez to w tarapaty... Zostawiam ci decyzję.

– Wypiszę jej czek i zaraz wyślę pocztą – oznajmił Bruce. Gdyby to odłożył na później, rozstanie z tą sumą byłoby boleśniejsze. Ostatnio skrupulatnie przestrzegał dyscypliny finansowej.

– Ona musi ich naprawdę potrzebować – głośno myślała Susan. – W przeciwnym razie nie zdobyłaby się na telefon. I nie prosiłaby.

Koniec końców Bruce wysłał Cathy Hermes czek na całe pięćset dolarów. Jednak nie przyniosło mu to ulgi.

Śmierć zawsze była dla mnie czymś bardzo odległym, pomyślał. Moi rodzice żyją, mój brat też. Otarłem się o nią, gdy pani Jaffey zachorowała i odeszła ze szkoły, a w końcu umarła. No i ten sklep w Denver mogłem kupić dlatego, że poprzedni właściciel zginął w wypadku samochodowym. Jednak nigdy dotąd nie znalazłem się tak blisko niej.

Czy to naprawdę możliwe, żeby Milt powiedział coś takiego? – zastanowił się w pewnej chwili. Naprawdę żalił się, że nie oddał mu pieniędzy?

Tak czy owak, teraz to tylko pozycja w księdze rozchodów, ślad po kwocie przekazanej komuś, kogo ledwie znam. Zwykle pięć setek, jak rachunek do zapłacenia. Milt miał swoje powody, by mi je dać. Skoro nie ma Milta, to i powody zniknęły.

Zniknęły, jakby nigdy ich nie było, a ja nie wiem, dlaczego to zrobił. Cathy Hermes to nie obchodzi, a Milt nigdy już nam niczego nie wyjaśni.

I to jest najgorsze, stwierdził. Zawsze już będę się nad tym zastanawiał i nigdy nie poznam odpowiedzi. Nie dowiem się, o czym myślał, czy zmienił zdanie, czy może po prostu się wtedy nie zrozumieliśmy. W ogóle go przecież nie rozumiałem. Nie mieliśmy zbyt dobrego kontaktu.

Nagle dotarło do Bruce'a, że poza Miltonem Lumkym nie miał nigdy innych przyjaciół. I że teraz nie ma już żadnego. Susan i sklep – to całe jego życie. Czy to wynik nieświadomych, ale intencjonalnych działań? Czy może tak wyszło przypadkiem?

Chociaż mnie to wystarcza. Dobrze czy źle, ale starcza. Tego właśnie pragnę.

– Bruce, chcę cię o coś spytać – odezwała się Susan z kuchni, gdzie zmywała talerze. – Nie brakuje ci go?

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Za wiele mam na głowie, żeby mi kogoś brakowało – stwierdził Bruce.

– Bo widzisz, jest coś, co mnie martwi. Trzymam cię przy sobie, chociaż jesteś taki młody. To okropne, gdy starsza kobieta tak postępuje.

Bruce zastanowił się nad tym, co powiedziała.

– Mógłbyś jeździć ze stanu do stanu razem z Miltem. Mógłbyś mieć różne kobiety... Sam wiesz.

– Wiem – przyznał.

– A tymczasem utknąłeś tutaj: dwudziestosześcioletek ze starszą o dziesięć lat żoną i pasierbicą, a do tego domem i firmą na głowie. Niedawno obudziłam się w nocy i musiałam wstać z łóżka tak byłam roztrzęsiona. Siedziałam potem kołkiem dobrą godzinę. Nie zauważyłeś?

– Nie. – Nawet się nie obudził.

– Myślisz czasem, że mógłbyś mnie zostawić? – Spojrzała na niego. – Chyba bym tego nie zniosła. To byłby dla mnie koniec.

– Pytasz, czy zamierzam umrzeć na nerki skutkiem nie dość częstego wychodzenia do toalety podczas pracy?

– Gdy pojechałeś do Reno sprzedać te maszyny von Scharfowi, byłam prawie pewna, że nie wrócisz.

– To dlatego dzwoniłaś?

– Może.

Roześmiał się.

– I bardzo się ucieszyłam, gdy cię znowu ujrzałam. Nie obchodziło mnie, czy wracasz z maszynami, czy bez.

– Rozumiem – powiedział, ale nie wierzył jej. To już jednak nie miało znaczenia. Wrócił i teraz był tutaj. – Wyszumiałem się, zanim się pobraliśmy. Chyba pamiętasz Peg Googer?

– Jesteś ze mną szczęśliwy? – spytała, patrząc mu w oczy.

– Tak.

Nagle do kuchni wpadła Tany w płaszczu kąpielowym i kapciach i zaczęła prosić, by jej pozwolili obejrzeć do końca program telewizyjny. Obiecała, że potem zaraz pójdzie spać.

Program był o okrętach podwodnych. Bruce też poszedł go obejrzeć. Siedli razem na kanapie na wprost telewizora. W spokojnym salonie Bruce zrobił się senny. Patrzył na podwodne przygody załogi okrętu najpierw walczącej z jakimiś głębinowymi stworami, a potem kluczącej pomiędzy sowieckimi minami atomowymi, ale niezbyt wiedział, na co patrzy. Program płynął dalej, przed oczami migali mu kowboje, kosmonauci i detektywi, a on słyszał przede wszystkim żonę krzątającą się w kuchni, wiedział, że obok niego siedzi dziecko, i to starczało mu do szczęścia.